W służbie Ojczyzny

W służbie Boga

Ś.P.†

ks.kpl.kpt.

O. Józef Słaby

W S P O M N I E N I A Z Ż Y C I A

autobiografia księdza kapelana kapitana Józefa Słabego

(na podstawie rękopisów)

sprawił i wstępem opatrzył:

Tadeusz Słaby

Wydawca:

ARKA sp. z o.o.

72-600 Świnoujście, ul. H. Siemiradzkiego 18

tel./fax: +48 91 321 54 44

www.arka.biz.pl

e-mail: info@arka.biz.pl

Druk:

Drukarnia DELTA sp.j.

72-600 Świnoujście, ul. Matejki 42

tel. + 48 91 321 55 27, www.deltadruk.com

ISBN: 978-83-928576-8-6

Świnoujście, 2011 r.

WSPOMNIENIA Z ŻYCIA

autobiografia księdza kapelana kapitana o. Adalbertusa Józefa Słabego (na podstawie rękopisów)

TUCZEMPY
Odsłona trzecia

Spis treści

- **Wprowadzenie** **5**
- **Wspomnienia życia** **13**
- **W służbie Ojczyzny** **23**
- **W służbie Boga** **87**
- **Wybór tekstów z Kroniki Rodzinnej** **123**
- **Dziwne zjawiska** **131**
- **Dokumenty** **134**
- **Nota biograficzna Tadeusza Słabego** **140**

„O gdybyśmy mieli własne dzieje czytać,
I każdą garść tej ziemi o przeszłość zapytać,
Ach, z jakąż by miłością rzekła nam o sobie,
O życiu pradziadów i pradziadów grobie."

To słowa z pierwszej strony rękopisu księdza kapelana kapitana **Józefa Słabego**, oficera wojsk austriackich w wojnie światowej, oficera wojsk polskich w czasie wojen ukraińsko - bolszewickich, a następnie wikarego w Łanowicach, kapelana w Przędzielnicy, wikarego w Dobromilu i Jedliczu, profesora w gimnazjum w Borysławiu, wikarego w Łańcucie oraz proboszcza ułanów podolskich w Białokrynicy pod Krzemieńcem, na Kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polski.

Wprowadzenie

W 2009 roku przy okazji wydania drugiej odsłony antologii o Tuczempach powstał pomysł przeniesienia prochów Józefa Słabego na cmentarz w Jego wsi rodzinnej. Pomysł ten w miarę czytania niezwykle interesujących rękopisów nabierał nie tylko realnych kształtów, ale rodził przekonanie, że jest to zamiar ze wszech miar konieczny. Do tego czasu prawie nic nie wiedziałem o autorze autobiografii. Myślę, że i inni mieszkańcy Tuczemp na Jego temat mogą nie wiele powiedzieć. Dzisiaj już wiem, że nasz rodak był osobą, która swoje życie oddała służąc Ojczyźnie i Bogu. **Był osobą, która szukała prawdy w tych trudnych dla kraju i ludzi czasach... ale czy ją znalazł? Wiedział o tym tylko on sam.**

Był osobą, która swoje poszukiwania i swoje życie dokumentowała nie tylko w licznych rękopisach (ponad 600 stron), ale i artykułach prasowych oraz napisanej „Historii Tuczemp", powielanej w późniejszych latach przez innych i w książce napisanej wspólnie z ks. Janem Jakubowskim: "Historia Chłopic, cudownego obrazu i kościoła".

Autobiografia jest historią życia Józefa Słabego pisaną przez niego w kilku częściach, które nie zawsze pozostają spójne, a którym nadał następujące tytuły: „Dzieje i tragedie"; „Wspomnienia z życia"; „Wspomnienia z wojny" tom I; (tom II autor oddał w 1936 roku do Muzeum Ziemi Przemyskiej); „Historia Tuczemp pod Jarosławiem"; "Kronika Rodzinna". **W Tuczempach pozostaje ostatni tom rękopisów Autora opisujący pobyt w Zakonie Bonifratrów w Marysinie – Piaskach koło Gostynia. Mimo poszukiwań nie udało się tej części rękopisów odnaleźć. W zasobach Instytutu Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu pozostają dokumenty rozpracowywania operacyjnego przez Urząd Bezpieczeństwa Józefa Słabego, sygn. IPN PO 00188/1/ Tom I Dz. Archiwalny Spraw Ewidencji Operacyjnej, sygn. II, strony 1 -525 za lata 1955 - 1958**

Autobiografia jest nie tylko historią życia Józefa Słabego, ale również historią życia mieszkańców wioski, historią tamtych czasów. Czasów spokoju i pracy, nauki, czasów wojen, czasów śmierci – pisaną przez kilkunastoletniego ucznia, później studenta, żołnierza armii austriackiej, leutnanta, studenta seminarium duchownego, księdza, kapelana i kapitana armii polskiej, brata zakonu Bonifratrów. Jest to historia pisana przez człowieka, który w 18 roku życia oddał się Polsce, ciałem i duszą. Teksty zostały przepisane w oryginalnym języku tamtych czasów, bez komentarza i korekt. Spełniam marzenia Autora i „przyszłym pokoleniom Autobiografię przekazuję".

Ksiądz kapelan kapitan O. Adalbertus Józef Słaby, urodził się w Tuczempach 08.07.1896 roku, w domu w Końcu pod numerem 60. Był synem Katarzyny Padiak (ur. 25.11.1872, zm. 17.05.1942) i Wojciecha Słabego (ur. 31.03.1869, zm. 13.03.1944). Od strony ojca jego dziadkami byli: Jan Słaby (ur. 1839) i Katarzyna Kmiecik. Pradziadkami zaś Michał Słaby syn Szymona (ur. 1810) i Teresa Blok, córka Antoniego. Od strony

matki jego dziadkami byli: Jan Padiak i Maria Padiak. Pra-pradziadkami zaś od strony ojca był Szymon Słaby i Agafia Korecka. Uczy się w szkole w Tuczempach, gdzie nauczycielem był pan Skoczyński, a następnie w Jarosławiu, Przemyślu oraz Lwowie. Jest pierwszą znaną osobą z Tuczemp, która uzyskała wykształcenie wyższe. Znał język niemiecki, ruski, łacinę i hebrajski. W wieku 19 lat w 1915 roku zostaje powołany do wojska i służy w 90. jarosławskim pułku piechoty armii austriackiej; zostaje skierowany do szkoły podoficerskiej a następnie szkoły oficerskiej w Berezinie na Węgrzech. Po ukończeniu wojskowej edukacji jako podchorąży, żołnierz zawodowy zostaje instruktorem przy kadrze 90. pułku piechoty; następnie jest komendantem kompanii na froncie przy 15 pułku Obrony Kraju. W styczniu 1917 roku otrzymuje awans do stopnia podporucznika-leutnanta. W 1917 roku jest komendantem i instruktorem w 11 Dywizji 4 Armii, a następnie na froncie – Grupa pułkownika W. Wołyńskiego. Od 15 sierpnia 1917 roku jest dowódcą Batalionu Polowego. Do 21 grudnia 1918 roku pełni służbę wywiadowczą przy sztabie 90. pułku piechoty na Ukrainie. W opisanym okresie bierze udział w wojnie na terenach Galicji Wschodniej, którą kończy w Odessie. Wraz z innym oficerem ogłasza nieposłuszeństwo Oddziału, którym dowodzi, doprowadza do „ucieczki" czterech składów pociągów towarowych wraz z żołnierzami, bronią, armatami, amunicją, taborami, końmi, zapasami żywności i okrężną drogą przez Czechy i Jasło, w czasie której toczą walki z Ukraińcami, dociera do macierzystego pułku w Jarosławiu. Pełni służbę przy 14 pułku piechoty jako Komendant Straży Obywatelskiej, a następnie jako Komendant Baonu Marszowego. 19 lutego 1919 roku zostaje przyjęty do Wojska Polskiego dekretem Nr 26. Bierze udział w walkach z bolszewikami w latach 1919 - 1920. Jest dwukrotnie ranny. Chory na tyfus, cudem unika śmierci. Odznaczony medalem „Za waleczność". Po zakończeniu wojny z bolszewikami na własną prośbę zwalnia się z wojska i w 1920 roku rozpoczyna studia w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu. Po ukończeni seminarium w 1924 roku jako pierwszy ksiądz katolicki z Tuczemp wyświęcony zostaje na duchownego. Pierwszą mszę odprawił w Tuczempach 8 czerwca 1924 roku. Zostaje wikariuszem w Łanowicach, a następnie w Przedzielnicy, Dobromilu i Jedliczu. Następnie zostaje katechetą prywatnego gimnazjum w Borysławiu, później wikariuszem i kapelanem garnizonu w Łańcucie. Ubiega się o wyjazd na misje do Afryki ale 16 marca 1932 roku skierowany zostaje do Wojska Polskiego w stopniu kapitana na stanowisko kapelana. Jest proboszczem i administratorem parafii wojskowej w Białokrynicy - powiat Krzemieniecki na wschód od Lwowa. W 1936 roku po ciężkim wypadku i chorobie, decyzją komisji lekarskiej, przechodzi na emeryturę wojskową. Przebywa w Tuczempach – nie były to dla niego łatwe czasy. Od 01 marca 1947 roku wstępuje do Zakonu Bonifratrów i obejmuje placówkę w szpitalu dla nieuleczalnie chorych w Iwoniczu. Pracuje jako kapelan i jako sekretarz Domu Opieki, a następnie zostaje kapelanem i jako brat Adalbertus (Wojciech) w zakonie Bonifratrów i szpitalu dla nieuleczalnie chorych w Marysinie – Piaskach koło Gostynia. Tu kończy życie 19 stycznia 1957 roku. Pochowany na cmentarzu zakonnym. Czy znalazł prawdę której szukał?

W czasie pobytu w Tuczempach w okresie po pierwszej oraz drugiej wojnie światowej ksiądz Józef Słaby, będąc wówczas kapelanem w 12 pułku Ułanów Podolskich był fundatorem ołtarza głównego w naszym kościele. Ołtarz zrobiony był w Kańczudze za 1600 złotych. Kupił również „żłobek" w Krakowie oraz dał namalować obraz olejny przedstawiający kościół zniszczony w 1914 roku. Nadto kupił obraz Najświętszej Rodziny, umieszczony w górnej części wielkiego ołtarza. Swoją szablę, podarowaną mu przez żołnierzy ofiarował kościołowi w Chłopicach.

***

Gieniu Szafraniec o księdzu Józefie Słabym tak pisze: *"Pamiętam księdza Słabego. Bardzo go lubiliśmy. Byłem ministrantem i z kolegami robiliśmy zakłady, kto*

Ołtarz główny w kościele w Tuczempach, ofiarowany przez Józefa Słabego (ze zbiorów J. Stankiewicza)

Kościół w Chłopicach, w którym w 1923 roku ojciec Józefa Słabego Wojciech złożył przed cudownym obrazem podziękowanie za uratowanie chorego bydła. Józef Słaby ofiarował swoją szablę, którą otrzymał od żołnierzy.

księdzu będzie do mszy służył. Jego msze były krótkie: 15 – 20 minutowe. A do tego najważniejsze – dawał każdemu cukierki, albo na cukierki. Wstyd się przyznać. Ale byłem wówczas dzieckiem."

***

G u ś c i a P ł o s z a j o w a (dzisiaj Gral) tak pięknie wspomina „księdza z sąsiedztwa**:** *W słowach Stefana Wyszyńskiego „Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie"zawarta jest prawda o ludzkiej pamięci. Jest ona tak krótka i ulotna, trwa tak długo, jak długie jest ludzkie życie, a czasami nawet nie tyle. Kiedy sięgam pamięcią do swojego dzieciństwa , to widzę je w szczególny sposób. W mojej pamięci pojawiają się obrazy i wrażenia, klimaty, a czasem zapachy zdarzeń i one są zawsze żywe, a przecież pisać o nich jest zawsze trudno. W taki właśnie sposób pamiętam z mojego dzieciństwa księdza Józefa Słabego. Moje wspomnienia, to w większości wrażenia o tym, jaką był osobą, ten nieuchwytny klimat, który z tą postacią się wiązał. W czasach kiedy żył i kiedy miałam szczęście go znać, byłam małą dziewczynką. W pewnym sensie ksiądz Słaby był naszym sąsiadem. W sąsiedztwie mojego domu rodzinnego znajdował się dom, do którego przyjeżdżał. Przy głównej drodze biegnącej przez Tuczempy stał budynek należący do rodziców księdza. Z tyłu, tuż za nim rozciągał się ogród, a w głębi tego ogrodu znajdował się dom księdza Józefa. Był to zwyczajny dom, jakich na wsi, ponad pół wieku temu, było wiele – z drewna, brązowy, z białymi oknami. Wewnątrz były trzy pomieszczenia – jeden duży pokój, drugi mniejszy i kuchnia. W ogrodzie, przed i za domem uprawiano warzywa. Domu doglądała siostra księdza, a ksiądz mieszkał tam wtedy, gdy przyjeżdżał do rodzinnych Tuczemp, aby spędzić urlop, albo podreperować zdrowie. Ksiądz Józef był mężczyzną średniego wzrostu, o przenikliwym i spokojnym spojrzeniu. Jego twarz odzwierciedlała nieprzeciętną osobowość. Malowała się na niej bystrość, inteligencja połączone z rzeczywistością i zdecydowaniem. Swoje imieniny obchodził 19 marca na Św. Józefa. Pamiętam, że wtedy chodziłam do jego domu, aby złożyć mu imieninowe*

życzenia. Przygotowywałam na tę okazję wierszyki i deklamowałam, a ksiądz słuchał je z uwagą. Przyjmował mnie zawsze z radością i częstował słodyczami. Zdarzało się, że przebywał w Tuczempach w czasie świąt Wielkanocnych. Wtedy zwyczajem było, że to on święcił pokarmy wielkanocne dla mieszkańców Końca. W pobliżu miejsca, w którym mieszkał, ustawiano ławki, przykrywano je obrusami, gromadzili się ludzie z koszyczkami, a ksiądz Józef święcił dary przeznaczone do spożycia w święta. II wojna światowa i czasy powojenne kojarzą mi się ze strachem, grozą, biedą i głodem. Strzały, padające na nasze domy bomby, zmuszały całe rodziny do porzucenia swojego dobytku i ucieczki po to, aby schronić się w miejscach bardziej bezpiecznych. Ludzie uciekali do Morawska. Chłopic i Łowiec. Moja rodzina też szukała schronienia w sąsiednich Łowcach. Jechaliśmy wszyscy na wozie, a z nami jechał ksiądz Słaby. W pobliżu dworu – Karwaka – wysiadł. Prawdopodobnie udał się do dworu, gdzie odbywały się tajne spotkania tych, którzy walczyli z okupantem w ukryciu. Ksiądz Józef był człowiekiem wielkiego formatu. Moi rodzice czasem opowiadali o nim i o jego życiu. Zanim został zakonnikiem i księdzem, był już oficerem. Jego kariera w wojsku była szybka. Pełnienie zaszczytnych funkcji wojskowych w czasach, w których przyszło mu żyć było trudne i niebezpieczne. Mimo to służył w wojsku z zaangażowaniem i odwagą – uczestnicząc w wojennych zmaganiach, był ranny aż trzy razy. Na rekonwalescencję przyjeżdżał wtedy do Tuczemp. W tamtych czasach wykształcenie, bycie księdzem było czymś wyjątkowym. Świadczyło o ponadprzeciętnej otwartości umysłu, zdolnościach i sile charakteru. Ale o wielkości księdza Słabego stanowiły nie tylko zaszczytne stanowiska i funkcje, które pełnił. Decydował o nim jego wyjątkowy charakter. Wspominam go jako człowieka zdyscyplinowanego, kochającego ład i porządek oraz etyczne normy zachowań. W pewien sposób ludzie, którzy są wielcy, należą do społeczności, z której wyszli. A już z całą pewnością należący do pewnej wspólnoty potrzebują odniesienia do takich osób i takich wspomnień, które będą dla nich wzorem, z których będą czerpać siły do zmagania się z problemami codziennego życia i do stawania się lepszymi i pełniejszymi ludźmi".Był inteligentny, wykształcony, znał języki obce. Jednak najbardziej imponująca była otwartość i konsekwencja w poszukiwaniu swojego powołania, swojego miejsca w świecie, pełni człowieczeństwa i spełnienia. Szukał tego spełnienia przez całe swoje życie jako wojskowy, ksiądz i w końcu zakonnik. Ksiądz Józef był odważny, potrafił wcielać w życie ideały zapominając o sobie, żyjąc dla ludzi, którym służył i dla Ojczyzny. Był patriotą. Cieszę się, że prochy księdza Józefa Słabego spoczną w rodzinnych Tuczempach".

***

J a d z i a S ł a b a (obecnie Łukaszewicz) pisze o księdzu Józefie: *„Księdza Józefa Słabego nie znałam osobiście, to co o nim usłyszałam od moich Rodziców Michała i Kazimiery przekazuję. Moja mama opowiadała mi o uroczystości odprawienia pierwszej mszy świętej przez księdza Józefa w Tuczempach. Według moich obliczeń mama miała wtedy 9 lat i oto co zapamiętała: przed domem rodziców księdza zebrali się mieszkańcy wsi; a przede wszystkim rodzice, bliższa i dalsza rodzina. Ksiądz wyszedł z domu przez próg, stanął przed rodzicami i powiedział donośnym głosem – mama i tata pobłogosławcie mnie. Obecni tam zgromadzeni w większości płakali. Potem w procesji zaprowadzono księdza do kościoła na uroczystości odprawienia mszy świętej. Mama nie raz mi to opowiadała, ostatnio gdy miała 80 lat i zawsze to było wzruszające. Mój tato znał księdza dobrze i nie tylko dlatego, że byli spokrewnieni, po prostu się przyjaźnili a z szacunku do jego osoby nie zwracał się do niego po imieniu, tylko – proszę księdza. W czasie międzywojennym tato był w wojsku w pułku Jarosławskim; w tym czasie w jego kompanii służył Żyd z Tuczemp, któremu niektórzy dokuczali. Tato prosił księdza o pomoc, za co Żyd był mu bardzo wdzięczny. W czasie II wojny, kiedy przez Tuczempy przechodził front, a Niemcy się wycofywali, na tak zwanych Wandołach, ksiądz Słaby z olejami Świętymi - chodził przy rannych i udzielał im ostatniego namaszczenia –*

mama to widziała. Tato dwukrotnie jeździł do księdza, gdy ten był w Zakonie w Gostyniu. Kiedy w 1983 rok zamieszkaliśmy razem i moi rodzice przeprowadzili się do Poznania tato wspominał tamte wizyty w Zakonie Bonifratrów w Gostyniu w latach 50 – tych. Był to szpital dla nieuleczalnie chorych a ksiądz tam pracował. Były to czasy trudne dla kapłanów, ksiądz w czasie rozmowy bardzo się skarżył do taty: „Michaś ty nawet nie wiesz jak mi tu ciężko żyć, jak mi tu dokuczają, robią na złość przy każdej okazji, nawet drzwi do kaplicy mi zamurowali i nie mogę tam wchodzić przez klasztor, tylko muszę obchodzić dookoła murów i do kaplicy bocznym wejście. Władze państwowe nie lubią księży i do tego byłych kapelanów, którzy walczyli z bolszewikami i Ukraińcami. Posądzają mnie, że należę do Wolnomularstwa; znałem Rydza Śmigłego i Piłsudskiego oraz jego żonę. To wszystko im przeszkadza. Tato bardzo żałował księdza i dlatego będąc w Poznaniu chciał pojechać na jego grób, ale zachorował i w ciągu roku zmarł. Postanowiłam spełnić jego życzenie i w 1984 roku pojechaliśmy z mamą i mężem Łukaszem oraz dziećmi do Gostynia. W Gostyniu była jakaś uroczystość parafialna, pełen kościół ludzi, nie wiedzieliśmy jak pytać i kogo. W konfesjonale spowiadał starszy wiekiem kapłan. Mój mąż podszedł do niego i zapytał czy znał księdza Słabego Józefa, kapłan zapytał kim pan jest ? Mąż odpowiedział, że dalsza rodzina i dowiedział się, że ksiądz jest pochowany przy szpitalu na cmentarzu w Marysinie. Kilka kilometrów i byliśmy na miejscu. Mały cmentarz, ogrodzony, przy szpitalu, około 50 grobów, zadbanych, grób księdza w rzędzie obok innych – wszystkie jednakowe, obmurowane, tabliczki z napisami – łatwo znaleźć, żałowałam że nie było z nami mojego taty. W ubiegłym roku, w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, pojechaliśmy z mężem i koleżanką, która robiła zdjęcia na miejscu, znowu do Marysina. Najpierw poszliśmy na cmentarz pomodlić się, a potem do klasztoru, w którym jest teraz sanatorium rehabilitacyjne. W kaplicy było nabożeństwo z okazji Dnia Miłosierdzia Bożego. Po nabożeństwie zapytałam siostrę zakonną czy można rozmawiać z o. przeorem. Tak odpowiedziała, właśnie jest w zakrystii. Podeszliśmy, po przedstawieniu się i przywitaniu zapytałam czy to ta kaplica, w której ksiądz Słaby odprawiał msze i w której zamurowano mu drzwi żeby mu utrudnić dojście. Ojciec przeor powiedział, że to ta kaplica, w której stoimy. Potem strażacy ten mur zburzyli. Zostaliśmy zaproszeni do części mieszkalno – biurowej klasztoru, ojciec przeor poświęcił nam dużo czasu pokazując swoje biuro i miejsca, w których przebywał ksiądz Słaby. Pokazał nam też dokumenty, księgi w których była informacja kiedy i w jakim czasie ksiądz Słaby przebywał w klasztorze. Oglądałam również stare fotografie, na których był kapłan wśród pacjentów, niestety nie mogłam rozpoznać, bo nie miałam wcześniej zdjęć księdza Słabego. Minęło wiele lat od śmierci. Czas zaciera powoli to co pozostało, w pewnym momencie znikną groby na cmentarzu w Marysinie; dobrze że ksiądz Józef Słaby powraca do Tuczemp. Powraca na ziemię swych przodków, ziemię którą tak ukochał i której oddał całe swoje życie."

Z ziemi swych ojców przed laty wygnany – nie miałem patrzeć na zbóż złote łany

***

Julian Jasiewicz z Tuczemp wspomina księdza kapelana Słabego, służącego w pułku kawalerii przed wojną tuż pod Krzemieńcem Podolskim: *„Pochodził z rodziny Słabych zamieszkałych w Tuczempach w sąsiedztwie rodziny Szafrańców. Miał w rodzinie dwóch braci Jana i Stanisława oraz siostrę Agnieszkę. Brat księdza Jan zamieszkiwał naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie wiejskiej drogi. Rodzice księdza prowadzili gospodarstwo rolne i mieszkali z córką i synem – bratem księdza. Pamiętam, że ksiądz urlop każdego roku spędzał w Tuczempach. Pamiętam jego piękny mundur wojskowy kapitana z krzyżykami w klapach marynarki. Był bardzo przystojnym mężczyzną.*

Inteligentny, władał perfekcyjnie językiem niemieckim w mowie i piśmie. W 1937 roku podjął budowę domu mieszkalnego dla siebie w ogrodzie za stodołą. Dom został bardzo szybko zbudowany cały z drewna, kryty dachówką, co było wyjątkowe i w 1938 roku był w pełni umeblowany wraz z biblioteką. Ksiądz w domu tym spędził tylko dwa urlopy. W okresie drugiej wojny zamieszkał w nim na stałe. Udało mu się uciec przed zsyłką i chyba nieuniknioną śmiercią. Przez cały czas miał łączność z Kościołem Parafialnym i jego Proboszczem w Tuczempach. W czasie okupacji ludność Tuczemp wspierała go zlecając odpłatnie msze święte za swoich zmarłych. W czasie okupacji służył wszystkim ludziom w pisaniu pism do niemieckich urzędów, a często z ludźmi interweniował w cywilnym ubraniu w Starostwie Powiatowym w Jarosławiu broniąc ludzi w różnych sprawach, gdyż znał bardzo dobrze język niemiecki i pisma do urzędów pisał w tym języku. Pamiętam, że bratu mojego ojca Stanisławowi w 1935 roku zaoferował przyjęcie do konnej orkiestry dętej w swoim pułku, ale stryj Stanisław nie wytrzymał obsługi konia i w 1936 roku zwolnił się. W okresie okupacji niemieckiej bardzo często odwiedzał nas, gdyż dom nasz był „domem handlowym" - handel mięsem i tłuszczem przydzielanym dla bezrolnych na kartki.

W domu naszym w Wielką Sobotę Świąt Wielkanocnych wszyscy sąsiedzi przynosili do nas do święcenia koszyczki z jadłem, które ksiądz poświęcał. Ksiądz był częstym bywalcem w naszym domu. Zaznaczyć należy, że księdza wspierała również właścicielka gospodarstwa rolnego wielohektarowego mieszkająca na Karwace. Ksiądz Józef Słaby był wielkim patriotą. - Polakiem. Był człowiekiem bardzo kontaktowym i interesowała go cała ludność naszej wsi. Nigdy nie zapomnę Księdza Kapelana Słabego i jego eleganckiego wojskowego stroju. Będę się za niego modlić. „Cześć jego pamięci."

***

Wspomina też księdza Słabego Józefa **G i e n i a C z y r e k** z domu **M a c i a ł e k:** *„Na chwilę zatrzymuję czas w XXI wieku, aby do biografii ks. kpl. Kpt. O Adalbertusa Józefa Słabego urodzonego w XIX wieku dołączyć kilka niezatartych wspomnień. Ksiądz Słaby jest częścią historii Tuczemp oraz historią Polski. Moje wspomnienia o nim dotyczą lat mojego dzieciństwa – wczesnego okresu powojennego. Pamiętam księdza bardzo wyraźnie mimo upływu czasu. Był on częstym bywalcem naszego domu. Przynosił bardzo dużo listów do wysłania na poczcie w Jarosławiu, gdzie Tatuś pracował jako listonosz i codziennie dojeżdżał rowerem do pracy. Ksiądz był zawsze bardzo serdeczny, rozmowny. Widzę jego twarz raz uśmiechniętą, niekiedy skupioną, skoncentrowaną o życzliwym usposobieniu, przyjaźnie ustosunkowany do dzieci.*

Pamiętam go z okresu Świąt Wielkanocnych, szczególnie w Wielką Sobotę kiedy przychodził do domów święcić pokarmy. Już z daleka słyszeliśmy jego energiczny i donośny głos: „Władysławie! Jeść ani pić nie będę. Przychodzę tylko święcić."

Również zapamiętałam na całe życie taki fakt : W okresie powojennym było ciężko. Wojna nie oszczędziła nikogo – dzieci były niedożywione, wychudzone, anemiczne. Rodzice się martwili. Mamusia bardzo dbała o nas to jest o moje i brata Emila zdrowie. Jeździła z nami do lekarzy w Jarosławiu, którzy oprócz zaleceń dobrego wyżywienia uważali tran za najlepszy lek. Nikt nie mógł mnie zmusić do picia tego obrzydliwego oleju. Nie było takiego argumentu, który by mnie przekonał, że tran to zdrowie i siła. Najgorsze, że nikt mnie nie rozumiał. Na szczęście przyszedł do nas ks. J. Słaby. Mamusia zwierzyła się ze swojego zmartwienia dotyczącego tranu i naszej niechęci do picia. Ksiądz wysłuchał monologu Mamusi. Spojrzał na powojenne wychudzone dzieci i wszystka zrozumiał. Obiecał, że postara się o coś bardzo dobrego, słodeńkiego dla dzieci. W niedługim czasie ksiądz przyszedł do nas przynosząc paczkę z Ameryki, w której były bardzo dobre witaminy dla dzieci. Nie można o tym dobrym księdzu zapomnieć!!!

Myślę, że Dobry Bóg już Mu wynagrodził za ten wspaniały gest i wszystkie dobre uczynki dla ludzi oraz Jego wielką miłość do ukochanej Ojczyzny. Za Jego wielki patriotyzm.

Jest takie powiedzenie:"Człowiek tak długo żyje, jak długo pamięć o nim trwa." Ksiądz ciągle żyje wśród nas. I dziękujemy Mu za całe Jego życie pełne miłości do ludzi i Ojczyzny a tym samym pełne miłości do Boga. Wyrażamy także wdzięczność za to, że dzieli się z nami historią swojego życia, bez retuszu pisząc prawdę nawet w okopach.

To nas wzbogaca, uczy i tego nie można zapomnieć".

***

Pragnę w tym miejscu serdecznie podziękować Tym wszystkim, którzy przyczynili się do zebrania materiałów na temat Autora autobiografii, pomogli w ekshumacji i pochówku doczesnych szczątków Józefa Słabego na cmentarzu w Tuczempach. Dziękuję szczególnie: siostrzenicy księdza Józefa Słabego - **Krzysi Gral**, proboszczowi w Tuczempach księdzu **Zygmuntowi Balawenderowi**, przeorom Konwentu Bonifratrów w Marysinie bratu **Ambrożemu Marii Pietrzkiewiczowi** i **Izydorowi Adamowicz**. Autorom tekstów zawartych we „Wprowadzeniu": wójtowi Gminy Jarosław - mecenasowi kultury regionalnej, panu **Romanowi Kałamarz**; sołtysowi Tuczemp panu **Antoniemu Piotrów**; dyrektorowi Muzeum Kamienica Orsettich w Jarosławiu panu **Jarosławowi Orłowskiemu**, mojej **żonie Józefie** za cierpliwość i zrozumienie, dziękuję **mieszkańcom Tuczemp** za udział w uroczystym pogrzebie w dniu 19 marca 2011 roku.

Tadeusz Słaby

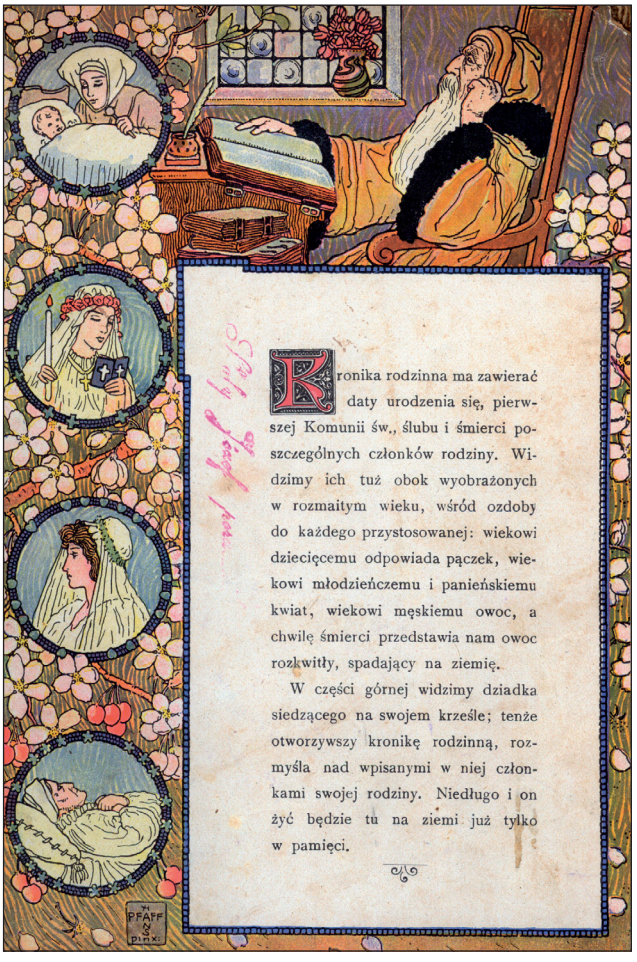

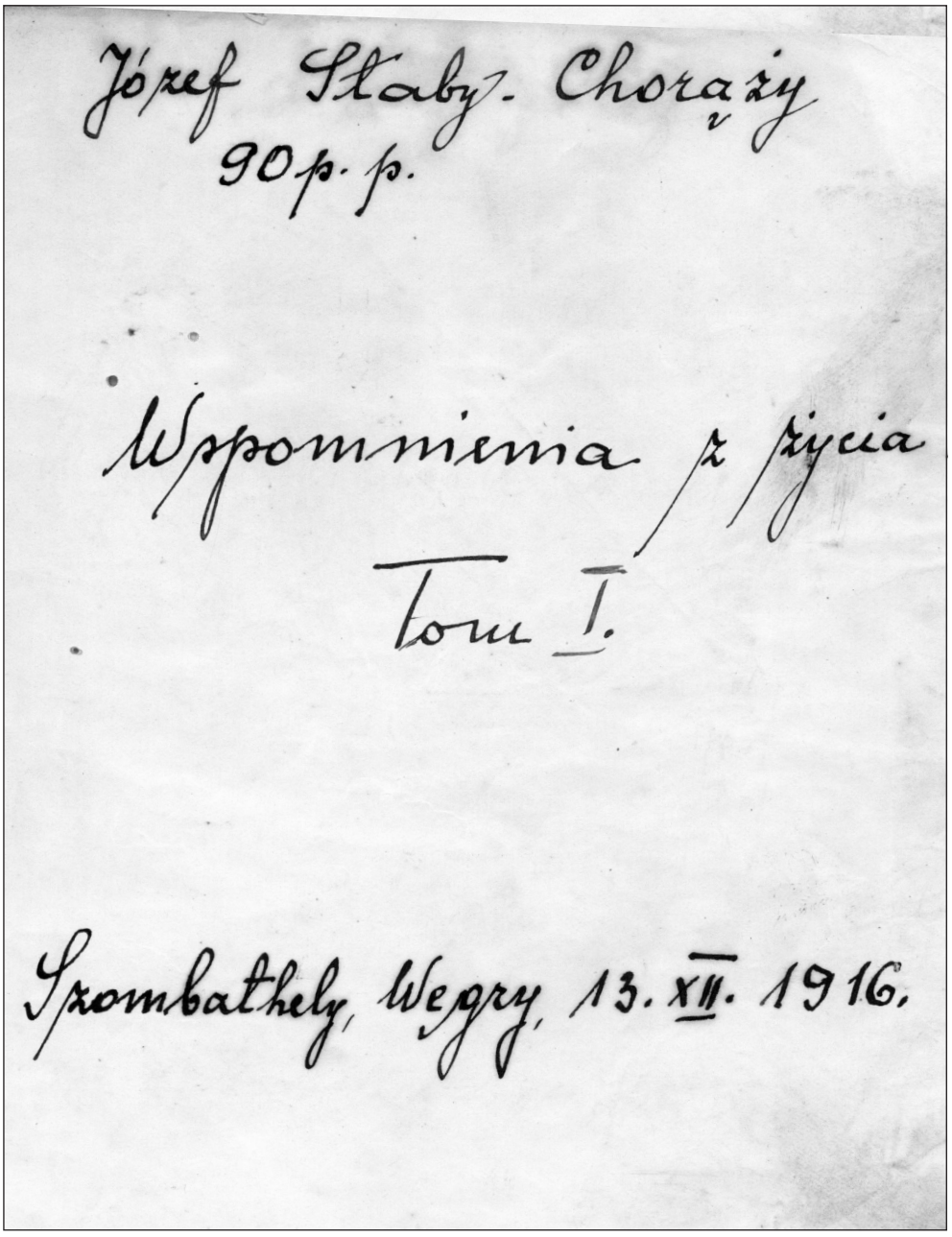
Józef Słaby. Chorąży
90 p. p.

Wspomnienia z życia

Tom I.

Szombathely, Węgry, 13. XII. 1916.

Józef Słaby w swoim pamiętniku zatytułowanym **„Wspomnienia z życia" tom I**, w grudniu 1916 roku w miejscowości **Szombathely na Węgrzech** pisze:

Najrozmaitsze są powody pisania książek. Jedni piszą, aby światu okazać nieznane dotąd prawdy, drudzy aby moralnie wpłynąć na społeczeństwo i odrodzić je, inni zaś, aby potomności przekazać świetne czasy w historji czy też literaturze. Jest jeszcze bardzo wiele innych powodów, o których można by całe tomy pisać. Wielka szkoda, że sto lat temu ludzie we wsi nie umieli pisać ani czytać, a więc nie mogli nam przekazać wiadomości o sobie, a bardzo chciałbym wiedzieć co moi pradziadkowie myśleli i jak żyli. Na podstawie metryk stwierdziłem, że mój dziadek był synem Michała i urodził się w 1843 roku, a umarł w 70 roku życia 20 lutego 1914 roku gdy ja byłem w 6 klasie gimnazjalnej w Przemyślu. Dostałem zawiadomienie i przyjechałem na pogrzeb

dziadka. Dziadek miał żonę, **Katarzynę z Kmieciów**, która zmarła na astmę - duchotę w roku 1904. Wieczorem babka zachorowała, a że nie mieliśmy konia ani wozu ojciec poprosił **Buka Mikołaja** aby pojechał po księdza do Jarosławia. Błoto było wielkie i ciemno. Ksiądz przyjechał i udzielił babce św. sakramentów. Babkę pogrzebano na starym cmentarzu w Jarosławiu i ojciec przez kilka lat chodził na jej grób. Msza święta żałobna odbyła się w Jarosławiu kilka dni po pogrzebie.

Przypominam sobie, że gdy miałem 5 albo 6 lat umarł mi brat Władysław, kilkumiesięczne dziecko. Gdy miałem 9 lat umarła mi ciotka Anna, siostra mojej matki. Przeziębiła się i zachorowała na suchoty. Kochał się w niej wachmistrz żandarmerji z Jarosławia **Michał Partyka**, ale ona marzyła wciąż o klasztorze. Dawała mi pieniądze na zeszyty i ołówki. Gdy umierała prosiła aby ją położono na ziemi na słomie i aby odmawiać litanię do Matki Bożej. Pogrzebana w Tuczempach na cmentarzu. Dziadek mój, a jej ojciec Jan Padiak zasadził lipę na jej grobie, która rośnie do dziś. W 4 lata po śmierci ciotki dostaliśmy wiadomość o śmierci wuja Aleksandra w Ameryce. Zginął w kopalni, wózek go z węglami przejechał. Pamiętam go jak mi zrobił z drzewa karabin i bagnet oraz tornister, bo lubiłem się bawić w wojsko z kolegami. Pamiętam, że kupił mi piórnik, ołówki i kredki. Mój ojciec pożyczył mu pieniądze na podróż do Ameryki. Odesłał pieniądze ojcu a nadto swej rodzinie przysyłał. On też był kwestarzem na kościół w Tuczempach przed wyjazdem do Ameryki.

W 1915 roku zmarła babka, matka mojej matki, która mnie bardzo lubiła. Gdy wracałem ze szkoły w Jarosławiu w latach 1910-11-12, wstępowałem do niej na obiad i zawsze mi kupowała w lecie piwo. Pogrzebana w Tuczempach. W tak młodym wieku pięć wypadków śmierci przygnębiło mnie bardzo i zatruło mi życie.

Gdyby żył brat matki i siostra, matka moja otrzymałaby dwa morgi pola jako wiano, a z powodu śmierci rodzeństwa otrzymała sześć morgów, ale z ojcem ciężko przez kilkadziesiąt lat pracowali dla Padiaków, bo **Jan Padiak** ojciec matki i **Maria Padiak** nic w polu nie robili, tylko gotowe plony mieli w domu. Do tego rodzice musieli odrobić robociznę u tych, którzy konie mieli i w polu rodzicom i dziadkom robili. Dziś dzieci ani zięć czy synowa nie pracowali by tak jak moi rodzice, bezpłatnie. Po śmierci babki dziadek Padiak mieszkał u nas w domu ojca i tu zmarł, zatruty moczem. Pamiętam że jako mały chłopak chodziłem do Padiaka na sieczkarni rżnąć sieczkę. Dziadek wymłócił 15-20 snopów i nakładał, a myśmy ciągnęli jak konie. Dziś to nie do pomyślenia. Dziadek Padiak był przez długi czas gromadzkim oglądaczem bydła i zaprzysiężonym ocenicielem sądowym.

Jan Słaby, ojciec mego ojca ciężko pracował przy Sanie. Czyścił koryto Sanu wyrębując dęby zwalone na dno. Dziadek Jan nigdy nikomu nie dokuczył. Bardzo byłem zadowolony gdy w 5 - 6 klasie mając lekcje, mogłem dziadkowi kupić tabaki. Gdy dziadek miał 70 lat ojciec zapytał go czy jego życie wydaje mu się długie? Na to odpowiedział :"Zdaje mi się, że tylko chwilką, jakbym przekroczył próg".Dziadek bardzo ciężko pracował, podobnie jak mój ojciec. Aby zaopatrzyć się w opał przed wojną chodzili do daleko położonych lasów kopać pniaki. Ponieważ nie mieli własnych koni kopali pniaki jeszcze dla tego, kto im je zwiózł z lasu do domu. Przed wojną nigdy się nie kupowało drzewa ani węgla na opał. Palono pniakami. Ojciec Wojciech pracował długo przy kolei i nie raz nosiłem mu jeść do Muniny. Nadto w lecie matka chodziła żąć zboże do dworu łowieckiego.

Dopiero około roku 1901 kupił ojciec konia. Pamiętam jak mnie posadził na koniu, a ja zaraz spadłem i pamiętam jak matka się przeraziła.

Dom był kryty słomą i dopiero w roku 1902 ojciec sprowadził dachówkę, bo tak mu poradził **Michał Padiak** ze Lwowa, brat Jana Padiaka. Była to rzadkość we wsi. Zaledwie kilka domów było krytych dachówką. Okna były małe z trzech tafli, a każda tafla miała 3 szyby, takiej wielkości jak ta książka. Dopiero w czasie wojny **Bazyli Ho-**

łowacz zrobił okna takie jak są dziś. Podłogę w jednej izbie ułożył sąsiad **Jerzy Noga**, ojciec Michała w roku 1915. Lipę zasadził ojciec jako mały chłopak a ja zasadziłem jako mały chłopak drzewa koło stodoły. W 1918 roku sprawiono młynek do zboża, brony i żelazny pług, do czego namówił ojca ks. Zych, proboszcz w Tuczempach. Dotąd siedlaczką wiał ojciec zboże. Od czasu wojny zboże zaczęto mleć we młynie. Do wojny zboże mielono na młynku ręcznym. W zimie raniutko wstawali rodzice i mełli. Ja też u Padiaka jako mały 10 letni chłopak mełłem zboże na młynku.

Gdy miałem 8 lat przyjechał Michał Padiak ze Lwowa z żoną, córką i synami odwiedzić swój dom rodzinny. Pamiętam jak córka dawała mi cukierki. Gdy miałem lat 10 matka zabrała mnie do Lwowa do dziadka. Gdy jechałem pociągiem nie mogłem zrozumieć dlaczego drzewa tańczą, kręcą się jedno poza drugie, gdy patrzyłem przez okno. Gdy przyjechałem do Lwowa zdawało mi się, że jestem w Radymnie i nie mogłem zrozumieć skąd się wzięła posadzka kamienna pod nogami na stacji. A gdy zobaczyłem szklany dach nad głową, bardzo się zdziwiłem. Ciotka Mania zaprowadziła mnie do fotoplastikonu. Widziałem tam różne obrazy patrząc przez szkła i byłem zachwycony.

W 4 klasie gimnazjalnej pojechałem sam drugi raz do Lwowa i dziadek oprowadzał mnie po muzeach, zaprowadził do Panoramy Racławickiej i na plac gdzie teraz się odbywają targi. Tam jechałem w lecie na sankach z góry zbudowanej z drzewa. To była dopiero uciecha. Dziadek też kupił mi białe ubranie ale zdaje mi się, że pieniądze dał brat jego żony Robert Morak z Kolina z Czech, który też tam przyjechał. Zawieźli mnie też do lasu do Brzuchowic, gdzie na letnisku mieszkała narzeczona Władka Padiaka – **Kazia Dwornikówna** z Niżankowiec.

Skąd jeden z Padiaków znalazł się we Lwowie? Otóż Michał Padiak brat Jana był służącym pokojowym u właściciela Tuczemp we dworze u **Edwarda Micewskiego**. **Julia Morak**, Czeszka, była pokojową u Jadwigi **hrabianki Skorupianki** pod Żółkwią. Aleksander syn Edwarda Micewskiego ożenił się z hrabianką Jadwigą i sprowadził ją do Tuczemp. Tu się Michał poznał z Julią i ożenił się z nią. Edward Micewski postarał się mu o posadę kelnera, a potem płatniczego we Lwowie, w Kasynie Narodowym, gdzie zjeżdżała się szlachta z Małopolski zwanej wówczas Galicją. Jako płatniczy z sutych napiwków zebrał dużo pieniędzy, wykształcił dzieci, tak że jeden Władysław był urzędnikiem w Ministerstwie Wyznań Religijnych, a drugi Julian skończył szkołę kadecką i był oficerem w armii austriackiej i polskiej. Córka nie wyszła za mąż i została hafciarką. Kupił też kamienicę piętrową, później sprzedał, a pieniądze w czasie wojny i zaraz po wojnie straciły wartość. Tak że żona jego Julia i córka Mania zostały bez grosza i żyły z szycia obrusów, serwet, szycia serdaków góralskich, nadto jeden i drugi syn przesyłają trochę pieniędzy. Michał umarł w 1918 roku na serce, bo martwił się, że Władek ożenił się wbrew jego woli, a Władek przez cały czas mieszkał w Warszawie, a żona z dziećmi we Lwowie. W lutym 1935 żona mu zmarła, więc dzieci oddał na mieszkanie i utrzymanie do swej matki Julii Padiakowej i do siostry Mańki. Julian przeniósł się z żoną do Warszawy, a syn jego jest w szkole kadetów we Lwowie. W Tuczempach rodzina Padiaków wymarła i przestała istnieć.

O sąsiadach bliższych i dalszych

W roku 1900 naszym sąsiadem od południa był Maksym Antoni i Szymon. Powodziło im się dobrze. Mieli oni cegielnię na ogrodzie, dzierżawili las za Sanem, mieli sklep korzenny, bili bydło i sprzedawali mięso, mieli karczmę. Antoni był Sekretarzem, chodził na polowania, wino beczkami sprowadzał, miał trafikę, miał młockarnię i sieczkarnię kieratową. Obok stodoły sterta ogromna słomy stała, stajnia murowana, bróg pełen siana - a dziś po 37 latach, po ich śmierci stajnia i bróg rozebrane, stodoła bliska zawalenia, nędza zapanowała.

Z drugiej strony, od północy był sąsiad Maciałek, który miał syna Grzegorza. Maciałek handlował bydłem. Umarli, a na ich miejsce przybył **Jan Łaba** znad Sanu. Sprzedał w 1919 roku swą posiadłość i przeniósł się do Świtarzowa koło Sokala. Łabę i jego żonę wywieźli sowieci w 1940 roku nad Morze Białe i tam zmarli oboje. Od niego **Dymitr Szafraniec** z Ameryki wróciwszy odkupił posiadłość.

Na wschód, za drogą, był sąsiad Bednarz, który miał najgorszy dom we wsi, małą budę otoczoną tarniną. Sprzedał swą posiadłość i wyjechał do Ameryki, a na jego miejsce przyszedł **Jerzy Noga,** który wystawił dom murowany za pieniądze wygrane na loterji. Dobry był sąsiad, uczynny. Umarł i zostawił syna Michała. Ten jako Rusin wyjechał do Horodenki gdzie zmarł 1 lipca 1945 roku.

Na północ od Nogi mieszkał Marcin Ochman, kolejarz drogowy, który zmarł zaopatrzony przeze mnie św. sakramentami. Wybudował on ołtarz Matki Bożej w kościele w Tuczempach. Żona jego sprzedała posiadłość **Franciszkowi Płoszajowi**, który w 1918 roku był oskarżony o zamordowanie Żydów w Tuczempach, zwolniony od winy i kary.

Na południe od Maksymów mieszkał Błażej Trelka, który był u nas codziennym gościem i mnie na wódkę do karczmy prowadzał. Od niego dostałem szopkę w kształcie kościoła z wieżą, którą jako mały chłopak bardzo się cieszyłem. Umarł, córka jego Anna wyszła za mąż za kolejarza z Muniny **Wawrzyszkę,** ten umarł nagle, zostawił 6 dzieci. Spalił się jej dom, przez 2 lata mieszkała w stajni. W 1947 roku poświęciłem jej fundament pod nowy dom.

Częstym gościem i sprzężnikiem u nas był Wojciech Bżdżoła. Zmarł, a na jego miejscu mieszka **Andrzej Pankiewicz**, wachmistrz z wojny światowej, który zmarł w 1944 roku. Bardzo godnym był. Często też przychodził do nas **Bazyli Hołowacz**, emerytowany sierżant austriacki. Z nim stawiałem plebanię i młyn w Tuczempach. Zmarł.

Na północ za Maciałkiem mieszkał Jan Mrozowicz kolejarz, drogowy, bardzo godny. Syna Tomasza zabił mu pociąg. Był to mój kolega. Zasnął przy torze i pośpieszny go zabił.

Antoni Hołowacz. Byłem małym chłopcem gdy on wyjeżdżał do Ameryki Północnej. Po kilku latach wrócił. Ostatnim był wójtem w Tuczempach. Raz prowadził konia przez kładkę na potoku koło szkoły i wpadł z koniem do wody. Przeziębił się, ropa się wytworzyła w boku i zadusiła go w 1936 roku. Namazałem go olejami świętymi, gdy był nieprzytomny i pogrzebałem go.

Józef Kogut, kolega gimnazjalny, starszy ode mnie o 4 lata. Bardzo zdolny, ranny na froncie w nogę. Złożono mu źle nogę i byłby kulawy. Prosił aby mu złamano nogę na nowo i złożono lepiej. Przy tym zaszło zakażenie krwi i zmarł. Był podporucznikiem. Pochowany w Tuczempach.

Józef Pajtasz, kolega szkolny z gimnazjum, syn kolejarza z budki kolejowej pod Ostrowem. Zabity na froncie rumuńskim. Był sierżantem artylerji górskiej.

Karolina Dwornikówna, koleżanka ze szkoły w Tuczempach, córka budnika kolejowego z budki Nr 169; była sanitariuszką w czasie wojny światowej, spotkałem ją będąc rannym. Zmarła na suchoty w roku 1936 w budce kolejowej pod Jarosławiem, obok placu ćwiczeń.

Antoni Szmyd i jego żona; właściciele młyna w Tuczempach, u których czasem bywałem; bardzo zacni ludzie – zmarli w czasie mej nieobecności w Tuczempach.

Wojciech Blok ze Młynów, mój stryj. Zmarł gdy byłem wikarym w Łańcucie 1931 roku. Nie byłem na pogrzebie, bo w zimie była wielka zawieja.

Józef Noga, syn Michała, mój chrzestny, kapral Wojska Polskiego w 1939 roku. Zgłosił się do policji gdy Niemcy zajęli Polskę; uzyskał tytuł wachmistrza i w czasie wyprawy ciężko ranny koło Jasła. Zmarł w szpitalu w 1943 roku. Przywieziono go autem i pochowano w Tuczempach.

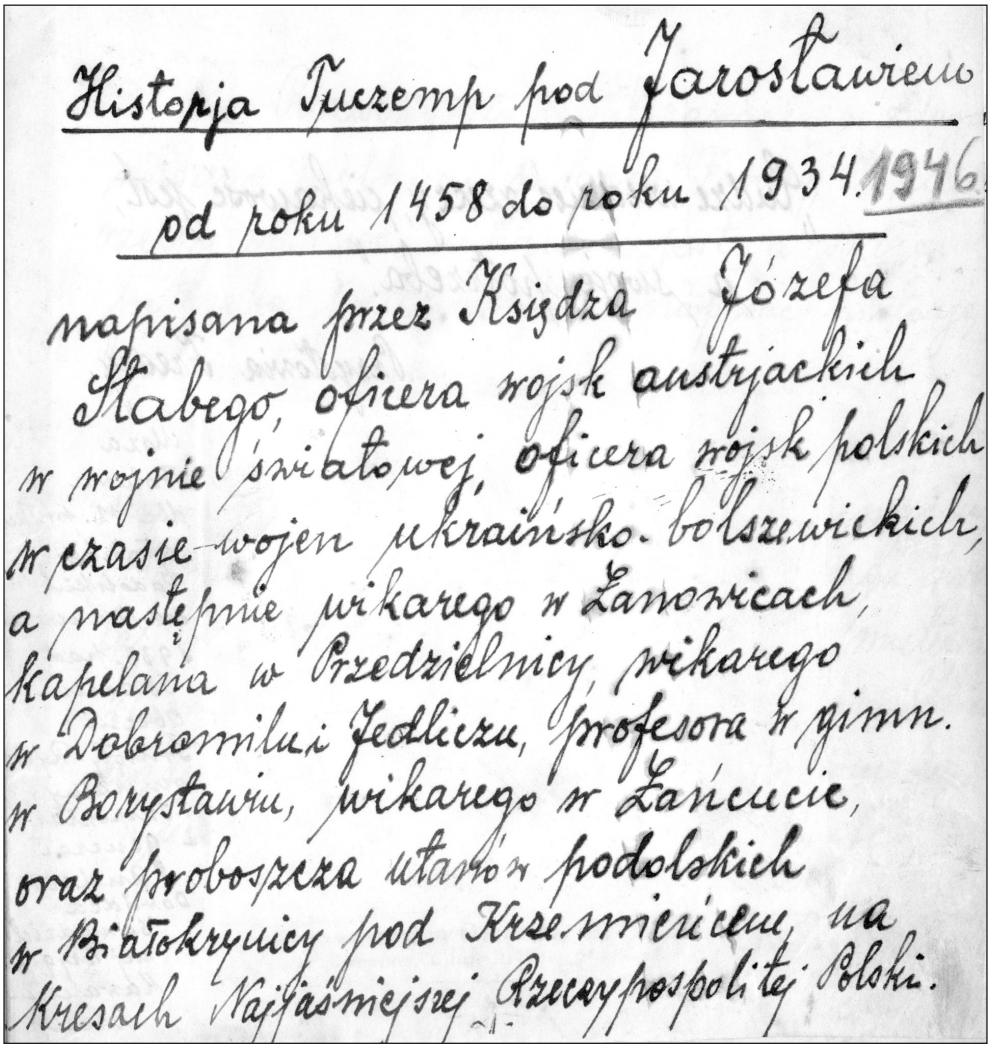
Historja Tuczemp pod Jarosławiem
od roku 1458 do roku 1934. 1946
napisana przez Księdza Józefa
Słabego, oficera wojsk austrjackich
w wojnie światowej, oficera wojsk polskich
w czasie wojen ukraińsko-bolszewickich,
a następnie wikarego w Łanowicach,
kapelana w Przedzielnicy, wikarego
w Dobromilu i Jedliczu, profesora w gimn.
w Borysławiu, wikarego w Łańcucie,
oraz proboszcza ustarń w podolskich
w Białokrynicy pod Krzemieńcem, na
Kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polski.

Stanisław Ledwos, porucznik Wojska Polskiego. W 1944 roku został wezwany do wojska. Zginął 17 października 1945 roku w katastrofie samochodowej na Śląsku w okolicy Legnicy. Tam go pochowano, a po tygodniu odkopano grób i autem przywieziono do Tuczemp.

Po latach: Gdy wyjdę na cmentarz i patrzę na groby znajomych, widzę jak marne jest życie każdego człowieka. Każdy pogrzebany był również młodym kiedyś, miał różne marzenia, różne cele i wszystko się skończyło, groby zarosły trawą. Nawet nie wiem ani ja, ani moi rodzice, gdzie, w których grobach leżą moi krewni, bo ani krzyża, ani znaku żadnego nie zrobiono. Boże! Boże! Jak marne jest życie ludzkie a człowiek człowiekowi wilkiem.

O Tuczempach*

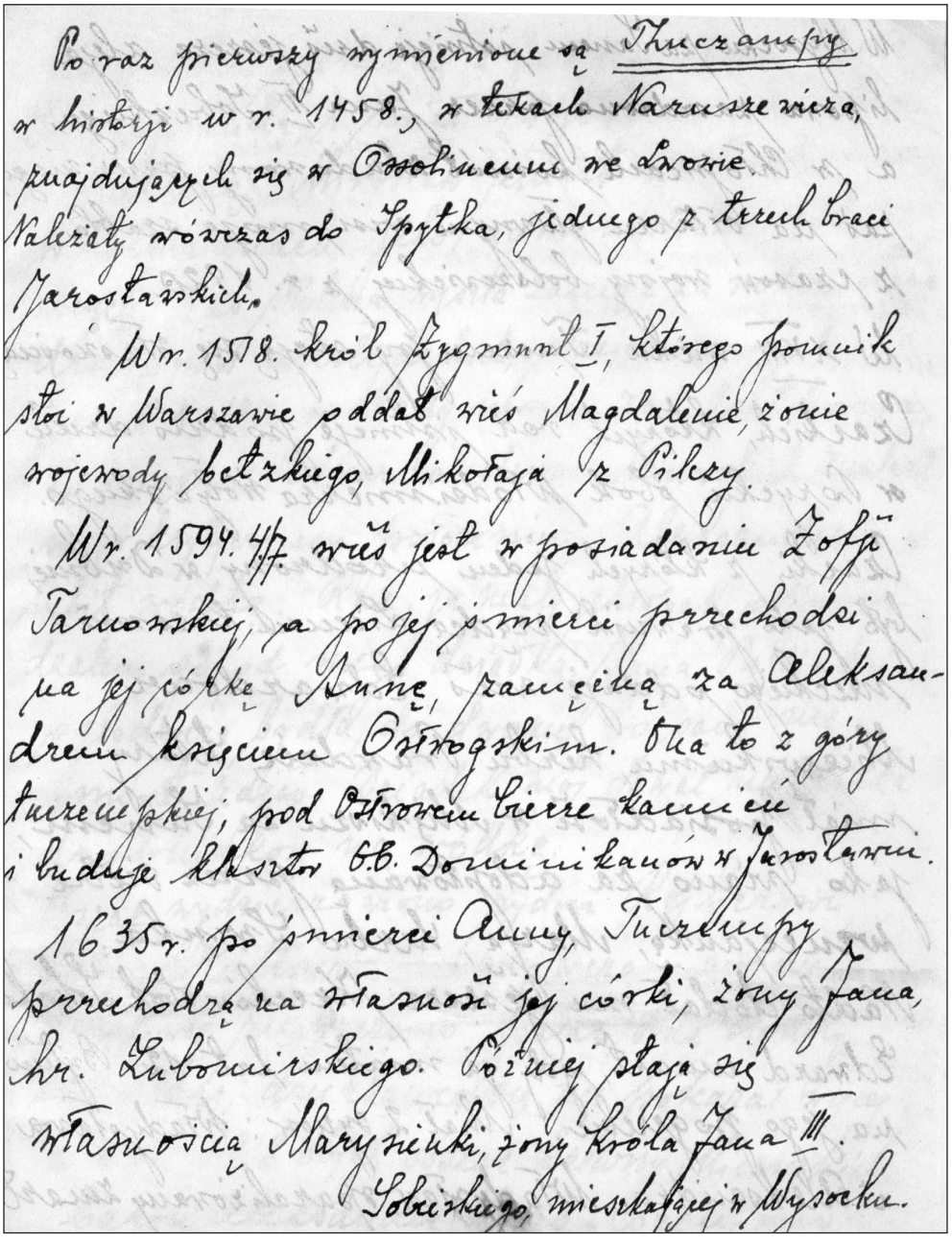

Po raz pierwszy wymienione są Tuczampy
w historji w r. 1458., w tekach Warszewicza,
znajdujących się w Ossolineum we Lwowie.
Należały wówczas do Spytka, jednego z trzech braci
Jarosławskich.
W r. 1578. król Zygmunt I, którego pomnik
stoi w Warszawie oddał wieś Magdalenie, żonie
wojewody bełzkiego, Mikołaja z Pilzy.
W r. 1594. 4/ff. wieś jest w posiadaniu Zofji
Tarnowskiej, a po jej śmierci przechodzi
na jej córkę Annę, zamężną za Aleksan-
drem księciem Ostrogskim. Ona to z góry
tureckiej, pod Ostrowem Tumskiem kamieniem
i buduje klasztor O.O. Dominikanów w Jarosławiu.
1635 r. po śmierci Anny, Tuczempy
przechodzą na własność jej córki, żony Jana,
hr. Lubomirskiego. Później stają się
własnością Marynienki, żony króla Jana III.
Sobieskiego, mieszkającej w Wysocku.

* Dla prawdy historycznej: pierwsza spotkana dotąd pisemna wzmianka o Tuczempach pochodzi z roku 1387 przy nadaniu króla Władysława Jagiełły, a z roku 1393 przy potwierdzeniu tegoż nadania przez królową Jadwigę(Kodeks Dyplomatyczny Małopolski: 4,991,19) w: T. Słaby: Tuczempy. Odsłona druga. Świnoujście 2010. ISBN:978-83-928576-4-8. W Rocznikach czyli w Kronikach Sławnego Królestwa Polskiego Jana Długosza, znajdujemy wzmiankę o tym, że w 1147 roku wracał z pierwszej wyprawy krzyżowej Szlachetny Jaksa z Miechowa(Kopanicy), którego teściem był Piotr Własta, ojciec Władysława Wygnańca. Występują tu Tucempy, w których powracający z wyprawy krzyżowej byli „obficie witani".Powstaje pytanie: czy J. Długosz prawie po 300 latach od tych zdarzeń, pisząc Kroniki, odkrywał fakty czy legendy ? Czy to były nasze Tuczempy? (Uwagi TS).

W Wysocku za Sanem istnieje dziś jeszcze aleja lipowa zasadzona przez Jana III. Sobieskiego, a w Chłopicach kościół zbudowany przez niego, zaś na ołtarzu głównym wisi moja szabla z czasów wojny bolszewickiej z r. 1920.

W XVIII. wieku Tuczempy stają się własnością Czackich, których ród istnieje podziś dzień w Porycku, obok Włodzimierza Wołyńskiego. Czacki, z których jeden urodzony w Dubnie, był jako prawnik rządcą Liceum Krzemienieckiego, oddaje wieś Edwardowi Micewskiemu, herbu Prawdzic, który miał posiadłość w Miękiszu za Sanem, jako wiano za adoptowaną przez siebie wenecjankę, Marją, herbu Świnka. Nadto [illegible] jeszcze Krechów obok Sokala. Edward umarł, gdy ja miałem lat 12. Byłem na jego pogrzebie. Miał 2 synów: Władysława i Aleksandra. Władysław, sparaliżowany zmarł.

Aleksander ożenił się z Jadwigą baronówną Skorupianką, i miał dwoje dzieci, Mirosława i Halszkę. Mirosław zmarł na Podolu w Kolędzianach, jako administrator dóbr obcych, zaś Helena wyszła zamąż za rotmistrza dragonów austrjackich, stacjonowanych

przed r. 1914. w Radymnie, za Pilthona.
Po śmierci Edwarda, dwór Micewskich znalazł
się w krytycznem położeniu. Aleksander
lubił wódkę. Raz, ja mały chłopak odprowa-
dzałem go od mego dziadka, Jana Padiaka
oglądacza bydła, do dworu, bo sam nie
mógł zajść. Dziadek mój, dawał mu kilka
drobniaków na wódkę.
Obszar wydzierżawiono żydowi Rejberowi,
potem Hüttnerowi, a gdy w czasie wojny
światowej zniszczono pałac, oraz stodoły,
inwentarz, dzierżawca się nie pokazał więcej
a w r. 1918 objął obszar krewny Micewskich
baron Aleksander Lago, ożeniony
z Anną Konarską z Grochowiec, pod Przemyślem.
On to, postanowił sprzedać obszar dworski, bo
rozpuszczano pogłoskę, że wywłaszczą właści-
cieli obszarów dworskich bez odszkodowania.
Sprzedał dwór i pole obywatelom Jarosławia,
Majewskiemu, Osadzie i Pacakowi.
Majewski ~~sp~~ oddał dwom synom swą część.
Jeden z nich, ożeniony z Sochówną wnet
sprzedał swą część, podobnie zrobili to Osada
i Pacak i sprzedali kolonistom z powiatu
przeworsko-łańcuckiego. I tak rozparcelo-
wano obszar dwusto-morgowy.
Za kilka lat będą na dawnym obszarze

małe, wąskie działki, jak na reszcie pól tuczempskich. Szkoda dworu, bo biedni mieli utrzymanie i każdy w razie potrzeby otrzymał pomoc. Helena, mieszkająca obecnie w Salzburgu, w Austryi, w Mirabelle-Schloss, odwiedziła raz swe gniazdo rodzinne i padła zemdlona na polach, widząc co się stało z jej ojcowizną. Z powodu dewaluacyi nie dostała ani grosza z ojcowizny.

Nic niema trwałego na świecie. I trony cesarskie i królewskie się powaliły. Widziałem ruiny pałaców rzymskich cesarzy, widziałem ruiny zamku królowej Bony pod Krzemieńcem, ruiny zamku w Odrzykoniu pod Krosnem, widziałem ruiny zamku Herburtów pod Dobromilem, widziałem zamek książąt Wiśniowieckich, później Mniszchów, a dziś w nim żydziaki mają świetlicę w Wiśniowcu pod Krzemieńcem i hulają w pięknej ongiś kaflami wzorzystemi wykładanej sali.

Nic więc dziwnego, że w Tuczempach pałac zamieniony na stodołę i stajnię. W Ostrowie stoją tylko ruiny.

Jest jeszcze w Tuczempach odwieczna lipa obok pałacu zamienionego na stodołę. Ona mogłaby wiele, wiele powiedzieć, co widziała i słyszała, gdyby mogła mówić.

Lecz i ona się wnet skończy, bo gałęzie jej poodcinano, a pień tylko pozostał.

Tak, niestety, wszystko ma swój kres, tylko Bóg jest wieczny, a wszystko przemija

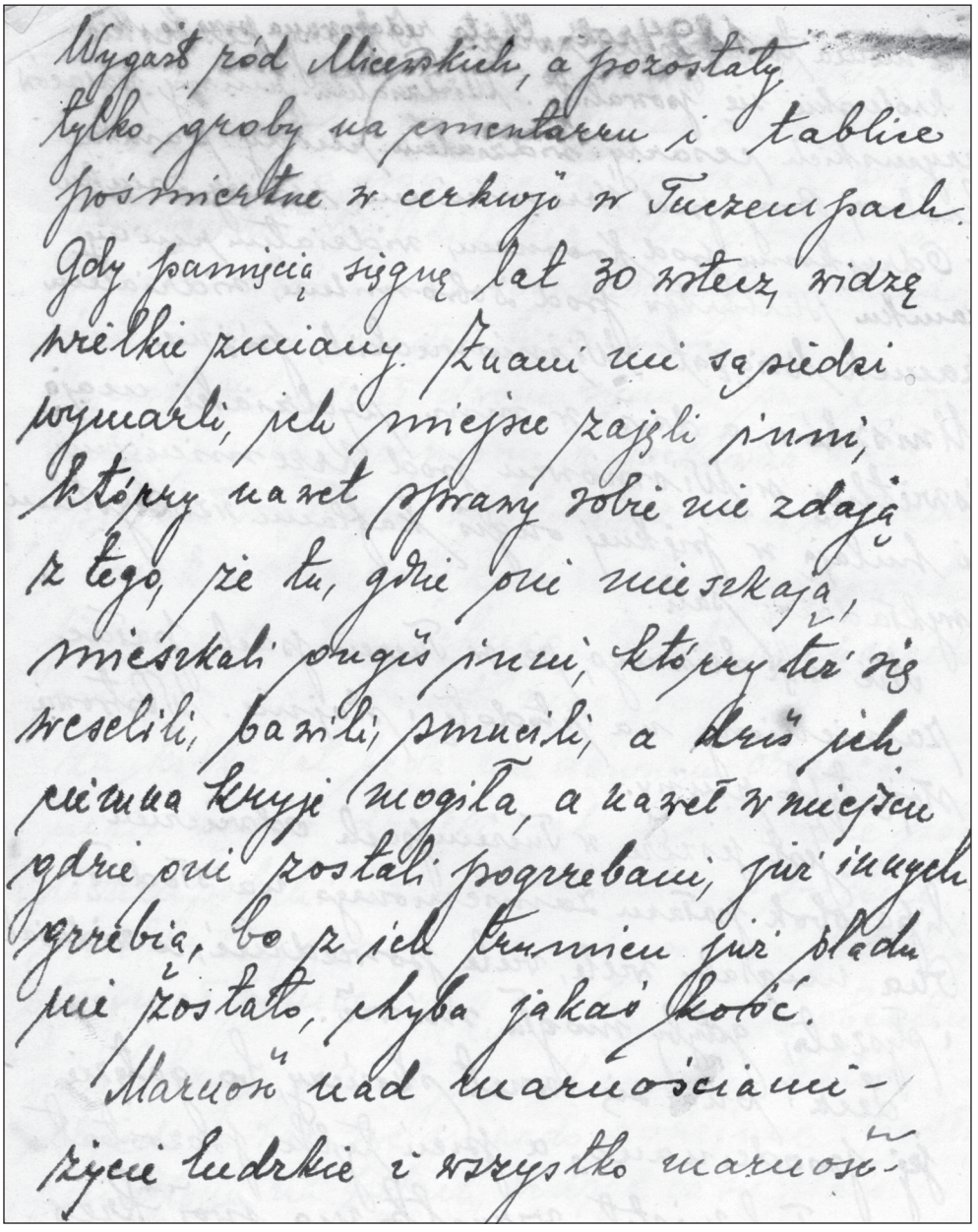

Wygasł ród Micerskich, a pozostały tylko groby na cmentarzu i tablice pośmiertne w cerkwi w Tuczempach. Gdy pamięcią sięgnę lat 30 wstecz, widzę wielkie zmiany. Znani mi sędziowie wymarli, ich miejsce zajęli inni, którzy nawet sprawy sobie nie zdają z tego, że tu, gdzie oni mieszkają, mieszkali drudzy inni, którzy też się weselili, bawili, smucili, a dziś ich cicha kryje mogiła, a nawet w miejscu gdzie oni zostali pogrzebani, już inni grzebią, bo z ich trumien już śladu nie zostało, zbyła jakaś zgroza.

Marność nad marnościami – życie ludzkie i wszystko marność.

W służbie Ojczyzny

Dzieje i tragedie w ostatnim roku dziewiętnastego wieku

W roku 1899 w jednej z wiosek Małopolski na podwórku gospodarskiem siedziało dziecię i jadło chleb z masłem. W tem przyszedł kot i pomagał mu w jedzeniu; dziecię nie odpędzało kota lecz gładziło jego jak węgiel czarną sierść. Za chwilę przywlókł się jakiś pies bezpański, na którego widok kot dał drapaka, a pies wyrwał dziecięciu chleb z rączki. Dziecię zaczęło płakać. Płacz dziecka sprowadził matkę, 20 letnią kobietę, która posadziwszy dziecię na kolanach, karmiła je mlekiem i bułką.

Jesienią tegoż roku wzięła matka synka za rączkę i poszli razem do sąsiedniej wioski, w której miał kwaterować **6. pułk ułanów austrjackich**, w którym jej mąż odbywał ćwiczenia, jako kapral w rezerwie. I rzeczywiście, po krótkim oczekiwaniu wjeżdżał szwadron do wsi, a matka potrząsając ręką chłopca, odezwała się: „Patrz, patrz! Może poznasz tatusia."

Przyglądał się mały uważnie każdemu ułanowi, ale ojca nie mógł dostrzec. Jechała ostatnia rota. W niej dopiero poznał ojca, okrytego grubą warstwą kurzu, siedzącego na spienionym bułanym koniu. Kapral zobaczywszy żonę i synka, zeskoczył z konia, którego oddał swemu koledze i witał się z żoną, całował syna. Po rozmieszczeniu szwadronu, po wydaniu rozkazów, cała trójka udała się do rodzinnego domu. Chłopiec idąc koło ojca, podskakiwał, dotykał się szabli, spoglądał na białe rękawiczki, na gwizdek kołyszący się na czerwonym sznurku, na błyszczące ostrogi. A gdy na drugi dzień ojciec w inne wyruszał strony, synek żegnał go z płaczem.

W siódmym roku życia

W siódmym roku życia zaprowadziła matka chłopca do szkoły, do zapisu. Stary, siwy nauczyciel, a był nim pan **Skoczyński**, tłumaczył chłopcu, aby w oznaczonym dniu, na głos dzwonka szkolnego, który wisiał na słupie obok szkoły, przyszedł na naukę.

Mały z niecierpliwością i ciekawością oczekiwał oznaczonego dnia, a gdy odezwał się dzwonek, wziął elementarz i tabliczkę do torby z płótna i ze strachem pobiegł do szkoły.

I odtąd przez lat pięć pobierał naukę, nie wiedząc na co mu się ona w życiu przyda. Nie zdawał sobie z tego chłopczyna sprawy, iż nieraz mu ona w życiu gorzkie łzy wyciśnie, łzy niezadowolenia, rozpaczy, bo nie da mu ona szczęścia, bo inaczej życie wygląda w książce, a inaczej w rzeczywistości; nie wiedział, że będzie żałował, że nie został nieukiem uprawiającym w spokoju ducha zagon ojczysty. Uczyłem się w szkole i uczyłem się w domu. Ojciec chciał ze mnie od razu zrobić uczonego człowieka, więc pokazywał mi jak się piszą litery, a gdy tego naraz pojąć nie mogłem to ciągnął za uszy i prał pasem. Skończył się rok szkolny, dostałem pochwałę i dobre świadectwo. Nastały wakacje. Na wakacjach pasłem krowę na pastwisku. Szkołę we wsi odwiedzałem, ale nie tylko odwiedzałem, ale się też uczyłem jak profesor twierdził „najlepiej ze wszystkich" przez 5(pięć) lat. Pan Skoczyński radził rodzicom, aby mnie oddali do szkoły w Jarosławiu. Spodobało się to rodzicom i razu pewnego matka wziąwszy dzban mleka, garnek masła i sera, poszła do dyrektora szkoły im. Konarskiego pana **Czopanowskiego** i tam mnie zapisała do III klasy. Było to roku 1905.

Odtąd zaczęło się dla mnie inne życie. Codziennie wstawałem o godzinie 5 rano, jadłem mleko i chleb, brałem książki pod pachę i maszerowałem 6 km do szkoły. Często padał deszcz i były bardzo wielkie błota. Wtedy ojciec odwoził mnie do rogatki i wracał. Gorzej było gdy przyszła zima. Wiatr mroźny rzucał śniegiem w oczy, oraz golił po nieokrytych częściach ciała. Gościniec był pełen śniegu, końmi przejechać nie było można, więc wtedy zaciągnąwszy kominiarkę na głowę maszerowałem do szkoły. Przez 5 lat odbyłem drogę pieszo do Jarosławia i z powrotem przechodząc **22 tysięcy 500 kilometrów**. Dziś sam podziwiam tę siłę, która mnie wówczas tak pchała do nauki mimo tych przeszkód. Uczyłem się świetnie. Byłem najlepszym uczniem w klasie. Noty na świadectwie były"bardzo dobry", innej by ze świecą nie znalazł.

Tuczempskie cuda

Razu pewnego, jako uczeń III klasy gimnazjum wziąłem w rękę gazetę starą („Chata" z 1894 r. redagowana przez Ks. Michnę) i właśnie natrafiłem na ustęp, który zawierał całą historję walki chłopów z ks. Baranowiczem z cerkwi w Tuczempach. Raz rozzłoszczony z tego powodu iż chłopi brali glinę z jego pola w kazaniu na samym początku zawołał: „świniaki, paciuki"; innym znowu razem, a było to na rezurekcji, gdy Polacy zaczęli śpiewać: „Wesoły nam dziś dzień nastał", on obróciwszy się zawołał: "Halt, ne wilno". Za dużo dobrego było więc chłopom i dlatego to postanowili zmienić obrządek, a gdy starostwo zaczęło robić trudności, oświadczyli chłopi iż w przeciwnym razie staną się wyznawcami Lutra. Jak go kijem tak go pałą. Teraz musieli Polacy drałować 6 kilometrów do Jarosławia do kościoła, w razie choroby po księdza tamże jeździć i zmarłych do Jarosławia na cmentarz wozić.

Powstała więc myśl zbudowania kościoła. Rozesłano na wszystkie strony tak zwanych „kwestarzy", aby zbierali pieniądze na budowę kościoła. Jednym z takich był mój wuj **Alexander Padiak.** Wreszcie przystąpiono do budowy kościoła i powoli rósł, rósł, aż wzrósł. Wystawiono go na wzniesieniu i z dala widać było wznoszącą się ku niebu sygnaturkę. Gdy kościół wybudowano, przeznaczył biskup przemyski **Józef Pelczar** dla

C. k. gimnazyum wyższe w Jarosławiu.

L. 31.

Świadectwo roczne.

Słaby Józef,

urodzony dnia 3 lipca 1896. w Tuczempach w Ga[illegible],

religii rzymsko-katolickiej uczeń klasy prywatny 3, otrzymuje niniejszem za rok szkolny 19 11/12 świadectwo następujące:

Zachowanie się: bardzo dobre.

Postęp w przedmiotach nauki:		Wynik ogólny
Przedmiot	Postęp	
w nauce religii:	bardzo dobry	
w języku polskim (jako wykładowym):	dobry	
w języku łacińskim:	dobry	
w języku greckim:	dobry	
w języku ruskim: (wzgl. obow.)	bardzo dobry	
w języku niemieckim:	dobry	
w historyi:	dobry	Do klasy następnej
w geografii:	dobry	
w matematyce:	dobry	
w historyi naturalnej (minerał):	dobry	uzdolniony.
w fizyce i chemii:		
w propedeutyce filozofii:		
w rysunkach odręcznych:		
w kaligrafii:		
w gimnastyce:		
Przedmioty nadobowiązkowe: w rysunkach odręcznych:		
Przedmioty nadobowiązkowe: w śpiewie:		
Przedmioty nadobowiązkowe: w stenografii:		
Przedmioty nadobowiązkowe: w zajęciach ogrodniczych	dobry	

Liczba opuszczonych godzin szkolnych: 45; z nich nieusprawiedliwiono: ÷.

Od opłaty szkolnej —— był uwolniony.

W Jarosławiu, dnia 29 czerwca 1912.

Eugeniusz [illegible]
dyrektor.

DYREKCYA C. K. GIMNAZYUM W JAROSŁAWIU

Wiktor Rumelski
gospodarz klasy.

Gimnazya. L. skł. 53 b.

Tuczemp samoistnego expozyta w osobie ks. **Jakuba Zycha**, rodem z Korczyny, żołnierza 34 pułku Obrony Krajowej , człowieka bardzo zacnego, silnego charakteru, który co raz postanowił, żadnemi czasy tego nie odmówi. Przybył on chory, albowiem pochodząc z chłopskiej niezamożnej rodziny, sam własną siłą, wolą niezłomną, przeszedł przez życie, a to odbiło się na jego zdrowiu. Ponieważ nie było plebanii, więc wedle umowy z panem **Micewskim** mieszkał w oficynach dworskich; później zaś gdy wybudowano plebanię tamże się przeniósł.

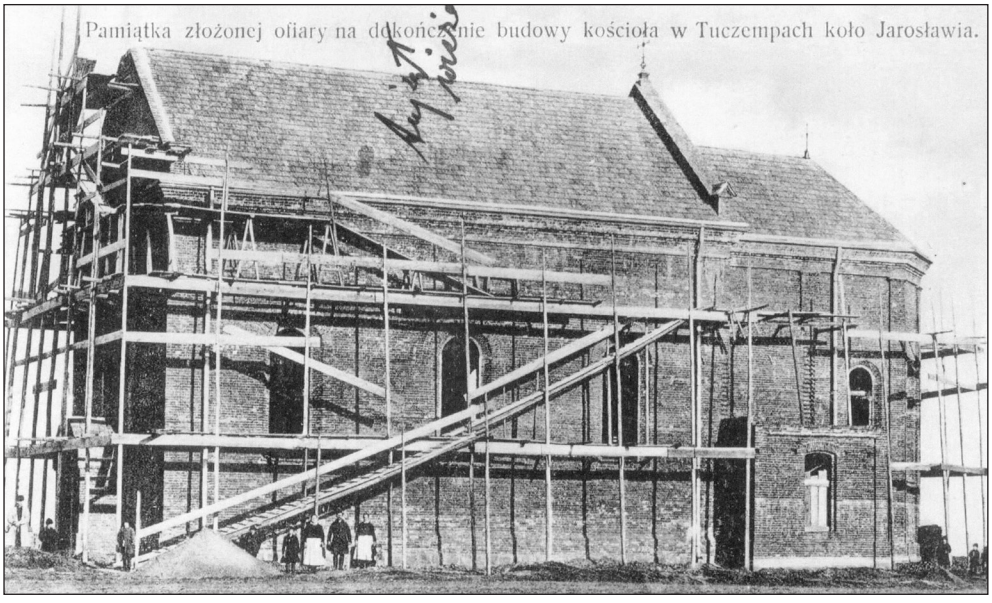

Tak więc stanął kościół, powoli wznosiła się plebania; pieniędzy na dzwonnicę nie było, więc dzwony na rusztowaniu drewnianem umieszczono. Zdawało by się, że Polacy i Rusini powinni by byli zaprzestać kłótni; gdyż jedni chodząc do cerkwi, drudzy do kościoła, powinni by byli być zadowoleni. Tak jednak nie było. Przyczyn i pozorów do sprzeczek nie brakowało.

I tak np.: Rusini twierdzili iż żadne dzwony tak dźwięcznie nie dzwonią jak dzwony w cerkwi. Polacy śmiali się z tego. Kpili też z klepania obręczy w Wielki Tydzień, oraz z zamykania dzwonnicy na kłódkę. W odniesieniu do zamykania dzwonnicy powiadali chłopcy: **”Skobel z kiełbasy, kołodka ze sała; pociągnął za skobel, kołodka odpała.”** Polacy narodowo uświadomieni wystawili Mickiewiczowi pomnik koło cerkwi, przy drodze do Morawska i Łowiec prowadzącej. Na postumencie z cegieł wznosiło się popiersie wieszcza. Włościanie z okolicznych wsi przejeżdżając koło pomnika, często uchylali czapek myśląc, że to” święty”z widocznej cerkwi. Pomni z głupoty i złości odbili kawałek nosa, albowiem popiersie było z gipsu. Razu jednego chłopi z Łowiec jadąc na jarmark pytali: ”Hej gospodarzu, a co to za święty bez nosa?” Za kilka tygodni kupiono kamienne popiersie Koło muru około cerkwi wznoszącego się prowadzi z jednej strony droga. Rusini pod pretekstem iż mur się niszczy, zakopali na środku tejże drogi słupa drewnianego, albowiem pragnęli w ten sposób dokuczyć Polakom. Polacy po kilku dniach słupa piłą zerżnęli przy samej ziemi. Złość Rusinów nie miała granic. Kupili więc 4 metrową szynę na kolei i zakopali ją na środku tejże drogi. Co dzień jeden z nich chodził pilnować szyny. Nadeszło nareszcie święto Wielkanocy. Straż zmniejszyła czujność, a tymczasem kilku Polaków przyjechało z końmi, zaprzęgli je do szyny, wyciągnęli z ziemi, zawieźli do stawu koło młyna i tam utopili. Rano, w dniu w którym miała się odbyć rezurekcja przychodzi kościelny **Michał Smoliło** i aż mu włosy dębem stanęły. Zrzucił płótniankę i na całe gardło krzyczał iż szyny nie ma. Został tylko ślad, którędy wędrowała szyna. We święto Zmartwychwstania szli Rusini do stawu, dobyli szynę i schowali ją w cerkwi za ołtarzem.

Wymieniwszy już tą osobliwość jaką w Tuczempach oglądać można, należy też pamiętać o karczmach jakie tu były. Było ich trzy. Dawnymi czasy ruch ożywiony w nich panował, teraz zaś cisza je zalega.

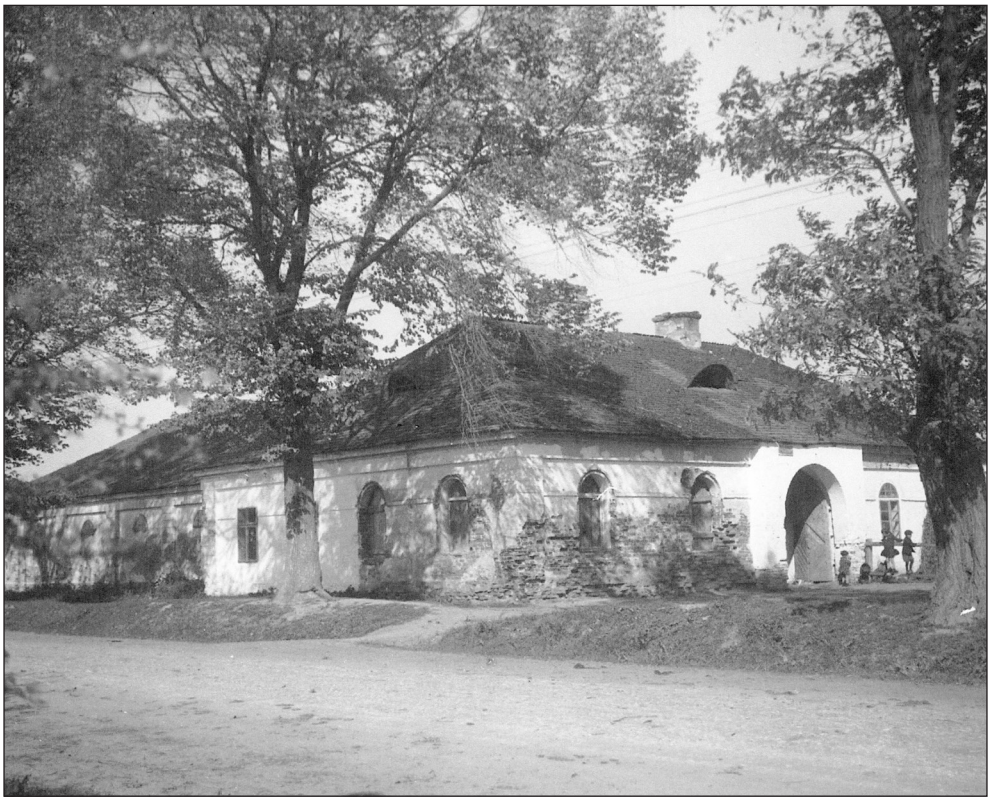

Do cudów w naszej wsi zaliczyć należy kancelarję gminną, małą kuczę słomą krytą, stojącą koło szkoły. Dziś w 1935 r. mieszka w dawnej kancelarji Blok, który w 1941 r. zamienił ją na stajnię. Wspomnę jeszcze iż na cmentarzu z początku chowano tylko Rusinów. Polaków wożono do Jarosławia. Gdy zaś kościół wystawiono tak Polacy jako też Rusini kładą się na miejscowym cmentarzu na spoczynek wieczny.

Wspomniawszy powyższe opiszę teraz mieszkańców i ich życie, sposób rządzenia się gminy. Będąc 8 letnim chłopcem czytałem w gazecie artykuł o Tuczempach. Pomiędzy innemi, było tam napisane:"Ludność Tuczemp składa się z Polaków, Rusinów i Żydów. Polacy są narodowo uświadomieni i mówią językiem literackim, językiem w którym uczeni piszą dzieła, nie zaś żadnem narzeczem. Byłem za mało rozwinięty, aby wtedy sąd o tem jakiś wydać. Później zaś, gdy trochę mózgownica ma się rozjaśniła, wtedy sam to zauważyłem. Czystą polszczyzną mówią Polacy z Tuczemp. Inaczej zaś

jest w sąsiedniej Muninie i Morawsku, gdzie już wkradło się narzecze. Całe dnie przepędzają pracując, a wieczorami schodzą się po kilku do sąsiada i gwarzą o rozmaitych rzeczach. Jeden opowiada coś o Trylogii Sienkiewicza lub czyta gazetę, a inni słuchają.

Cała wieś co 6 lat wybiera wójta aby niemi rządził. Ja zaś twierdzę iż wójta po to wybierają aby mieli kogo łajać i na kogo krzyczeć. **Wójt odbierając urzędowanie dostaje pieczęć, którą w szafce na kilka spustów zamyka, aby mu jej dzieci nie wyciągnęły i nie zgubiły. Gdy już trochę się z pieczęcią oswoi to nosi ją w kamizelce aby w razie potrzeby wydobyć i kilkakrotnie chuchnąwszy odbić na przekazie lub recepisie. Czasem chuchając dwa do trzy razy odbija pieczęć przyciskając dwoma rękami z całej siły, aż pot panu wójtowi obficie z czoła płynie. Więc czynność wójta jest uciążliwa.** Wybór odbywa się w ten sposób iż schodzą się chłopi do szkoły i tam kartkami głosują tajnie.

Skończył się rok szkolny, nastały wakacje i rodzice kazali dalej bydełko paść. Pasłem więc krowy i uczyłem się z książek z 4 klasy ludowej przy pomocy studenta **Franciszka Dyrkacza.** Postanowiłem bowiem nie chodzić już do szkoły ludowej, ale zdać egzamin do gimnazjum. Nadszedł czas zdawki. Poszedłem z matką do zapisu i zapisano mnie. Na drugi dzień zasiadłem do egzaminu i zdałem do I klasy gimnazjum. Tak więc mając 12 rok, wdziałem mundur gimnazjalny w 1906 roku.

Teraz byłem już panem. Tatuś kupili mnie czapkę studencką, czarne portki, sukienną bluzę i płaszcz. Książki od starszych kolegów kupiłem stare, każda kartka była z osobna. Najlepiej podobała mi się zoologia, w której różne zwierzęta były malowane. W lecie wychodziłem z domu o 5.30 rano i idąc do Jarosławia gościńcem uczyłem się, lub powtarzałem lekcje. O wiele gorzej było w zimie. W zimie tatuś wstawali rano, zapalali chmielinami w piecu i gotowali mnie mleko. Podjadłszy sobie, zaciągałem kominiarkę na głowę, szedłem do **Jana Cichowlasa,** który o 2 lata wyżej chodził ode mnie i razem maszerowaliśmy do Jarosławia. Tam napiwszy się herbaty, szliśmy do klasy. Naukę łatwo pojmowałem, więc w domu mało co się uczyłem. W domu często pomagałem rżnąć sieczkę lub też młóciłem z ojcem. Na wakacjach zaś, ukończywszy I klasę pasłem krowy i czytałem książki. Ponieważ czasem byłem zmęczony, więc szedłem na stację, wsiadałem do pociągu osobowego lub ciężarowego i jechałem do **Muniny.** Bardzo często pociąg w Muninie nie stawał, więc wtedy wyskakiwałem. Raz jechał pociąg ciężarowy z Muniny do Jarosławia bardzo powoli. Wskoczyłem do…. ale w niej drzemał konduktor. Obudził się, a ja czemprędzej wyskoczyłem.

W trzeciej klasie gimnazjum uczył mnie historji pan **Jacek Zieliński**. Razu jednego woła mnie na środek i powiada:" **A gotowałeś się ty chłopcze na dzisiaj? No zaraz ‚baranie rogi zobaczymy" A powiedz no mi dlaczego chłop nie płaci kopytkowego gdy goni kurę na jarmark ?**" Ja zdębiałem na takie głupie pytanie i odpowiadam, że kury wozi się w worku, a nie pędzi na sznurku na targ. Wszyscy w klasie w śmiech a pan Jacek powiada: „**Oj ty kobyla głowo,to ty nie wiesz tego, że kura ma małe kopyto i mało gościńca cesarzowi zepsuje, a ruszajrze baranie rogi na miejsce."** Ja usiadłem, a on zapomniawszy jak ja się nazywam zapisał memu koledze **Sokołowi** niedostatecznie.

Za kilka dni woła mnie pan Jacek znowu. Idę, a wszyscy się śmieją. Ja też uśmiechałem się nieznacznie. Jacek znowu trzyma do mnie mowę:" **mnie się zdaje, że „Ty" chłopcze znowu się nie gotował na dziś." „A powiedzno mi, dlaczego cesarz nazywa się najjaśniejszy?"** Ja nic na to. Jacek mówi: "**No kobyla głowo, bo on ma najjaśniej w głowie. No widzisz baranie rogi, takie to trudne. A widziałeś ty cesarza?**" Nie, odrzekłem. Na to wskazując obraz, powiada:", **No popatrz na haku wisi"**. Klasa ryczała ze śmiechu. "Jacek" włożywszy dwa palce w nos powiada dalej: "**A masz ty koszulę?**" „Tak jest", odrzekłem. **A z czego ona zrobiona? Z wełny, bawełny, czy pokrzywy?** Z perkalu, twierdzę. **No a gdzie bawełna rośnie**?" „Na bawołach w Ameryce" woła z kąta Osedowski Jasiek, któremu Jacek rzekł za to, że nie uważał: "**Staniej no sobie**

w koncie." Wszyscy w śmiech a Jacek mówi**: "Nie pytam się ciebie jołopie jeden, ty bałwanie, ty koniu pana Boga"**. Pyta mnie dalej: "**a masz że ty atlas?** „Mam ale w domu" mówię. „**A cepy tobie, a widły do gnoju, popatrzcie no chłopcy może on tam cepy przyniósł? To ojciec tobie daje, matka pcha a ty baranie rogi atlas w domu trzymasz? Ha? Sidnij, że sobie.** Tu znowu Sokołowi zapisał dwójkę. Za kilka dni zaczął opowiadać o wilkach. Mówił:"Nasze chłopy, jak jadą w pole, to biorą widły i cepy, boby im wilcy zjedli konie. No wy tego nie wiecie."Ja wtedy drzemałem i przez sen słyszałem jak coś o wilkach mówiono. Gdy wyrzekł słowa, wy tego nie wiecie, ja krzyknąłem: "Ja to wiem panie profesorze". „Odpowiedz no chłopcze". Zacząłem opowiadać: mój ojciec jak jedzie orać, to bierze w jedną rękę cepy, a w drugą widły, bo tam są ogromne wilki i zjadłyby konie". Wszyscy wstrzymują się od śmiechu, a pan Zieliński:**"o, o, chłopcy słuchajcie, mnie może byście nie wierzyli, ale to wasz kolega opowiada, jego ojciec walczy z wilkami. To jest straszny strach**".A jak ty się chłopcze nazywasz? „Słaby panie profesorze" i zapisał mi pierwszą klasę. Na klasyfikacji miałem dobrze, a kolega Sokół niedostatecznie.

Innym razem: „Wstawiaj chłopcze! Już czas się ubierać do szkoły". Tak odzywał się młody wieśniak do jedenastoletniego syna w pewien jesienny deszczowy poranek. Gorące mleko i kromka chleba na śniadanie. Za chwilę włożywszy jedną książkę za cholewę buta, a drugą ukrywszy przed deszczem na piersiach opuszczałem progi domu. Ciemno było bardzo i błoto ogromne. Nadto deszcz ostry siekł po twarzy, a wiatr przeciwny odpychał wstecz. Zmęczony wyciągałem nogi z błota i przebijałem się przez wiatr, a pot zmieszany z kroplami deszczu spływał po twarzy. Po półtoragodzinnym zmaganiu się z wiatrem, deszczem i błotem, doszedłem do miasta. Zanim poszedłem do szkoły, wstąpiłem jeszcze do kościoła, aby polecić się opiece Bożej. Po nauce, która kończyła się o godzinie pierwszej wracałem do domu i tak się to powtarzało przez długich, bardzo długich pięć lat.

Zimą, gdy mróz dochodził do 22 stopni, a cała wieś pogrążona była we śnie, tylko w jednym domku świeciło się, a przez niezupełnie zamarzniętą szybę widać było, iż przy stole siedział student 3 klasy gimnazjum i chociaż to była dopiero godzina 6, jadł śniadanie. Matka leżąc w łóżku, odezwała się do niego:"Jakże ty tam pójdziesz na takie zimno? Psa szkoda by było wygnać w taki czas". Ojciec zaś chodząc po izbie mówił:"Idź spać, nie idź dziś do szkoły". Pójdę i poszedłem. Mróz był siarczysty. Droga była zawalona śniegiem po pas, tak że z trudnością mogłem się poruszać. Gdy przyszedłem do gimnazjum godzina się już zaczęła. Oczyściwszy ubranie i buty ze śniegu, wszedłem do klasy. Profesor popatrzywszy na mnie spode łba przez okulary krzyknął: "Co ty bałwanie sobie myślisz, że tu hotel, a atlas ty masz? Stań sobie w koncie. A cepy tobie, a widły do gnoju, a nie książki!" Tak to po odbyciu dwu godzinnej drogi wśród ostrego mrozu, stałem jeszcze przez godzinę w koncie. Cisza panowała w klasie, nikt się nie śmiał, tak że profesor z zakłopotaniem spoglądał po uczniach.

Nadeszły wakacje. Krów już tatuś pasać nie kazali. W domu usiedzieć nie mogłem. Znalazłem więc robotę na kolei. Kilka dni pracowałem ze ślusarzem, kilka dni z murarzem, kilka dni robiłem z chłopami w partii, kilka zaś dni wycinałem trawę. Tak pracowałem miesiąc; wakacje miały się ku końcowi więc zaprzestałem pracy i kilkanaście dni spoczywałem aby nabrać sił do nauki.

Zapisałem się do klasy czwartej. Kupiłem stare potargane książki, z których po kilka kartek wkładałem do notatki; notatkę wkładałem za cholewę w butach i szedłem tak codziennie do szkoły.

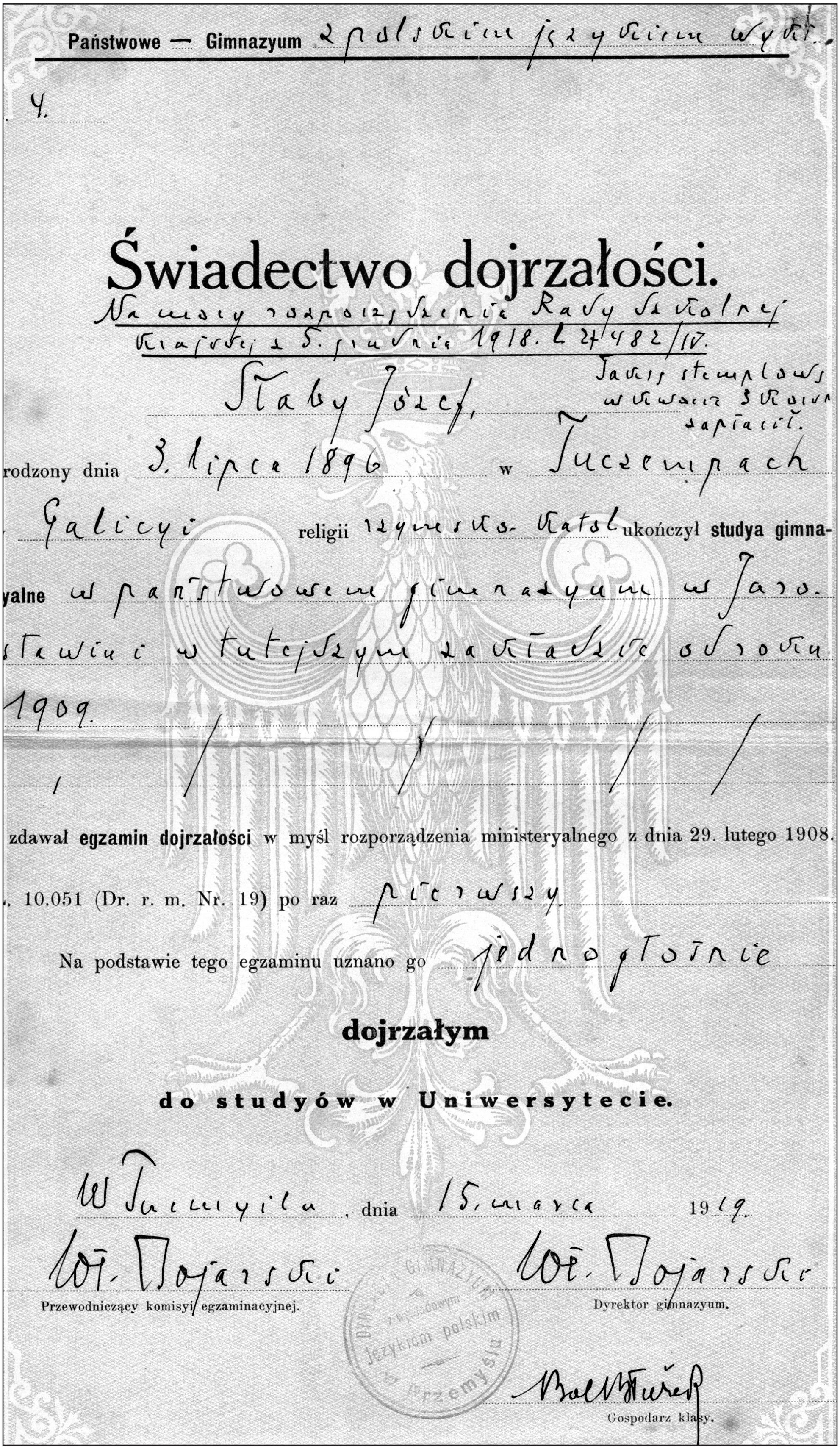

Państwowe — Gimnazyum z polskim językiem wykł.

4.

Świadectwo dojrzałości.

Na mocy rozporządzenia Rady Szkolnej Krajowej z 5. grudnia 1918. L. 24482/IV.

Staby Józef,

Taksy stemplowej [illegible] zapłacił.

rodzony dnia 3. lipca 1896 w Tuczempach

Galicyi religii rzymsko-katol. ukończył **studya gimnazyalne** w państwowem gimnazyum w Jarosławiu i w tutejszym zakładzie od roku 1909.

zdawał **egzamin dojrzałości** w myśl rozporządzenia ministeryalnego z dnia 29. lutego 1908. L. 10.051 (Dr. r. m. Nr. 19) po raz pierwszy.

Na podstawie tego egzaminu uznano go jednogłośnie

dojrzałym

do studyów w Uniwersytecie.

W Przemyślu, dnia 15. marca 1919.

Wł. Bojarski
Przewodniczący komisyi egzaminacyjnej.

Wł. Bojarski
Dyrektor gimnazyum.

Dyr. ... Gimnazyum z wykładowym językiem polskim w Przemyślu

Boltturek
Gospodarz klasy.

Klasę czwartą ukończyłem z dobrym wynikiem i podałem się o przyjęcie do Małego Seminarjum w **Przemyślu**, mając zamiar wstąpić w szeregi duchowieństwa djecezjalnego. Poszedłem do dworu w Tuczempach i poprosiłem panią Jadwigę Micewską o list polecający. Otrzymałem list do biskupa Fischera. Miałem też list polecający od katechety z Jarosławia **ks. Lisińskiego.** Marzenia moje się spełniły. Za pośrednictwem pani Micewskiej, za poparciem księdza bpa. Fischera zostałem przyjęty po ukończeniu 4 klasy gimnazjalnej w Jarosławiu, do Małego Swminarjum w Przemyślu.

Na wakacjach dostałem zawiadomienie o przyjęciu. Więc gdy się skończyły wakacje we wrześniu 1912 roku spakowałem książki i bieliznę do kufra i tatuś odwieźli mnie wozem do **Przemyśla**. Ucieszyłem się bardzo, że skończyło się moje drałowanie do Jarosławia.

Ks. Rektor **Tomasz Wąsik** pokazał mi salę i łóżko, które miałem zająć. Teraz zaczęło się nowe życie. O godzinie 5/20 rano stary służący Antoni dzwonił na wstawanie; o godzinie 6 ks. Rektor odprawiał mszę świętą. Po mszy świętej każdy powtarzał lekcję, a o godzinie 7 cała brać szła na żarcie do refektarza. O godzinie 7/30 maszerowali wszyscy wychowankowie do gimnazjum po oświetlenie niemądrych głów.

Jeszcze się po gimnazjum nie oglądnąłem, bo dopiero drugi raz przyszedłem, a już zrobiłem „skandal". Raz idę po schodach, aż tu ciągnie mnie jakiś młody panek za połę płaszcza. Odwracam się do niego i mówię:"Niby co sobie pan życzy?" A on do mnie po rusku: "Ty trutniu aden, czamu ty sia mene ne kłaniajesz"? Ja zrobiłem ostrą minę i prawię do niego: Niby jak; czy ja pana znam, z jakiej racji? On dalej mnie pyta:"Jak ty sia nazywajesz"? „Słaby z VI klasy Małego Seminarjum" i poszedłem. Na drugi dzień dyrektor trzymał do mnie mowę i kazał go przeprosić, a na trzeci dzień beształ mnie ks. Rektor za to. Ja zaś słuchałem tego brzuchem i myślałem"gadajcie sobie zdrowi".

Za kilka dni zapisałem się na stolarnię i raz wieczorem poszedłem tam. Wziąłem kawałek deski, zakręciłem do warsztatu i powiadam:"Panie profesorze a gdzie jest hybel?" Jak się pan **Błażek Bolesław** nie rzuci, nie krzyknie: "Co za hybel, jaki hybel, to się w naszym języku nazywa strug", aż zdębiałem na takie powitanie. Powoli oswoiłem się z nowem gimnazjum, profesorami i bardzo byłem zadowolony.

Na wakacje pojechałem do domu. Ponieważ ojciec mego kolegi **Czopek** zajmował się regulacją Sanu, więc ja z Czopkiem Jaśkiem jeździłem na okręcie „Koperniku", za opłatą 2 koron dziennie, którą co 10 dni pobierałem. Po wakacjach jako szóstoklasista pojechałem na dalsze studja do Przemyśla. Po roku nauki pojechałem do Lwowa, stamtąd zaś wróciwszy pomagałem w robotach polowych w domu. Na tych wakacjach najwięcej czasu przepędzałem z panem **Bazylim Hołowaczem**, wspólnie pracując i popijając. Wakacje w latach 1913/1914 zbliżały się ku końcowi, aż **nagle wybuchła od tylu lat przewidywana wojna.**

Dopisek po 24 latach. Byłem, jakobym nie był, Pozostał mi tylko grób. Matka zmarła na raka 1942, ojciec konający w 1944, a dawny dzieciak, pokryty siwizną, maruda jak Hiob na dzień swych urodzin. Życie obeszło się z nim okrutnie. Z upragnieniem czeka na śmierć, jako na przejście do lepszego życia, mając wiarę i nadzieję w Bogu. **Życie było krótkim snem, w przeważnej części straszliwym i bardzo nieszczęsnym**.

Maj – raj – gaj...

W cichy, prześliczny wieczór majowy, grupa złożona z mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt dorosłych, oraz dzieci, klęczała przed wiejską kaplicą i śpiewała litanię do N.M. Panny. Wśród obecnych znajdował się też pewien 9 letni chłopiec, który razem z innymi śpiewał litanię i pieśni i z niecierpliwością czekał zakończenia nabożeństwa, bo wtedy czekała go bardzo miła czynność. Ot właściciel kapliczki, stary, siwy gospodarz, pozwolił mu gasić świece, co także czynił z wielkim namaszczeniem.

Po zamknięciu kaplicy wracał do domu, lecz nim drzwi otworzył stał długo przed domem i wsłuchiwał się w ciszę, przerywaną tylko czasem szczekaniem psa gdzieś w oddali, wpatrywał się w księżyc i w przecudnie migocące gwiazdy, a napatrzywszy się do woli, otwierał cicho drzwi i położywszy się do łóżka, pogrążał się w specjalny sen, właściwy dzieciom - które przez cały dzień ani chwili nie ustały w miejscu, lecz były ciągle w ruchu.

Dopisek po 24 latach. Budowniczy i właściciel kaplicy dawno pomarli, a chłopak, który wówczas miał lat 9, w latach 1939 - 1941 w tej kapliczce w czasie nalotów bombowców odprawiał mszę św. Ale nie był to już maj, nie była to wieś spokojna i wesoła, lecz tragizmu pełna, tak jak pełne tragizmu było serce wprawiającego mszę św. Od 1914 do 1939 roku cztery razy pożoga wojenna przesuwała się przez wieś i okolicę, siwizna okryła tego, co ongiś świece gasił, jako 9 letni. Teraz sam kapliczkę otwierał, świece palił, mszę św. odprawiał, świece gasił, kaplicę zamykał i swej chorej na raka matce, nosił komunię św. Tragedia życia.

Wieczorem

W długie, jesienne i zimowe wieczory zgromadzali się sąsiedzi i sąsiadki w domu gospodarza Wojciecha. Przychodził tam też gospodarz **Józef Karczmarz**, który ongiś w jednym z węgierskich pułków konnicy pełnił służbę. On to zazwyczaj zabierał głos i opowiadał różne epizody z „Trylogii" Sienkiewicza. A tak umiał barwnie, żywo i z gestykulacją wszystkie sceny odtworzyć, że obecni godzinami słuchali jego opowiadań. Przesuwały się przed słuchaczami sceny z oblężenia Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca, postacie Kmicica, Skrzetuskiego, Zagłoby, Wołodyjowskiego, Heleny, Basi, a wszystkie postacie tak scharakteryzowane jak gdyby je opowiadający tysiąc razy oglądał, a wypadki tak opowiedziane, jak gdyby w nich brał osobiście udział.

Przysłuchiwał się tym opowiadaniom razem z innymi syn Wojciecha i pewnego razu tak zagadnął opowiadającego: „A skąd wy to tak dokładnie znacie"? On zaś tak odpowiedział: „Lubusiu, ja czytam całymi wieczorami. Nieraz nawet nad ranem piania koguta nie słyszę, taki jestem zaczytany. Raz moja stara obudziła się w nocy, i powiada, abym zgasił światło i poszedł spać, a ja jej na to: „Ty stara nic nie wiesz, gdybyś ty wiedziała jak Bohun uciekał, jak mało szarawarów nie zgubił, to by ci się spać nie chciało."

Uśmiało się całe audytorium, a ponieważ zegar wskazywał godzinę 11, rozeszli się do domów, aby nazajutrz znowu się zgromadzić. Małemu bardzo się podobały te opowiadania, przetrawiał je w myśli i prosił Boga, aby mógł dożyć czasów, w których dane by mu było oglądać szeregi wojsk polskich.

Tempora mutantur

Jak już wspomniałem od klasy V. gimnazjalnej począwszy, los dla małego wędrowca po złote runo okazał się łaskawszy. Dzięki dobrym ludziom, „za pośrednictwem p. **Micewskiej**, za poparciem ks. bpa **Fischera**, zostałem przyjęty po ukończenie 4 klasy gimnazjalnej w Jarosławiu, do Małego Seminarium w **Przemyślu**" i tam otrzymałem, w odległym o kilka mil starożytnem mieście, wówczas twierdzy, mieszkanie i utrzymanie i tam dalsze pobierałem nauki. We wrześniu 1912 r. wyjechałem wozem na dalsze studja do gimnazjum na ulicy Słowackiego.

Skończyły się codzienne, dwumilowe wędrówki do szkoły, a ponieważ nie potrzebowałem wiele czasu poświęcać na przygotowywanie się do lekcyj, siedziałem w godzinach popołudniowych w obserwatorjum szkolnem i badałem kierunek wiatru, jego siłę, opady atmosferyczne, ciśnienie powietrza i wszystko notowałem z największą ścisłością. Wieczorem zaś zeszedłszy do stolarni gimnazjalnej zrzucałem bluzę, a zakasawszy rękawy koszuli strugałem deski, kleiłem, robiłem różne sprzęty potrzebne w życiu codziennem.

Profesor zaś matematyki, kierownik często przyglądał się mojej pracy i od czasu do czasu mówił „Lepiej deskę prostą urżnąć, niż pierwiastek wyciągnąć" „Zrób mi czop, a ja ci powiem coś ty wart. "I miał rację. Profesor polonista był bardzo wymagający i trzeba się było bardzo pilnować, aby mieć notę dostateczną. Na nieszczęście musiałem się uczyć ruskiej literatury, czego w Jarosławiu nie uczono. Zacząłem w V klasie od abecadła. Profesor był bardzo miły. **Zahajkowicz** się nazywał. W VI klasie profesor **Grzech** był bardzo wymagający, a do mnie czuł antypatję, bo mu się raz nie ukłoniłem, gdyż go jeszcze nie znałem. Często mnie pytał, ale nigdy mnie nie złapał nieprzygotowanego i musiał mi dać notę dobrą. Dyrektor gimnazjum **Bojarski** codziennie przed

P.S. Karczmarz w 1942, zimą zmarł na tyfus w szpitalu w Jarosławiu, dokąd go odwiozła kolumna sanitarna. Nie wiadomo gdzie pogrzebany, czy na cmentarzu w Jarosławiu czy na polu obok szpitala. Na nim wygasł jego ród. Wiele pracował a nic z tego nie miał, bo go złodzieje okradali.

pierwszą lekcją spacerował przed szkołą i oglądał każdego ucznia od stóp do głowy. Czy jest przepisowo ubrany. Solidny to był mąż. Rektorem gimnazjum gdzie mieszkałem był ks. **Wąsik**, dla mnie bardzo antypatyczny, do którego nigdy nie miałem zaufania. Na nas spoglądał spodełba i często mówił:"Jak ci się nie podoba, drzwi otwarte". Faworyzował jednych, którzy chodzili na tańce udając, że tego nie wie. Ale wyszło szydło z worka i ks. biskup Nowak odebrał mu rektorat. Utrzymanie było bezpłatne. Ja jednak osiągnąwszy w przyszłości stopień oficerski, zapłaciłem za dwuletni pobyt w tym zakładzie, ku zdziwieniu rektora, bo jeszcze dotąd taki się nie znalazł.

Gdy zaś który z chłopców nie mógł sobie poradzić z jakąś robotą i zwracał się do profesora, że nie może tego zrobić, profesor się nie wypowiadał, tylko kurząc fajeczkę uśmiechał się i wskazywał na ogromne tablice wiszące na ścianach, a głoszące „**Nie ma niemożliwości – jest tylko brak woli.**"Gdy wracałem na wakacje, wiozłem z sobą plon swej pracy stolarskiej, kufer, wieszak, szafkę na książki, wiszącą i stojącą, stół, przyłóżek.

Wojna

W lipcu 1914 roku ukończyłem VI klasę gimnazjum i wyjechałem do Tuczemp na wakacje. W czasie wakacyj pracowałem w domu i przy regulacji Sanu z kolegą Czopkiem. Wakacyj nie ukończyłem w spokoju, bo 1 sierpnia 1914 roku ogłoszono mobilizację od 21 do 42 lat. W wojnie światowej wójtem był **Jan Kmieć**, sekretarzem **Maksym Antoni**. Za wojny ukraińsko – bolszewickiej wójtem był **Józef Czubocha**, sekretarzem **Pankiewicz Andrzej**. I spełniło się gorące życzenie Rosji popieranej przez protestancką i żydowską Francję oraz takąż samą Anglję. Austrja wypowiedziała wojnę Rosji. Zaraz po wypowiedzeniu wojny Serbii wydał cesarz austrjacki manifest „Do moich ludów" i zarządził częściową mobilizację, która miała być zapowiedzią mającej się wkrótce pojawić mobilizacji ogólnej, która w naszych Tuczempach przedstawiała się następująco: W sobotę około 6. wieczorem rozeszła się wiadomość o wypowiedzeniu wojny. Wyszedłem z domu i stanąłem koło płotu. Idący z kolejowej roboty **Andrzej Mrozowicz** przyszedł do mnie i oznajmił mi, że o godzinie 5-tej nadeszła ogólna mobilizacja, ale jeszcze ogłoszoną nie jest. Wieść o tem piorunem rozeszła się po wsi. Zakotłowało się w spokojnej wiosce, zaniepokoili się mieszkańcy i kilkunastu popędziło do wójta, aby ten pokazał im papiery mobilizacyjne, albowiem ktoś puścił pogłoskę, że wójt karty powołujące ukrywa, aby je w ostatniej chwili pokazać. Byłem i ja wtedy u pana wójta. Pan wójt **Jan Kmieć** właśnie wrócił z miasta i zajadał kapustę, podchmielony nieco i trzymał pod pachą papiery jakieś w chustce zawiązane. Gdy chłopi domagali się aby im pokazał karty powołujące, twierdził uroczyście, że to tylko na rozkaz pana starosty pokazać może. Chłopi nie myśleli czekać aż jakiś tam pan raczy pozwolić na wydanie kart, ale wyciągnęli ręce po chustkę z papierami. Wójt uległ przemocy. Przeczytałem karty. Było ich 24. Ci którzy te karty dostali poszli do kościoła, by się wyspowiadać na wojnę, a było to o godzinie 10 w nocy.

Wracałem do domu, gdy wtem spotkał mnie słuchacz Świętej Teologii **Franek Dyrkacz** i namówił mnie, bym się jeszcze wrócił na wieś. Idziemy, gdy naraz rozlega się potężny głos: "**Wójcie! Wójcie!"** Pędzimy więc dalej do wołającego i spostrzegamy, że jest to dzierżawca dóbr w Tuczempach; wracał on z Jarosławia, a gdy się już większa gromada ludzi zebrała, ogłosił on z polecenia starosty, mobilizację ogólną, roczników od lat 24 do 42. Wtedy głupio się zrobiło każdemu, bo to rzecz nowa i zaraz zaczął się płacz kobiet, które umieją tylko dwie rzeczy: płakać lub śmiać się, a chłopi pocieszając je sami

***** Profesorem tym był **Błażek Bolesław,** Ślązak, który w 1939 uczył w szkole rolniczej w Cieszynie i podawał wiadomości meteorologiczne do radia. Dziś w 1946 roku pewnie nie żyje. Był to bardzo dobry człowiek.

płakali. Wójt jeszcze i teraz nic nie chciał powiedzieć, ale twierdził, że on wie co ma robić. Udano się więc gromadami do sekretarza pana Antoniego Maksyma. Sekretarz też był nie trzeźwy. Wkrótce jednak znikły wątpliwości wszelkie, bo ze starostwa przyjechał żandarm i przywiózł ogłoszenia mobilizacyjne. Pobledli chłopy, jak gdyby im za 24 godziny umierać przyszło. Zjawili się żandarmi, aby zarekwirować podwody. Ogromny ruch, popłoch ogarnął wieś. Płacz kobiet i dzieci słychać było długo. 320 powołań do wojska nadeszło. Proboszcz ks. Zych całą noc spowiadał odchodzących na wojnę. Nazajutrz po południu każdy powołany wziął worek z bielizną i chlebem na plecy. Kilkadziesiąt koron do kieszeni i wśród łez, jakie mu się cisnęły do ócz na widok zostającej bez opieki gospodarki, żony, dzieci, opuszczał swą ukochana rodzinną wioskę, ziemię swoich dziadów – by stanąć na miejscu tymczasowego przeznaczenia w Jarosławiu, a później w szeregach. Wieś wyglądała jak wymarła. Głucho i smutno było po odejściu 320 chłopów. Przeszedłem się po wiosce i zobaczyłem tylko gdzieniegdzie kilka kobiet z zapłakanymi oczyma; panowała cisza i pustka; psy nawet zmianę poczuły, bo szczekać przestały. Jedni pojechali, inni poszli do Jarosława. Tam jedni 3 dni, inni 7 lub 8 błąkali się zanim ich umundurowano. Wieczorem można było widzieć nie jednego, który ukradkiem przedarł się przez bramy lub płoty i przybiegł do domu, aby go może po raz ostatni zobaczyć i najeść się. Z pierwszym dniem mobilizacji ogromny ruch zapanował na kolei. Jechał pociąg za pociągiem wioząc wojsko, armaty, samochody, wozy czerwonego krzyża itd. Wojsko jadąc wystawiało czerwone chorągwie i śpiewając żegnało czapkami machając, stojących koło kolei wyrostków i starych włościan. Po mobilizacji na ludzi nadeszła mobilizacja na bydło. Każdy, który więcej niż jedną krowę posiadał obowiązany był sprzedać państwu. Przytem działy się różne nadużycia, gdyż urzędnicy gminni tak wszystko urządzali, aby czyje a nie swoje krowy sprzedać. Ale kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Wkrótce bowiem zmieniły się czasy, a ci panowie brali nahajem po plecach. Wieś ożywiła się gdy artylerja z Głębokiej , zakwaterowała się, aby się zorganizować do wymarszu. We wsi umundurowały się trzy kolony kanonierskie i prosto w pole ruszyły. U nas w domu było 5 żołnierzy, 17 koni powiązanych do drzew na ogrodzie i jeden rymarz, którego porucznik często wiązał do słupka bo zawsze był pijany. Za kilkanaście dni pojawiły się w Muninie transporty rannych od Rawy Ruskiej. Ludność z Tuczemp, Muniny i Morawska wynosiła im żywność, chleb, mleko, ser, masło, jaja i rozdzielali pomiędzy nich. Pewnego dnia,prosił mnie pisarz gminny, abym w jego nieobecności pisał ludziom legitymacje – przepustki. Obiecałem. Po południu kolega **Pajtesz** prosił o przepustkę. Przepustkę więc mu napisałem. Na trzeci dzień przyjechałem z miasta i położyłem się na sianie. Wtem przyszło trzech żołnierzy z karabinami i zabrali mnie do Muniny. Poszedłem więc z tymi co bardzo często szpiegów łapali; a nigdy szpiega nie widzieli. W Muninie jeden jegomość w kancelarji pyta drugiego wskazując na mnie: „Czy to szpieg?", a drugi zaś "Dobrze go zamknąć aby nie uciekł". A mnie omal wszyscy djabli nie wzięli gdym się patrzył na tych urzędniczków w wytartych porteczkach. Zaprowadzono mnie do kadeta. Temu objaśniłem rzecz całą i poszedłem do domu.

Za kilka dni pojechałem do Przemyśla; wziąwszy przepustkę od wójta z Tuczemp; poszedłem do żandarmerji w Radymnie; tam potwierdzono moją przepustkę i wsiadłem do pociągu ciężarowego, który 2 godziny jechał do Przemyśla. Tu wpadłem djabłu w zęby. Na stacji był jakiś ślepy urzędnik z magistratu świętego z jaśnie oświeconymi rękawiczkami. Nadto koło drzwi stało dwu posiepaków. Ci przez jedyne drzwi wpuszczali do miasta. I trzeba się było świetnym urzędnikom wydać czystym, aby się dostać do grodu. Ludzi była kupa ogromna. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Obejrzał moją przepustkę i powiedział, że ona musi być potwierdzona przez święte starostwo. Ja mu odrzekłem, że starostwa jeszcze tam nie zbudowali. Musiałem mimo to jeszcze raz jechać do Radymna i przywieźć z komendy stacji poświadczenie, że w Radymnie starostwa

jeszcze nie ma. Dopiero wpuszczono mnie do miasta. Poszedłem do Małego Seminarjum, zabrałem me ubranie i udałem się do komendy w Twierdzy, aby mnie pozwolili opuścić miasto. Po 5 godzinach dostałem pozwolenie, a po 7 godzinach opuściłem Przemyśl. Ponieważ klasy były pełne ludzi, jechałem na dachu pociągu. Tak mnie te hece zmęczyły, że postanowiłem w domu siedzieć spokojnie. Kilka dni młóciłem zboże. Wtem nadeszła kolej aby iść na "wartę" do kościoła. Co noc bowiem chodziło dwu chłopów, albowiem Rusini odgrażali się, że podminują kościół. Tej nocy gwarno było koło kościoła, albowiem... z pod Lublina cofał się, a nad Cieszanowem rozległa się łuna. To Moskale i Austrjacy zalewali spokojne niedawno okolice morzem płomieni. Wnet zaczęto zabierać krowy, zostawiając tylko jedną dla rodziny. We wsi przygotowywały się trzy kolony kanonierów do odmarszu na front. W moim domu stało 5 żołnierzy i 17 koni.

Ksiądz Jakub Zych

Rano przyszedłem do domu i położyłem się spać. Jeszcze nie zasnąłem, a tu na podwórze zajechały dwa wozy z 15 ludźmi z Kobylnicy. Opowiadali, że uciekają przed Moskalami. We wsi popłoch coraz większy się stawał. Rozchodziły się wieści, że Moskale młodym obcinają nogi, ręce, wieszają itd. **Zląkłem się tego i poszedłem zgłosić się dobrowolnie do wojska.** Tam zobaczył mnie kolega jednoroczny i radził bym Bogu podziękował, że przy wojsku nie służę i do domu poszedł. Usłuchałem go. Za tydzień przyszli Moskale; ale nie taki djabeł straszny jak go malują. Przyjście Moskali poprzedziło kilka historyjek, o czy poniżej.

Po 15 września pojawiły się na niebie ogromne łuny za Sanem i słychać było huk armat. Armja austrjacka się cofała. Magazyny wojskowe w Jarosławiu płonęły. Ludność okoliczna brała z nich co tylko mogła. Dnia 16 września 1914 roku poszedłem na plebanję i tam z **Hołowaczem Bazylim** urządzaliśmy uprząż na krowy, albowiem z powodu braku koni miał ks**. Jakub Zych** krowami jechać do Korczyny, a w razie potrzeby na Węgry uciekać przed Moskalami. Trzeba było dopiero krowy uczyć ciągnąć wóz. Więc służąca Maryśka wzięła liście z buraków, szła naprzód, dając krowom jeść, a ja z Hołowaczem szedłem obok wozu, trzymając lejce. Naraz krowy zaczęły pędzić jak szalone, my obaj omal nie wpadliśmy do studni. Powoli przyzwyczaiły się. Dnia 20/21 września 1914 roku trwała walka koło Malinówki i tej to nocy cofnęły się wojska austrjackie minując most kolejowy na Sanie i most żelazny koło Radymna. We wsi pełno było Moskali, idących na Przemyśl. Rano poszedłem oglądać most wysadzony i poszedłem do Jarosławia, gdzie paliły się magazyny z żywnością. Ludzie brali co kto mógł: buty, płaszcze, konserwy, cukier, kawę, mąkę, rum, wino, sofy, łóżka, maszyny do szycia, dywany itp. Po południu wróciłem do domu, a wieczorem poszedłem na stację, z której zabierali ludzie węgiel, deski, naftę, meble. Na stacji spotkali mnie Moskale

i pytali „gdzie poszło wojsko austrjackie”. Dnia 22 września cała wieś pełna była wojska rosyjskiego i armat. Armaty stały na Ogrodach i 30 armat Koło Cerkwi. Dwa dni bez przerwy szli Moskale na Przemyśl, a 24 września słychać było huk armat z twierdzy przemyskiej. Moskale strzelali przez trzy dni i noce do pustych okopów. Zaczęło się oblężenie Przemyśla, które trwało trzy tygodnie. Przez ten czas pełno było rabusiów moskiewskich, którzy kupowali po 5 i 7 rubli świnie i opalali na sposób węgierski. Ze świń zdejmowali skórę, a kury zabijali pałkami. Teraz nienawiść ludzka zaczęła pokazywać się. Sąsiad chciał dokuczyć sąsiadowi. Nasz sąsiad wyprawił do nas Moskala po świnie. Drugi raz wyprawił 5 Moskali na nocleg. Inny raz po słomę, kartofle i wóz. Wieczorem siedziałem z ojcem u Maksyma. Wieczorem spostrzegłem, jak Czesi wyrywali okna aby się dostać do domu. Ja narobiłem krzyku, rabusie uciekli, a przyszło dwu innych. Ci złapali ojca i pytali gdzie ten, który krzyczał. Ojciec im uciekł, a jeden strzelił dwa razy z rewolweru za nim. Maksym słyszał wszystko i pozamykał się na wszystkie możliwe sposoby. Zacząłem pukać do niego, ale nie wpuścił mnie. Przyszła mi na myśl bajka o Leszku i Mieszku, która uczy: „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Raz zebrał komendant „odcinka” koło Tuczemp wszystkich Rusinów, bo podejrzewał ich o zdradę (a bo Czesi każdego o zdradę podejrzewali), postawił ich koło kościoła na górze, a Moskale prali z karabinów maszynowych. Potem dał rozkaz aby się pokładli na ziemi. Padł granat między **Karbowskiego Seńka** oraz **Kmiecia Wasyla** i przysypał ich ziemią. Żaden Rusin nie zginął. Za jakiś czas umarł Karbowski, umarł też i Kmieć Wasyl. Jeden Czech przyprowadził **Józefa Karczmarza** do komendanta i oskarżył go o zdradę. Mówił, że ten dawał Moskalom chustką znaki z pól spod Morawska. Karcz-

TUCZEMPY obok Jarosławia — Rozbity Granatami kościół
Dochód przeznaczony na dzwonicę kościelną w Tuczempach.

marz nie mógł się tłumaczyć nie znając po niemiecku i byłby został zastrzelony, gdyby nie interwencja ks. Zycha. 11 października Moskale obsadzili kolej, pola koło cmentarza i oczekiwali ataku z góry łowieckiej i morawskiej. Gdy się zaś zaczęły zbliżać siły austrjackie, uciekli za San. Ojciec wyjechał swemi końmi i wozem z taborami żandarmerji pod Kraków, ja zostałem w domu z matką, małą siostrą i małymi braćmi. Moskale odparci za San, tam się bronili od 15 października do 5 listopada, a we wsi były wojska austrjackie. Koło Ostrowa Moskale zostawili 2 armaty, z których strzelali do ostatniej chwili, a u Andrzeja Mrozowicza ukryli się ruscy żołnierze, których zabrała patrol ułańska z Morawska. U nas w domu mieszkali oficerowie artylerji i była kuchnia oficerska. W tym czasie wieś była zasypywana gradem kul i granatów, a najbardziej cmentarz, bo obok na polu pańskiem koło lipki i krzyża stała baterja. W domu nie można było usiedzieć tak huczały armaty; obrazy spadały ze ścian, okna pękały. Baterję z pola pańskiego przeniesiono koło cmentarza. Moskale szukali jej zasypując Zagrody pociskami. Obserwator z baterji siedział na wieży kościoła. Spostrzegli go Moskale. 15 października 1 szrapnel ubił gzyms kościoła, a drugi wbił się w ścianę **i do dziś go oglądać można.**

Za koleją, od rampy, koło budki 169 aż do mostu koło stawu obok stacji stało 20 armat i ziały ogniem za San. Właśnie umarł wtedy **Jan Ledwos**. Przyszedł **Józef Kmieć** i prosił abyśmy z ojcem pomogli zanieść na cmentarz zmarłego. Trumna była zbita z niestruganych desek. Umarły wyglądał przez szpary pomiędzy deskami. Wzięliśmy na ramiona trumnę i przez ogrody i potok przeprawiwszy się zanieśliśmy trumnę na cmentarz z ojcem, który 20 października powrócił z „foszpanu"; nieśliśmy go na cmentarz i wtedy widziałem jak granaty wybuchając wyrzucały trumny z grobów. 15 października ponad 20 granatów padło na kościół. Jeden wybił dziurę w sklepieniu, a drugi od strony północnej ścianę wywalił. 20 i 21 października wybuchł pożar we wsi. W czasie tych walk poszedłem na plebanię. Granaty rozbiły stodołę księdza, na kościele nie została ani jedna dachówka. Moskale zaczęli strzelać. Poszedłem do piwnicy się schować. 20 października granaty zapalne zapaliły dom **Wojciecha Płoszaja** i bróg **Michała Majkuta**. W tym czasie żona Jana Płoszaja z dziewczyną prowadziła krowę przez most w Końcu. Granat pękł i zabił ją i krowę, a dziewczę uszło cało. Granat zabił też **Karolinę Bukową** z Górki; wedle opowiadań miała ona być w domu **Andrzeja Mrozowicza** koło **Buka Antoniego**. Wszczął się wielki popłoch. Wszyscy wynosili sprzęty za stodoły na ogrody.

Widać było rozmaitości. Wojsko i ludność cywilna zaczęła uciekać w stronę Morawska. Zabierając ze sobą, co który mógł. Jedni jechali na wozach, inni na koniach, inni szli lub biegli piechotą prowadząc krowy, cielęta, świnie. Cała rodzina nasza zamieszkała najpierw w lesie w Chłopicach, a potem w Morawsku u **Kuźniarka.** Ja wziąłem krowy, brat Janek konia, matka Jagę i Stacha, a Władek wziął buty na plecy i popędził do Morawska. Za koleją oddałem krowy matce, a sam wróciłem się do domu po chleb, który zawiozłem do Morawska. Tuczempianie 2 tygodnie byli w Morawsku, ja tylko 2 noce tam spałem a resztę w domu. **Z** ojcem często wracaliśmy do domu i siedzieliśmy w razie ognia granatów w piwnicy sąsiada **Maksyma**. Wtedy zginęła jedna 18 letnia dziewczyna. Nagle ustała strzelanina. Zaczął się szturm. To Moskale przeszli przez San koło Muniny i wpadli do wsi. Wojsko rezerwy wyparło ich. 21 października gradem pocisków zasypali Moskale Tuczempy. 22 października we czwartek była wielka bitwa. Ja z ojcem stałem w sieni. Wtem padł granat 18 cm przed naszymi oknami, pod ścianą Maksyma. Odłamki potłukły dachówkę, a ziemia przez powałę sypała się aż na sień. Ojciec chciał zamknąć drzwi na strych i z powodu wstrząśnień spadł z drabiny na ziemię. Poszliśmy do Maksyma aby się schować do piwnicy. Właśnie gdy przełaziłem przez parkan, przeleciał mi granat ponad głową i padł za stodołą. Granatów wówczas koło nas padło około 20. Piątego listopada cofnęły się wojska austrjackie w nocy. Madjarzy na odchodnym spalili kilka domów na Wychelówce. Znowu rano przyszli Moskale Nasze patrole były w Morawsku kryjąc odwrót. Ludzie zaraz rozebrali okopy, zbudowane z ich drzewa, koło kolei. Patrole czerkieskie spotkałem koło mostu kolejowego, a ponieważ w czasie walk nad Sanem zdechło dużo koni na ich rozkaz cała wieś wyszła grzebać trupy nad Sanem i padłe konie. Ja schowałem się na strych i tylko przez pół dnia zakopałem 3 konie. Raz szrapnel cały przyniosłem do domu i postawiłem na szafie. Gdy to ujrzał pan Hołowacz nastraszył matkę, że kula pęknie, gdy czas na to przyjdzie. Klątem ale musiałem szrapnel rzucić do sadzawki. **Wiem, że mężatka, wdowa, czy panna urodzi „berbecia" gdy na to czas przyjdzie, ale żeby szrapnel też coś wspólnego z tym miał, to nie wiedziałem.** Moskale z początku cicho się zachowywali, gospodarowali we wsi, potem rabowali trochę bydła, zabijali kury, większych szkód nie robili. Teraz ludzie dali upust swemu łakomstwu. I tak zniknęła pańska chałupa koło stawu, magazyn ze drzewem we dworze, stodoły dworskie. Zabierano meble ze dworu, wycinano drzewa, zwożono węgiel ze stacji, progi kolejowe, rozbierano budki kolejowe. Pałac dworski zniszczyli Moskale, wprowadzili tam konie, a niektórzy ludzie pomagali im. Piękne okazy myśliwskie walały się po parku, a pełno ich leżało w potoku. 28 listopada Moskale założyli w szkole szpital, a 30 listopada nadszedł transport rannych. W Muninie strącono popiersie Kościuszki i ściosano napis na postumencie. **Ludzie w zwierzęta chciwe się zamienili.** Moskale dla dzieci mieli bardzo dobre i miękkie serce. Gdy musieli iść pod Przemyśl, szli ze strachem, nawet płakali. Ponieważ kościół był rozbity, ks. Zych odprawiał mszę w cerkwi. Moskale chodzili na mszę, modlili się, dawali ofiary na tacę.

Pociągi rosyjskie jeździły do Jarosławia i Radymna. W sobotę 28 listopada Moskale wyczyścili szkołę i założyli w niej szpital. 30 listopada od Przemyśla przybył do Tuczemp transport chorych na cholerę, zmarłych chowano na Wandołach, a filozof Hołowacz robił krzyże. 2 grudnia poszedłem na zające za kolej z karabinem. Sowieci zaczęli rozbijać kancelarję gminną, ale ludzie ich odpędzili. Ponieważ baliśmy się aby Moskale nie zabrali nam prosiaka, w nocy ojciec zarżnął go w komorze. **Raz aeroplan wyleciał z Przemyśla i zabił kilkunastu Moskali; rozbił armatę i kilka wagonów w Radymnie. Z Krakowa do Przemyśla latały aeroplany dosyć często. Moskale strzelali ale żadnego nie zestrzelili. Jeden śpi, drugi je, trzeci młóci, czwarty młynkuje, piąty gra w karty, inny jedzie w pole itd. Gdy ten, który jest na dworze zobaczy aeroplan, pędzi zaraz do domu i woła: "Wstawaj Jasiek, chodź, nasz aeroplan jedzie." Zawołany Jasiek, gapi się, gapi i nic nie widzi; drugi mu pokazuje; no wreszcie zobaczył.**

Tymczasem ruch robi się coraz większy; wypada z chałupy ten, który jadł, który grał w karty, ze stodoły, który młócił i młynkował. Moskale też zobaczyli i strzelają ale aeroplan szczęśliwie doleciał do Przemyśla.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Ks. Jakub Zych zaprosił mnie i p. Bazylego Hołowacza na wieczór wigilijny 24 grudnia 1914 roku. Na Boże Narodzenie również zaprosił nas ks. proboszcz. 25 grudnia po południu przyszedł Moskal-czerkies w austrjackim płaszczu, z dwoma nożami za pasem, zaglądnął do pokoju księdza i zagwizdał i poszedł do kuchni, gdzie już siedziało dwu innych czerkiesów. Służąca podała im herbaty, ja zaś paliłem z nimi papierosy i rozmawiałem. Potem dwu czerkiesów wyszło, jeden strzelał do lampek na słupie telegraficznym, drugi rzucał kijem za kurami. Wieczorem znowu ja, Hołowacz i **Czujko Piotr** poszliśmy na plebanię zagrać w szachy. Będący tam czerkiesi zobaczyli bieliznę księdza i poubierali się w nią. Zobaczyła to służąca i doniosła księdzu. Ksiądz Zych poszedł do pokoju w którym leżeli rabusie, a gdy na ich zbójeckich cielskach zobaczył swą bieliznę odezwał się do nich: ”Panowi! To ja was ugościłem, a wy mi taką przykrość robicie? A tego się po was nie spodziewałem”. Oni zaczęli mruczeć pod nosem i wszyscy odeszli z plebanii. Myśmy wszyscy poszli do sypialni księdza grać w szachy; na zegarze było przed północą. Wtem wpada do nas służąca i mówi przestraszona: ”Ci sami Moskale znowu przyszli i pukają do okien aby ich wpuścić – co zrobić?” Kazaliśmy ich wpuścić. Jedna służąca poszła odemknąć Moskalom, a druga, Maryśka, zamknęła troje drzwi i też poszła za nią. Myśmy zostali w sypialni zamknięci na troje drzwi. Rabusie zaczęli je wyważać. Drzwi były bardzo silne. Wyważyli jedne drzwi nareszcie. Taka robota wydała im się za ciężka. Postanowili iść do celu przez okno sypialni. My wszyscy poszliśmy na werandę i czekaliśmy dogodnej sposobności aby umknąć. Sposobność się nadarzyła. Gdy dwu rabusiów weszło do sypialni, a trzeci pilnował drzwi w kuchni, myśmy dali drapaka przez werandę i ogród dworski do wsi. Ja narobiłem alarmu i wnet gromady chłopów i kobiet ciągnęły z drągami na odsiecz do plebanii. Tymczasem uciekli Moskale zabierając buty, zimowy płaszcz, letnią pelerynę i kilka flaszek wina. Ci sami złodzieje podpalili budkę kolejową Nr 170. Następstwem tego napadu było, że ks. proboszcz spał u nas dwie noce, a na plebanii po całych nocach siedziało po kilka chłopów, grając w szachy, domino i karty. O tem napadzie chodziła następująca pogłoska: Rusini, a zwłaszcza jeden ze Zagród miał podmówić Kozaków by zamordowali księdza, jako odwet za internowanie ks. **Gockiego** z Ostrowa. Tenże Rusin miał stać w ogrodzie dworskim i tu czekać na wynik napadu.

Oblężenie Przemyśla trwało dalej. Moskale mówili, że nadejdą armaty japońskie, a wtedy zdobędą Przemyśl. Wywozili ludzi z okolic pod Przemyślem do Tuczemp. Od czasu do czasu zajechał Moskal do dworu, nabrał drzewa i sprzedawał na wsi. Moskale śpiewali pijąc herbatę:

Prusak pije kawu
Bo zdobył Warszawu.
A Rus pije czaj
Bo przegrywa kraj.

Jeden z wygnańców spod Przemyśla opowiadał, że widział, jak Moskale przełazili przez druty koło twierdzy przemyskiej po drabinach i dużo ich zginęło. Ja też drabiny widziałem, więc uwierzyłem. 4 lutego 1915 r. przyjechało kilku Moskali i zaczęli szukać chłopów do kopania szańców. Usłyszawszy to schowałem się w sianie na strychu u **Andrzeja Mrozowicza. Stefanowi Nodze** i **Józefowi Bednarzowi** zabrali ci sami Moskale sanie. Kobiety nie chciały oddać sań więc jeden Moskal uderzył żonę **Bazylego Hołowacza** nahajką. Wtedy baby rzuciły się na Moskala, wywróciły go w rów i w śnieg, deptały nogami i krzyczały „Moskal nas bije”. Raz w nocy piechota rosyjska

wybiła dużo Kozaków, myśląc, że to nasza kawalerja. Moskale szyli w Morawsku białe płachty aby niemi nakrywać armaty. **Pewnego razu Moskale zabierali drzewo z gorzelni dworskiej. Córka jednego gospodarza Hanusia, chciała odebrać Moskalowi trochę drzewa. Moskal wywrócił ją w śnieg, podniósł spódnicę i śniegiem natarł jej... "twarz". Ona zaś mu odrzekła: "Szkoda, że taki stary jesteś; a „twarzy" jeszcze nie widziałeś".**

Na plebanii mieszkało kilku doktorów rosyjskich. Raz poszli oni do wójta i zażądali aby on oddał im dubeltówkę, bo w innym razie powieszą go oraz najważniejszych gospodarzy z Tuczemp. Wójt dubeltówki nie oddał, a pogróżki spełzły na niczem. Na moście murowanym stał żołnierz rosyjski na straży. Nie wiadomo jakim sposobem maszyna kolejowa obcięła mu obie ręce. **Władysław Maksym** woził go do szpitala. Moskale atakowali na szańce Nr 13, ale zostali odparci; 4000 zabitych, a 6000 rannych. W nocy 20 lutego 1915 r. Moskale zabrali ziemniaki z kopca **Zofii Bednarzowej** z **Trelków** i naładowali na pociąg. Było około 500 kg. Ludzie obcy zawlekli ospę do Tuczemp. U nas w domu leżała też kobieta chora na ospę.

Jeden z Rusinów napisał donos, że u pana Ochmana Marcina jest broń i siodło austrjackie. Przyszło kilku żołnierzy z doktorem rosyjskim i zabrali siodło, nastraszywszy Ochmana. Doktorzy prosili księdza Zycha, aby ogłosił, żeby każdy kto ma broń oddał, a nadto oświadczyli doktorzy, że walki z Polakami zaczynać nie będą, jak tego chcą Rusini z Tuczemp. Było bowiem przekonanie pomiędzy Rusinami z Tuczemp, że Moskale będą wieszać Polaków, a grunta polskie Rusinom oddadzą. Smutne to jest, a jednak prawdziwe. Sam byłem świadkiem. Żołnierze rosyjscy raz odpowiedzieli Rusinowi, który pytał się, **kiedy budemo rizaty Lachiw? „I Lachiw ne budemo rizaty i wam ne damo hulaty".**

Pod Przemyślem tymczasem trwały walki aż nareszcie zobaczyliśmy w kwietniu ogromne słupy dymu nad okopami przemyskimi i jak piorun rozeszła się wieść" Przemyśl się poddał". Polacy we wsi płakali; Rusini cieszyli się; zwątpienie zaczęło się wkradać w serca ludzi. Smutno było nam, bo zdawało się, że trzeba będzie się z Moskalami zostać; a zdrajcy nie zostaną ukarani. Ale Pan Bóg wszechmocny, a szczęście zmienne. Dnia 5 maja przełamano linię pod Gorlicami i musieli się cofnąć daleko, w głąb królestwa, na Wołyń, Podole, Polesie. Cofając się okopali się nad Sanem i znowu trwała w Tuczempach 8 dniowa walka. Moskale obstawili armaty na brzegu Sanu; Austrjacy zaś i Niemcy koło domu pana **Ochmana i Nogi Jerzego**, na łąkach, za koleją oraz pod Morawskiem prowadzili walkę na bagnety i noże, obok toru kolejowego, tam gdzie jest rampa na Zagajach od strony północnej. I znowu Tuczempy zostały zasypane gradem pocisków, a mieszkańcy znaleźli się w ogniu krzyżowym. Powoli znowu chłopi pouciekali do Chłopic i Morawska i musieli tam siedzieć w lesie przez 8 dni, spać pod gołem niebem i moknąć na deszczu. Szczęście, że był to miesiąc maj. Wszyscy wychodzili na kraj lasu i z góry patrzyli na granaty pękające we wsi. Z Chłopic armja niemiecka zabrała mnie z końmi i wozem na podwodę i woziłem granaty armatnie pod Przemyśl, który był zajęty przez Moskali, a oblężony i zdobywany przez Niemców. Moskale niespodziewanie napadnięci, zostali wyrżnięci. Kiedy po dwu dniach przyszedłem na pobojowisko, leżało tam ponad 100 ludzi, którymi napełniono okopy, polano wapnem i zasypano. W roku następnym pole dobrze rodziło.

„A kto chce rozkoszy użyć, niech do wojska idzie służyć"

I mnie było też przeznaczonem użyć tej rozkoszy. Więc gdy w maju 1915 roku wojska austrjacko - niemieckie po ośmiodniowym zaciętym boju nad Sanem, w okolicy wsi Tu-

czempy odrzuciły nieprzyjaciela daleko i ścigały go, powoli zaczęły władze zabierać się do nowego poboru. Ja właśnie dnia 1 czerwca powróciłem z sześciodniowej furmanki, na którą mnie Niemcy w drugi dzień Zielonych Świąt zabrali. Austrjacy zarządzili pobór najmłodszego rocznika od lat 18. I mnie to nie minęło. **4 czerwca 1915 r. powołano mnie do służby wojskowej** przy jarosławskim 90 p.p. Rano więc przewiesiwszy przez plecy niemiecką manierkę napełnioną kawą, pożegnawszy się z Rodzicami i braćmi, po płaczliwych scenach z ich strony, siadłem na wóz z innymi chłopami i pojechaliśmy do Jarosławia. Tu przepędziłem cały dzień, chodząc po mieście, bo tego dnia jeszcze kolej na Tuczempy nie przyszła. Wieczorem ucieszony wracałem do domu. Dzień 5 czerwca też upłynął mnie na wałęsaniu się po Jarosławiu, a wieczorem znowu powróciłem do domu. Rano 6 czerwca znowu wyjechałem, no i ucapili mnie. Około godziny 11 wezwano mnie do sali"Gwiazdy". Tu zanim się oglądnąłem zakrzyknięto jakby na jarmarku na konia „zdrowy" i natychmiast znalazłem się w innej sali. Tu było już wielu z Tuczemp. **Antoni Jasiewicz** z Końca, **Franciszek Bżdżoła** z Górki, **Kuba Wawrzyszko** kolejarz i dużo innych. Tu głowy strzyżono i golono a potem porucznik odebrał przysięgę. Matka ma, która ze mną przyszła niosąc mi me rzeczy, weszła jeszcze bocznymi drzwiami, dała mi worek z bielizną, chlebem, masłem i płacząc odeszła. Tymczasem nadszedł wieczór, komisja zakończyła urzędowanie, nas zabrano i czwórkami poszliśmy do jednych z „koszar" w mieście. Tu zdjąłem drzwi i położyłem się na nich do spania z workiem z żywnością pod głową. Nadszedł ranek, a było to w niedzielę, ojciec, matka razem z innymi kobietami przyjechali do mnie. Przywieźli mi mleko, kawę. Zjadłem to i sposobiłem się już do drogi. Ustawiono nas w czwórki; ja w czapce gimnazjalnej, a **Andrzej Mrozowicz** w kolejowej – obaj w pierwszym szeregu. Ponieważ tor kolejowy był zepsuty, piechotą maszerowałem do Rzeszowa, proch był ogromny.

Wojenka – wojenka – co żeś ty za pani...

W czerwcu 1915 roku oddział ludzi młodych, obwieszonych plecakami posuwał się w stronę Jarosławia, Przeworska, Łańcuta i Rzeszowa. W drodze do Rzeszowa, nocowaliśmy w **Sosinie** pod **Łańcutem**. Ja miałem kwaterę u **Katarzyny Borcz**. Miała ona wówczas maleńkie dziecko, które płacząc nie dawało mi spać (po latach spotkałem się z tem dzieciakiem – była to już panna w VI klasie gimnazjum w Borysławiu, którą uczyłem religji). **Ludwik Ledwos, Józef Harasz** i **Franek Bżdżoła** oraz **Antek Kmieć** zajęli miejsce w stodole; **Blok Michał** oświadczył, że śpi na sianie na ziemi, ja zaś położyłem się na łóżku. Rano pożegnawszy ładną gospodynię ruszyliśmy przez Łańcut do Rzeszowa, mając po drodze wiele scen uciesznych, bo nasz oddział składał się z chłopów lubiących rozmaite figle płatać. Były to **"rekruckie ucha"**, które maszerowały do Rzeszowa. W Rzeszowie umieszczono nas w starym rozwalonym młynie na nocleg. Izba bez okien, pełna była prochu, więc kilku chwyciło za szczotki i zamiatało ją; było to wieczorem. Andrzej Mrozowicz i ja poszliśmy na Budy by odwiedzić Zofię Dąbrowską z Trelków, żonę feldfebla Dąbrowskiego. Potem udaliśmy się na miejsce naszego spoczynku. Tak po dwóch dniach i dwóch nocach skończyła się ta miła pielgrzymka. Nazajutrz w południe wsiedliśmy do wagonów pociągu ciężarowego i ruszył pociąg w stronę Węgier, uwożąc mężów od żon, ojców od dzieci, synów od matek. Jechaliśmy dwa dni i dwie noce, mijając po drodze piękne uprawne pola, spoczywające ciche wioski i ruchliwe miasta, aż dojechaliśmy do Krakowa. Tu wsadzono nas do wagonów osobowych i śpiewając mijaliśmy granicę Galicji, wjechawszy na Śląsk, potem przez Morawy i Wiedeń do Szombathely na Węgrzech. Na stacji oczekiwała na nas orkiestra 90. p.p. i zaprowadziła nas do miasta, do koszar w starym młynie. Tu po wieczerzy składającej się z czarnej kawy położyłem się spać na sienniku, który się w języku wojskowym „strażakiem" nazywa, oraz zagłówka nazywanego „kapuśniakiem". Gorąco było

piekielnie, bo spałem na trzecim piętrze. W tym młynie spotkałem też **Stacha Maciałka**, starego żołnierza i **Jaśka Trelkę**, kaprala przy 6 pułku ułanów. Dnia 11 czerwca zaprowadzono nas do „kadry" to jest do koszar, gdzie było całe dowództwo 90 pułku piechoty. Tu odbył się ponownie tak zwany przegląd zdrowotny i doktor każdego z nas oglądał a następnie rozdzielono nas do różnych kompanii. Mnie i innych z Tuczemp przydzielono do drugiej kompanii. Zajęliśmy więc sobie miejsce w pobliżu warsztatu szewskiego. Każdego dnia zamiataliśmy barak, zmieniając się co dzień. Obiad jedliśmy zawsze przy wspólnym stole, do którego zawsze „całe Tuczempy" zasiadały. Co dzień rano maszerowaliśmy na ćwiczenia; Tuczempy trzymały się razem; bardzo nam z początku te ćwiczenia przykro przychodziły, ale wkrótce **jak koń do żydowskiego wozu** się przyzwyczailiśmy. Po kilku dniach postanowiono dać nam mundury. Umundurowanie przy wojsku nie odbywa się tak jak umundurowanie w cywilu. Tu żaden krawiec nie bierze miary, ani nikt się nie pyta czy ubranie dobrze leży. Postawiono nas w dwu rzędach i pan frajter dał taki rozkaz: „Zdjąć te cywilne łachy a dostaniecie **kumiśny mundur"**. Każdy uczynił zadość rozkazowi i w kilka minut ja i moi towarzysze z Tuczemp i inni staliśmy w gaciach i koszuli. Potem pan freiter dawał każdemu koszulę, gacie oraz onucki, jak je zwał „fece". Następnie rozdzielono mundur; jeden po drugim dostawał stare, białe oraz siwe spodnie; czasem u niektórych brakowało połowę nogawek lub jedna była biała a druga siwa, to nic nie znaczyło. Tak też było z bluzami. Gdy mundur na siebie wziąłem, wówczas zobaczyłem, że me białe spodnie były całkiem zasmarowane masłem a rękaw u waffenrocha obdarty; nadto ani bluza ani spodnie nie miały ani jednego guzika. Przyszła kolej na czapki. Każdy dostał czapkę jak się patrzy; jednemu zalazła czapka na uszy, drugi nosił na czubku głowy. Ten kapral, który nas umundurował, wiedział że ja byłem studentem, bo nosiłem jeszcze czapkę studencką. Dał mi najlepsze spodnie, czapkę i bluzę. Nie musiałem guzików przyszywać. Po umundurowaniu jeden drugiego nie mógł poznać w tym cudownym mundurze jaki „cywilbandzie"przypadł w udziale. Nikt się jednak nie przejmował brakiem elegancji w mundurze, lecz pokpiwali ze siebie nawzajem, mówiąc: **"Niech się cesarz za nas wstydzi."** Zaczęła się przykra służba wojskowa. Rano, godzina czwarta, przyszedł jakiś stary żołnierz i krzyknął:Auf Tagwacha. Ja się na tym jeszcze nie znałem, aż domyśliłem się, gdy na drugim końcu baraku, kapral okładał kijem chłopów, którzy jeszcze spali. Za godzinę wołano po kawę. Oczyściłem buty i poszedłem ze szalką po kawę; błoto było ogromne; już po chwili byłem u celu, koło kotła, gdy inni zaczęli się cisnąć, a pan kapral chwycił za miotłę, umaczał w wodzie i rozpędzał nas po błocie; kucharz lejąc na nas kawę z „chochli" pomagał mu w tym. Więc ani kawy nie dostałem, ale byłem ochlapany i obłocony, musiałem się czyścić by nie zarobić na „kozę". Oczyściłem mundur i czemprędzej przez okno w baraku wyskoczyłem, bo zugsfuhrrer w drzwiach okładał kijem tych, którzy się trochę dłużej zatrzymali. Zaraz udałem się na wyznaczone mi miejsce i rozpoczęła się musztra po niemiecku. Nie każdy to rozumiał. Potem z leutnantem rozpoczęły się ćwiczenia na poligonie. Czasem było przyjemnie, czasem trzeba było „gryźć ziemię", gdy się coś nie udało. W niedzielę po południu gdy dostaliśmy „Rast" leżałem na ziemi i myślałem o Tuczempach. Chciałem wyjść do miasta ale to nie było takie proste. Poszedłem ze **Stachem Maciałkiem**, bo sam się bałem, że zabłądzę i by źle nie salutować. Tak schodził czas, trochę o głodzie, trochę o chłodzie. Bardzo miałem wielką ochotę dostać się w mundurze do Tuczemp. Znalazłem sposób no i 1 sierpnia dostałem urlop i marszrutę. Mogłem jechać do domu !!! Przyjechałem do Wiednia, dworzec południowy, później północny, skąd przez Kraków po 60 godzinnej podróży przyjechałem do Jarosławia. Jakże się ucieszyłem gdy idąc torem kolejowym z dala ujrzałem rodziców mych na polu zajętych pracą. Co za uciechę miałem w mej wsi to może mieć ten tylko, kto z wojska urlop dostanie. Czas pędził i trzeba było rzucić wioskę, a jechać w dalsze tułacze życie.

Po powrocie, czekał na mnie **Franek Kostka** i oznajmił mi, że zostałem Zugfuhre-

rem i mieszkam w jednej restauracji, bo z koszar nas wyrzucili ale kapitan zapłacił nam za mieszkanie. Po kilkunastu dniach musiałem opuścić swych towarzyszy, albowiem przydzielono mnie do szkoły podoficerskiej w miasteczku Banzin na Węgrzech, nie większym od Radymna, gdzie spotkałem się ze swymi kolegami z różnych klas gimnazjalnych. Mieszkałem w sali szkolnej, w której łóżek nie było, siennik leżał na ławkach szkolnych. Mieszkał ze mną z Jarosławia **Michał Sztaba**, który spał na sienniku na podłodze, a drugim się nakrywał. W nocy często robił polowanie na myszy. Okolica była piękna, pełno winnic i często zajadałem winne grona. Pozostawałem na żołdzie, z domu pieniędzy nie otrzymywałem. Oficerowie byli bardzo dobrzy. Na bojową strzelnicę chodziliśmy do Marienthal. Po pięciotygodniowym kursie zostałem kapralem. Zacząłem wtedy 19 rok życia, gdy po raz pierwszy przypasałem szablę do boku. Źle jednak wspominam pobyt w szkole podoficerskiej, a to z powodu chamskiego zachowania się podoficerów.

Codziennie rano plutonowy **Zając**, komendant sali budził „jednorocznych ochotników" (co za łajdacka nazwa. Taki „jednoroczny"służył kilka lat a za brak ochoty często siedział w pace!) piorunującymi krzykami: "**Panowie inteligenty, sędziowie, dochtorzy, wstawać psiakrew, bo jest Tagwachta, a jak nie chcecie, to ja wam pomogę".** Nie wiele sobie z tego robiąc, powoli wstawaliśmy. Każdy się umył w tym miejscu gdzie spał, tak że powstawała sadzawka.

W czasie obiadu nie było wolno siadać przy stole, bo plutonowy zawyrokował, że-"jednoroczna banda nie umie jeść, więc stół zaświni". Stąd więc studenci i ludzie na stanowiskach jedli obiad stojąc, lub siedząc na kuferkach, a plutonowy siedząc przy stole wyciągał palcami mięso z menażki i spoglądał na nas jak żbik. Znosili wszyscy cierpliwie swój los wedle panującej w wojsku zasady "Maul halten und eiterdienen."

Wróciłem do Szombathely w październiku i objąłem dowództwo plutonu. Mieszkałem w magazynie z kolegami; spaliśmy na siennikach na kamiennej posadzce; zimno było bardzo. 25 października pojechałem na bezpłatny urlop do domu. W czasie urlopu zostałem plutonowym. Odtąd zamieszkałem w mieście, prywatnie i zacząłem spać na łóżku, jeść w restauracji i popijać gorące wino z korzeniami, które mi dodawało wigoru do życia i humoru. Tak doczekałem świąt Bożego Narodzenia 1915 r. Smutne to były święta. Na obcej ziemi, z dala od rodziny, a przy tym o głodzie i chłodzie. W kompanijnym baraku urządzono choinkę. Przemawiał porucznik Czech, a gdy wspomniał o domach rodzinnych łzy jemu i wszystkim popłynęły po twarzy. Madjarka, u której mieszkaliśmy z kolegą **Kostkiem** z Jarosławia zaprosiła nas na wigilję. Myśleliśmy, że podjemy setnie, ale spotkał nas przykry zawód, bo tam nie podają tyle potraw co w Polsce, lecz tylko herbatę i ciastka. O głodzie poszliśmy na pasterkę do katedry.

Moi koledzy z Tuczemp, już dawno poszli na front, ja zostałem tu dłużej w kadrze, kończyłem szkoły wojskowe, zdawałem egzamin w kawaleryjskiej szkole kadeckiej w Modlingh pod Wiedniem, aby mieć prawo awansu na oficera. Egzamin był w języku niemieckim i był równoznaczny z maturą. Składał się z części pisemnej, zadania z taktyki, strzelectwa i nauki o terenie. Zdałem z postępem dobrym. Tylko dziwił się przewodniczący, że ja bez tego egzaminu, już przedtem zostałem plutonowym. Tak ukończyłem szkołę oficerską. To też wpłynęło na dobry wynik egzaminu.

W przejeździe na front

Zbliżał się czas odejścia w pole. 13 stycznia 1916 roku zostałem mianowany kadetaspirantem. Prawie cały kołnierz miałem od dystynkcji galowej. Piękna to była szarża, każdy student marzył o niej, no i pieniędzy przy tem przybywało. Dnia 14 stycznia 1916 roku wyruszyłem z bataljonem na front wschodni. Złożyliśmy przysięgę: **"Przysięgamy na Boga Wszechmocnego Cesarzowi austriackiemu Franciszkowi Józefowi I,**

Szilárd Fódor
SZOMBATHELY

że... Tak nam Boże dopomórz”. Najpierw przysięgali Niemcy, potem Polacy, potem Rusini, Madziarzy i inni. Ksiądz miał mowę i nie jednemu biedakowi łza się w oku zakręciła. Nastrój w ogóle bardzo smutny. Komendant pułku pułkownik **Munster** obchodził batalion i krzyczał, co jest z tymi szmatami, kto pozwolił i zrywał i rzucał na ziemię. A były to biało czerwone narodowe oznaki na piersiach i czapkach żołnierzy. W moim pododdziale z Tuczemp był **Ludwik Ledwos**, chłopak 18 letni, szedł raźno, ale widać było, że tornister i karabin ciążyły mu. Rumieńce pokrywały jego opaloną twarz. W innej czwórce postępował **Antek Kmieć**, syn Jana - wójta. Miał gałązkę za czapką i narodowe wstążki. Od czasu do czasu podrzucał tornister na plecach aby rzemienie nie wrzynały się w ciało. Dalej maszerował **Antek Jasiewicz** z Końca, syn Kazimierza, wesoły, ciesząc się, że pojedzie przez Galicję. Przy dźwiękach orkiestry, ruszył baon na stację, żegnany przez Madjarki i Madjarów. Nad oddziałami składającymi się z Polaków, powiewały sztandary z M.B. Częstochowską. Sztndarowym był **Staszek Drozdowski**, mój kolega ze szkoły ludowej w Jarosławiu.

K. u. k. Kriegsministerium.
Abteilung 1, Nr. 42281.

P.V.Bl. Nr. 191.

DAS

KAISERLICHE UND KÖNIGLICHE

KRIEGSMINISTERIUM

verleiht

Euer Wohlgeboren

in Ihrer gegenwärtigen Charge

eines

Fähnrich in der Reserve

den Rang vom 1. Juli 1916 , Rang Nr. 5238.

Wien, am 25. Oktober 1916.

Für den Minister:

An

den Herrn k. u. k. Fähnrich in der Reserve des Infanterieregiments Nr. 90

Josef SZABY.

Jechaliśmy przez **Budapeszt – Humonnę – Chyżów – Przemyśl – Lwów – Rawę** – do **Włodzimierza Wołyńskiego.** Obok Rawy pociąg zatrzymał się dłużej. Ludność ze wsi wyszła, czy nie jedzie kto z ich synów, czy ojców. I oto zobaczyłem, jak ojciec staruszek, w zgrzebnej koszuli i matka, spotkawszy syna-żołnierza, płacząc żegnali się z nim, bo kto wie czy go więcej zobaczą; a mały 8 letni braciszek, który pewnie w domu słyszał, że w wojsku chleba nieraz brakuje, opasany sznurkiem, po długiej, lnianej koszuli, wyciągnął z za pazuchy kawał chleba i podał go bratu. Gdy to zobaczyłem, łzy popłynęły obficie i musiałem się powstrzymywać siłą woli, aby nie ryknąć płaczem.

Po miesiącu kompanje odeszły na front do 90 p.p., a ja z jedną zostałem jeszcze we Włodzimierzu, z którą w niedługim czasie wyjechałem do **Maniewicz i Huty Lisowskiej**, a tam nas przydzielili do 18 p. obrony krajowej. Tak utraciłem kontakt z 90 p.p. i kolegami. We Włodzimierzu będąc , spotkałem z Tuczemp wachmistrza **Pankiewicza,** z którym popiliśmy setnie. Mieszkałem wtedy w domu żydowskim, którą to kwaterę zdobyłem przemocą.

Miejsce postoju Nr 167

Na stacji kolejowej wsiedliśmy do wagonów towarowych, chociaż w zimie, nieopalonych i wiózł nas pociąg w stronę Kowla. Po drodze widziałem tą cichą chatkę w lesie, gdzie Polaka spotkałem i to dziewczę, było to przed wieczorem, a z komina chatki unosił się dym; ja zaś smutny jechałem na pole walki. Po pięciodniowej podróży, zatrzymał się transport we **Włodzimierzu Wołyńskim,** które to miasto nosiło ze względów strategicznych nazwę: ”Etappenpost Nr 167”. Po wydaniu obiadu wyruszały kompanje 90.p. p. na kwatery do oddalonej o 4 km wioski **Poniczewa**. Wioska robiła bardzo przygnębiające wrażenie. U wejścia do wsi stał stary krzyż, a obok niego nędzna ziemianka, w której mieszkała stara babina. Domy zniszczone, okna częścią zabite deskami, częścią założone słomą. W całej wiosce zamieszkiwało zaledwie kilka rodzin.

Nazajutrz wczesnym rankiem stał pod oknem domu, w którym mieszkał kadet-aspirant-trębacz kompanijny, chłopak młody z okolic Przeworska i wygrywał pobudkę. Tak powtarzało się przez miesiąc. Przez miesiąc żołnierze odbywali ćwiczenia, zaprawiając się do trudów wojennych, a po miesiącu wyruszono bliżej frontu w stronę Łucka. Po trasie zatrzymano się w **Mikołajpolu,** gdzie chłopcy wyszukali „panu kadetowi” wspaniałą kwaterę, a gościnna Niemka przykryła go pierzyną tak potężną iż z trudnością mógł tylko cząstkę sufitu zobaczyć ponad sobą.

Niestety to miękkie życie, które nie przystoi żołnierzowi nie trwało długo, bo po trzech dniach bataljon ruszył w stronę Kowla i **Maniewicz.** Dnia 2 lutego byłem gotowy do wymarszu do Włodzimierza do szkoły oficerskiej. 3 lutego zabrałem wszystkie me rzeczy, zarekwirowaliśmy dwa wozy; jeden wiózł nasze tornistry i karabiny. Drugi mego kolegę Kostka, który zachorował ciężko. Wieziono go do szpitala.

W szkole było nas około stu, z różnych pułków. Mieszkałem z dwunastu kolegami w jednej sali sądowej. Na ćwiczenia z karabinami chodziliśmy jak rekruci. Nie było to ciekawe życie. Dał Bóg jednak, że przyszedł telegram z pułku,że potrzeba jedenastu jednorocznych; wysłano nas z powrotem do naszego batalionu, który nadal stał w Mikołajpolu. Ja zaś w tym czasie dałem do Andrzeja Pankiewicza bluzę by ją krawiec **Walasz z Muniny** przerobił. Stał bowiem wówczas 6 pułk ułanów w kozackich koszarach. Ponieważ nadszedł wieczór to wachmistrz Pankiewicz dał mi konie i wóz i kazał odwieźć do Mikołajpola. Była ciemność ogromna, my jechaliśmy na oślep, orjętując się po kraju lasu. W lesie błysnęło światełko z jakiejś leśniczówki; my pojechaliśmy dalej. Jechaliśmy przez długi czas lasem, a końca jego widać nie było. Zacząłem się niecierpliwić i postanowiłem wrócić do owego światełka. Nareszcie odnaleźliśmy

światełko i wszedłem do domu; w drzwiach spotkałem ładną 14 letnią panienkę i zapytałem ją o drogę. Ta zbudziła ojca, a ten mi rzekł, że chłop jeden może mnie tam zaprowadzić. Kazałem chłopu siadać na furę i pojechałem do Mikołajpola. Andrzej Pankiewicz bardzo się ucieszył skoro mnie zobaczył, myślał bowiem, że już poszedłem w pole. Zaprosiłem go na moją kwaterę; przyszedł, było już całkiem ciemno. Usiedliśmy w pokoju i popijaliśmy piwo. Andrzej wyszedł po północy o 1. **Nazajutrz odmarsz na pole walki. Wszystkie kompanie wyszły i stanęły na polu; deszcz padał, wiatr ostry powiewał, myśmy stali w rynsztunkach. Rozdawano konserwy, tytoń, kawę, chleb ile kto mógł zabrać bo na furze nie wszystko się zmieściło. 3 kompanie odeszły pod Łuck, a ja zostałem przydzielony do czwartej, w której komendantem był nadporucznik profesor gimnazjum w Pradze Syka.** Naszą kompanię przeznaczono na Włochy i odesłano na razie do Ryłowny na przedmieścia Włodzimierza. Tu zakwaterowaliśmy chłopów w domach opuszczonych przez ludność, a ja z kolegą szkolnym **Tomkiem Pruchnickim z Pawłosiowa** poszedłem do jednej knajpy żydowskiej na mieszkanie.

W okopach

Dzień 15 lutego 1916 roku miał się ku zachodowi. Ciemność zaczęła ogarniać ziemię, gdy na kraju lasu stanęła kompanja wojska, a żołnierze nie wychylając się zeń wpatrywali się w pobliskie, **nad Styrem** się ciągnące okopy, które mieli zająć z nastaniem nocy. Gdy dowódca osądził, że ciemności pozwalają na swobodę ruchów wobec nieprzyjaciela, ruszono małymi oddziałkami do okopów. My zajęliśmy stanowisko w rezerwie 300 kroków od linii głównej. Po zaznajomieniu się z sytuacją, po wystawieniu straży, w jednej z ziemianek zebrało się czterech „jednorocznych" aspirantów oficerskich. Pierwszy raz znaleźli się w ziemiance, w obliczu nieprzyjaciela. Oglądali tedy z ciekawością dzieło swych poprzedników. Mieszkanie było wygrzebane w piasku. Ściany, które się co chwila usuwały, pokryte były celtami. Kilka gałęzi pokrytych papą i piaskiem stanowiły dach. Całe umeblowanie składało się z beczki, na pół przerżniętej, której jedna część służyła za stół, a druga raz za fotel, raz za miednicę. Zależnie od swego położenia. Okno było zrobione z flaszek połączonych mchem, a puszka z konserwy napełniona naftą, z knotem z koca, służyła wiernie jako lampa. Naszą budę zamietliśmy wstawiając piecyk żelazny. Tak wyglądało me pierwsze mieszkanie w okopach. Za kilka dni postanowiliśmy wybudować lepsze mieszkanie. Jedni więc kopali dół w piasku, drudzy poszli do lasu po drzewo i gałęzie. Tak za cztery dni stanęło pomieszkanie, wilgotne jednak łóżka z kijów porobiliśmy, a okna z flaszek, składając jedną na drugą. Ściany obiłem workami. Do ogrzania postawiliśmy dwa piece; po kilku godzinach buda zaczęła się palić, bo rura pieca była za gorąca. Wybiegliśmy więc na budę, nie zważając na Moskali – wiatr budę ugasił. Co dzień chłopy czyścili rowy prowadzące z lasu do okopów, bo okopy były na czystym polu, a wiatr zawsze piaskiem zasypywał rowy.

Dniem obserwowano nieprzyjaciela, oglądano okolicę, nocą cała czwórka z sierżantem szefem z okolic Przeworska grała w karty. Nad ranem wszyscy kładli się spać i wstawali wieczorem.

Artyleria nieprzyjacielska regularnie, co trzeci dzień wyrzucała kilka pocisków, ale nieszkodliwie. Tak upływał czas w walce pozycyjnej, a żołnierze chwalili, że lepiej jest w okopach niż poza frontem. Gdzie jedzenie gorsze i nieznośne ćwiczenia. Położywszy się rano spać, a wstając wieczorem, mówił do mnie sierżant **Ćwikiel (od Przeworska): „Co to stryku, czy dzisiaj nie było dnia. Trzebaby coś popić".** Szliśmy w tył, do lasu gdzie stała kuchnia, aby coś zjeść i popić. Potem wymyśliłem nowy sposób świecenia: flaszka przecięta sznurkiem, napełniona smalcem, świeciła jak lampka w kościele. Przy tem świetle można było czytać. Zima była, ale piec grzał dobrze, samowary huczały, kurzyłem fajkę i nic mi nie brakowało do szczęścia.

Po jakimś czasie objąłem ad Styrem odcinek na zachód od Czartoryska, bardzo spokojny, z piękną ziemianką, którą nazwałem Willa Maryśka. Była zbudowana z desek, z podłogą, miała piec, okno z firankami, łoże wymoszczone mchem, ściany obite płótnem z prześcieradeł. Czułem się świetnie. Czasem 2 - 3 dni z niej nie wychodziłem, siedząc w pantoflach z fajką w zębach, z książką w ręku; często czytałem Tomasza z Kempis, o naśladowaniu Chrystusa, która to książka towarzyszyła mi przez całą wojnę. Do okopów wroga było ponad 1800 kroków. Obserwowałem je przez okienko. W okopach było czysto. Każdy żołnierz miał wyznaczone stanowisko, tabliczkę z nazwiskiem, numer karabinu; służba była jak w koszarach, zamiatało się nawet okopy. Nic dziwnego, była to walka pozycyjna w zimie. Każdy z doświadczenia wiedział gdzie pociski rosyjskie raz na trzy dni padać będą. Najmilej wspominam ten czas bo można się było wyspać, nie było wszy, było czysto, jedzenia nie brakowało.

Jednostajność życia przerwałem, gdyż powołano mnie na kurs do wsi **Rudki,** około 20 kilometrów od Czartoryska gdzie zbudowano wielki budynek drewniany, kilkadziesiąt łóżek, pokrytych wiórami drzewnymi stanowiły legowiska. W środku stał ogromny stół plastyczny z piaskiem. W baraku, który miał 4 piece, w każdym kącie jeden, mieszkaliśmy w liczbie 20. Taka to była ta Akademia. Była tu grupa ludzi złożona z Niemców, Czechów, Rusinów, Polaków; dalej z kupców, poetów, prawników, nauczycieli itp. Komendantem szkoły był sympatyczny **kpt. Mazurka**, który specjalny sentyment czuł do mnie, „dzielnego Polaka". Rano o 8 zbieraliśmy się w baraku ze stołem. Na tym stole zaczynaliśmy całą wojnę. Cały czas należało przemawiać do pozostałych, wydawać komendy, telefonować; hałas był jak w piekle. Czasem wychodziliśmy na pole i tam robiliśmy to o czym była mowa przy stole. Czasem chodziliśmy na górę Kamienuchę. Tam oglądaliśmy teren, a każdy swe zdanie wygłaszał. Gdy ja takie ćwiczenia robiłem, wtedy chłopi z 34 pułku Obrony Krajowej ścinali lasy i wyścielali kłodami drogę. Był tam wówczas z Tuczemp **Mrozowicz** z Młynów, **Michał Walczak** z Zagród, **Jan Łaba** z Wychelówki, zaś **Antek Rudolf** pasł konie.

Kamienucha jest to wieś zupełnie spalona, ani jeden dom nie został. Koło wsi wznosi się wysoka góra, na niej stała mała cerkiewka, a teraz leży garść popiołu, garść kamieni,

trochę blachy i szkła. Wokół ziemia zryta granatami. Niedaleko tej góry leży cmentarz. Krzyże na nim takie jak u nas, tylko ramiona są ozdobione figurami męki pańskiej. Są też groby, na których spotkać można dwa lub trzy krzyże różnej wielkości. Każdy zaś krzyż owinięty jest fartuszkiem, co ma chronić od chorób.

Czas był piękny, wiosna, 19 marzec, gdy z ordynansem szedłem z okopów do szkoły. Skowronki śpiewały, cała wiosna powstawała do życia. Specjalny zapach lasów unosił się w powietrzu. Często chodziliśmy na Polską Górę, sławną z walk legjonowych gdzie przeprowadzaliśmy ćwiczenia aplikacyjne.

Po kursie i egzaminach wróciłem do okopów, gdzie tymczasem wybudowano łaźnię, wykopano studnię, postawiono ławki ogrodowe. Maj się zbliżał. Często siedziałem na ławce w okopach i słuchałem śpiewów żołnierzy rosyjskich. Żaden strzał nie mącił ciszy nocnej. Nic jednak nie ma stałego pod słońcem. Kazano nam opuścić okopy i iść na odpoczynek i przeszkolenie do rezerwy. Z radością opuszczałem okopy - pragnąłem nowości.

Maszerowaliśmy przez Wielki poniedziałek, wtorek, środę niedaleko **Sobiatycz.** Pamiętam w wielką środę wieczorem po całodziennym marszu rozbiliśmy celty w lesie. Przed celtem wystawiłem"feldtragi", zapaliłem ogień na tych noszach i pisałem do domu przy świetle ogniska. Po 3 dniach marszu w wielki czwartek stanęliśmy we wsi **Gorodok,** gdzie spędziliśmy wielkanocne święta, ale nie po Bożemu, bo w wielką niedzielę odbywał się przegląd przez Ministra Obrony Krajowej. Też drań wybrał sobie czas. W całej wsi nie było żywego ducha. Mieszkałem w chłopskiej komorze, czystej, z podłogą. Zaraz stanął piecyk żelazny i wstawiono w okno kawałek szyby. Miałem świetną kwaterę. W wielką niedzielę wyruszyliśmy do lasu 4 km od wsi Gorodok i tam ustawiono nas w szeregi, chociaż to było w lesie; rozkazano nam jednak przez nagromadzenie ogromnej ilości drzew i gałęzi – zamaskować się. Tam przeglądnąć nas miało dowództwo Obrony Krajowej. Tak odbył się pierwszy dzień świąt.

Po południu gdy nasz feldfebel dziadziem zwany, usnął w swej kwaterze, razem z kolegami postanowiliśmy zrobić hecę. Chłopi przynieśli sosnę, 8 metrów długości i tą podparli drzwi feldfebla. Dobyli szybę i w jej miejsce włożyli sakiewkę a Cieślak wylazł na dach i patrzył w komin. Dziadzio wstał i poszedł do kominka aby nalać sobie kawy; wyciągnął rękę po szalkę-wtem Cieślak puszcza kamyk i ochlapuje Dziadzia, który krzyczy do komina:"Stryku!! Dalibyście spokój! Nie róbcie hecy. Cieślak zatkał komin i zlazł. Dziadzio chciał wyjść ale drzwi były podparte. Na drugi dzień w kilkunastu chałupach w kominach rosła rozłożysta sosenka, to była sprawa Cieślaka. Bardzo często graliśmy w kiczki i jeździliśmy na... Raz poszedłem oglądnąć cerkiew rosyjską w tej wsi. Okien tam brakowało wszystkich, ołtarz był rozwalony; obrazy poprzebijane bagnetami. Obraz św. Mikołaja był przebity i znajdujący się nad nim z przeciwnej strony obraz M.B. Na podłodze leżało mnóstwo ksiąg, szaty liturgiczne popów i inne ich świętości. Krzyż na grobowcu popa był rozwalony. We wsi tej byliśmy dwa tygodnie, a potem przenieśliśmy się do innej wsi. **Godomicze i Borowicze** to duże wsie położone po przeciwnych brzegach Styru, złączone mostem drewnianym, bardzo dobrze strzeżonym przez nasze straże. Gdyśmy już byli na moście ujrzeliśmy z daleka kobiety w czarnym stroju. A że to chłopy przez kilka miesięcy baby nie widzieli zaczęli zaraz: Ho! Ho! Patrz! Baba!! Baba!! Z czego zaraz wesołość powstała. We wsi tej mój oddział zakwaterował w budzie w ziemi, a ja miałem mieszkanie w domu.

Zamieszkałem u staruszków **Girgielewiczów,** w ubogiej chatce, gdzie był tylko jeden garnek gliniany do gotowania, żadnego łóżka, tylko ława pod ścianą do spania. Na tych to ławach śpią wszyscy, a gdy braknie miejsca to idą spać na piec. Kuchnię z blachą również można rzadko spotkać. Palą na przypiecku, a jedzenie gotują w piecu, paląc w około garnków. Starzy popili rumu z mej manierki i położywszy się spać, tym razem na piecu, podśpiewywali ku mej uciesze. Żołnierze ze starej stodoły zrobili karuzelę,

na której i ja jeździłem. Spałem w tej izbie przez kilka dni, a później przeniosłem się do innego całkowicie opuszczonego domu, w którym była kuchnia i stół. Tu mieszkałem kilka tygodni. Każdego dnia chodziliśmy na ćwiczenia na przyległe pola i lasy. Po południu często była nauka o broni, więc podzieliłem oddział na części i każdy gefrajter-kapral opowiadał o karabinie, Kaśce lub Maryśce. Czasem dla uciechy zapytałem się co to jest karabin - powiedz no Janklu? Jankiel poważnie prawił: „Karabin to je to, szczo si szczyla", albo: "Karabin to je Manlicher". Śmiali się chłopy i patrzą co ja na to powiem. Ja zaś pytam się jego: „Jankiel a co to jest czapka?". Ten prawi: To szczo si nosi na głowi"; chłopy w śmiech, a ja postanowiłem zapytać mądrzejszego. A że nigdy nic złego chłopom nie powiedziałem, więc zawsze się uśmiechali gdy mnie zobaczyli. Oglądnąłem też karabiny, a że Jankiel miał najbardziej nieczysty, więc też kazałem mu oczyścić; gdy to nie pomogło zawisł Jankiel na ścianie" a baby widząc to płakały". W niedzielę rano zawsze odprawiał ksiądz mszę świętą i prawił kazanie, ale chłopy nie bardzo chcieli go słuchać, bo prawił, by każdy 200 patronów i karabin nosił.

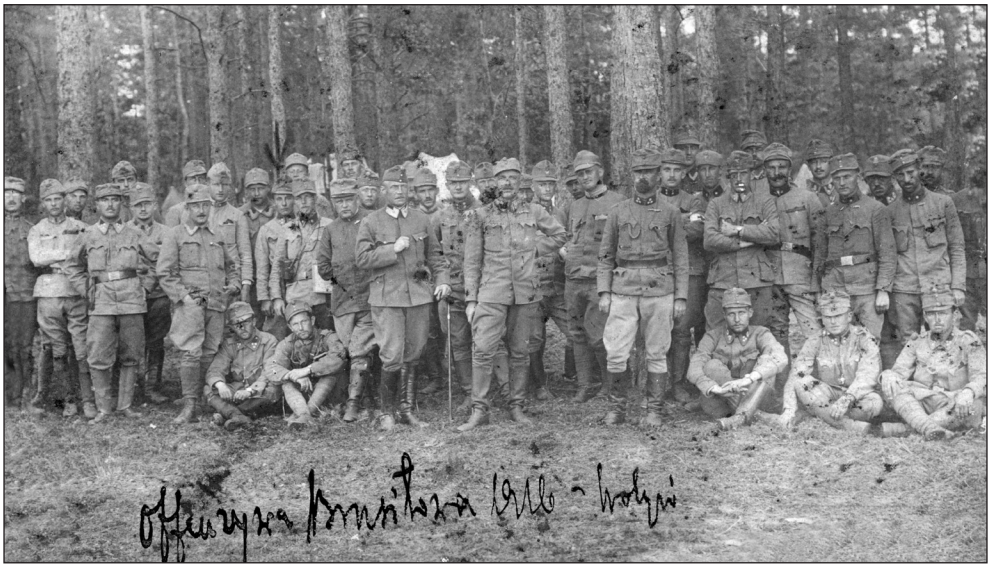

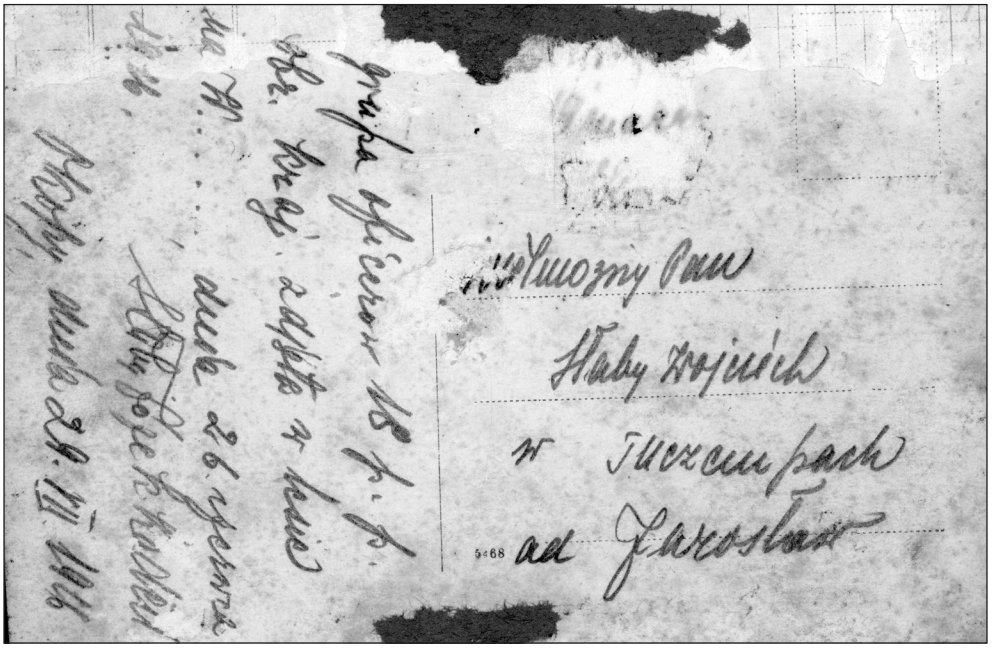

Tam spotkałem kolegę z gimnazjum z Przeworska - **Zajchowskiego**. On był starszym żołnierzem, ja kadetem i dlatego czuł się wobec mnie nieśmiały, co mnie bardzo krępowało. Częstowałem go winem i papierosami.

Raz po południu przechadzałem się pomiędzy ćwiczącymi oddziałami; w tem spostrzegłem w oddali grupę ludzi; grupa coraz bardziej zbliżała się do mnie, aż nareszcie wszystko dokładnie zobaczyłem. Na 2 kołach małego wózka zwanym „biedą" wieziono ubogą trumnę, a właściwie skrzynka zbita z kilku grubych desek. Wózek ciągnęło dwu ludzi; jeden siwy już, a drugi podrostek. Za trumną szły kobiety i małe dzieci, a nędza biła z ich twarzy. Spuszczono trumnę do grobu a kobiety i małe dzieci waliły ziemię na trumnę. Smutny to był obraz.

Życie płynęło bez troski. Rzeka dostarczała metrowych ryb, tysiące raków, wina nie brakowało. Odbyła się uroczystość mszy świętej odprawiana przez księdza biskupa **Bilczewskiego** na polach garnizonu. Każdemu się raźniej zrobiło.

Ofensywa Brusiłowa

Nagle, w niedzielę 3 czerwca 1916 r. jak piorun spadł na nas – **ofensywa Brosiłowa.** Usłyszeliśmy huk armat, to Rosjanie otworzyli ogień huraganowy. **Alarm!** Marsz w stronę frontu. Na dobitek deszcz lał jak z cebra. 20 godzin marszu bez odpoczynku. Słabsi nie dawali rady, wszyscy wlekli się aż do **Karpitówki.** Jechałem konno, odmawiając różaniec. Przed Karpitówką zobaczyłem cofającą się artylejię, płonące mosty i słychać było okrzyki rosjan: **„Huria"**. W tem zobaczyłem jak generał skoczył z bryczki i uciekał w las. Zrozumiałem, że linja bojowa złamana, że wróg naciska, że trzeba się cofać. Zmęczenie pod wpływem wrażeń ustąpiło. Cofałem się noc i cały dzień do **Kiwerc** i tam rozbiłem namioty, lecz po godzinie odpoczynku, raniutko samoloty nieprzyjacielskie obrzuciły nas bombami. Widziałem jak lecąca bomba błyszczała w promieniach słońca i uderzyła w dom gontami kryty, a gonty leciały i uderzały w namioty, zaś żołnierze na oślep pędzili w las. Kuchnia wywróciła się do góry kołami, a konie pędziły jak oszalałe. Już "po śniadaniu" pomyślałem z goryczą, myśląc o próżnych żołądkach zmęczonych żołnierzy i zacząłem zwoływać mój pluton; 60 żołnierzy. Gdy się zebrali, kazałem ładować broń, nastawić bagnety i razem z innymi oddziałami, ruszyłem w las, na wschód od toru kolejowego stacji **Kiwerce.** Zbliżał się chrzest ogniowy. Kule zaczęły gwizdać najpierw wysoko potem coraz niżej, granaty padały gęsto. Nie traciłem zimnej krwi. Wzbudziłem żal za grzechy, poleciłem się Bogu. Padł rozkaz, powtarzany przez linję żołnierzy: okopać się. Powtórzyłem rozkaz. Żołnierze się okopali, ja stałem za drzewem. Zobaczyłem, że wróg się zbliża, kryjąc się za drzewami. **Strzelać!!!** krzyczałem. Zaczął się ogień, ale nie trwał długo, bo usłyszałem: **"Huria",** na prawo i zobaczyłem, że linja przełamana. Nakazałem odwrót, w stronę **Rożyszcza.** W Rożyszczach położyłem się na kupie śmieci, bo już nie mogłem ustać na nogach, ale nie długo rozkoszowałem się odpoczynkiem, bo przyszedł rozkaz, że mam się okopać pół kilometra od Rożyszcza na wschód od toru i bronić dostępu do mostu na Styrze. Było to 8 czerwca 1916 r. Miałem okopać się w sile jednego batalionu na pół kilometra za rzeką przed mostem.

Okopy na metr głębokie, wybrałem w koniczynie, do południa były gotowe. Dzień był bardzo upalny, aromat koniczyny działał usypiająco. Większość żołnierzy spała. Nie miałem sumienia aby ich budzić, sam czuwałem. Wieczorem około 5 godziny dojrzałem, że z lasu wysuwa się rosyjski karabin maszynowy i kryjąc się za domem, który stał przed okopami, zbliża się do nas. Kazałem koledze **Jędrzejowi Michnie** dom podpalić. Gdy nowiuteńki dom, jeszcze nie zamieszkały ogarnęły płomienie, żal mi się zrobiło, żem zniszczył owoc cudzej pracy, ale gdy rozkaz wydawałem, byłem przekonany, że nie ma

innego wyjścia. Zaczął się bój straszny, zacięty, na prawo od toru przełamał wróg linję i zaczął zachodzić z boku. Wydałem rozkaz do cofania się na most. Tymczasem Rosjanie podjechali z pancernym karabinem i prażyli uciekających przez most. Widziałem jak obok mnie padają żołnierze do głębokiej rzeki. Włosy mi się zjeżyły ze strachu na głowie. Widziałem leżący na moście lont, aby go wysadzić. Ledwie dobiegłem do końca, gdy nerwowy kapitan Mazurka podpalił lont. Oglądnąłem się. Most był w powietrzu i wielu żołnierzy z nim. Zapadła noc; długo słychać było jęki błagających o pomoc. Gdy ciemności ogarnęły ziemię, dostałem rozkaz, aby z karabinem maszynowym iść przed własną linję i pilnować, aby nocą wróg nie przeprawił się przez Styr. Zaciągnąłem tę niebezpieczną placówkę. Nagle w nocy bez powodu Rosjanie zaczęli strzelać, na co z naszej linji odpowiedziano ogniem karabinów maszynowych, a kule wroga i nasze z tyłu padały na mą placówkę. Leżąc w dołku, nakryłem się snopem słomy, który idąc wieczorem kazałem wziąć dla wymoszczenia dołów. Słoma mnie ocaliła. Słyszałem tylko syk kul, które się zatrzymywały w słomie. Nad ranem wróciłem do okopów i położyłem się spać. Jeszcze nie zdołałem usnąć gdy otrzymałem rozkaz, aby się cofać w stronę młyna-wiatraka, a potem do **Peresby**. Pod ogniem zaporowym artylerji cofałem się z ordynansem, ale nie z wszystkimi żołnierzami bo się rozbiegli, ordynans później też gdzieś przepadł razem z manierkami z rumem. A na nich wiele mi zależało.

Idąc przez pola, spotkałem kolegę **Potocznego** z Jarosławia. Wstąpiliśmy do jednej chałupy, popiliśmy mleka kwaśnego, mimo pękających granatów i płaczącej baby i poszliśmy dalej. Obok stacji kolejowej Peresba spotkaliśmy Niemców kopiących okopy. Widać, przyszli nam na pomoc. Przeskoczyłem rów strzelecki, życząc żołnierzom niemieckim szczęścia i skierowałem się w stronę płonącej stacji, gdzie były magazyny żywnościowe i beczki z rumem. Tam odpocząłem i popiłem wina; przy beczkach spotkałem trochę moich żołnierzy. Nie było ich dużo. Z całego pułku 6 tysięcznego, zostało około 200, jak obliczyliśmy. Trochę zginęło, ale nie wielu. Większość w bezhołowiu dostała się do niewoli. Złapałem zbłąkanego konia, dosiadłem i maszerowaliśmy do **Porskiej Wólki.** Było to 16 czerwca 1916 r**.** Po obsadzeniu okopów, połowa oddziału miała iść na patrol. Dowódca wezwał mnie i kolegę **Michnę z Żurawicy** i rzekł: „Niebezpieczna to wyprawa. Można nie wrócić. Ciągnijcie losy". Miał 2 zapałki i ukrył w dwu rękach, po jednej. Ja wyciągnąłem z główka, Michna bez główki i poszedł. Za godzinę przynieśli go na noszach, lekko rannego. Jakże żałowałem, że mnie to nie spotkało. Taka rana była warta bardzo dużo. Nieszczęsny zostałem na pozycji. W niedzielę 18 czerwca zaczęli Rosjanie strzelać sping granatami. Nie można było oddychać. Brakowało powietrza. Żelazo, piasek, ziemia, sypały się na głowy. Trupów pełno, ranni jęczą. Plutonowy Michna z Żurawicy, trzęsie się jak dziecko, a chłop był ogromny. Ja poleciłem się Bogu, zapaliłem fajkę i siedziałem, czekając co będzie dalej. Nic mi się nie stało. Bóg czuwał nade mną. Wieczorem po trzech dniach głodu dostaliśmy jedzenie, podjadłem sobie i z rozkazu porucznika poszedłem wystawić feldwachę. Straż tą miałem postawić nad brzegiem Styru, więc 800 kroków od okopów. 16 ludzi umieściłem nad brzegiem Styru, a 50 dałem rozkaz by się zakopali przed drutami. Za chwilę poszedłem oglądnąć co robią chłopy, czy nie śpią. Idąc sitowiem, które było wyższe ode mnie, zobaczyłem jak w blasku księżyca błysnął bagnet. Myślę sobie: Zabłądziłem, pewnie Moskal idzie i krzyknąłem: Kto idiot. No hawari.! A ten zaś półgłosem mówi: Stój bo strzelę; feldruft. Tak,że łajdaku gadaj. No dobrze, prowadź do placówki. O północy zaczęli Moskale strzelać chcąc wybadać gdzie mamy straże. Nad ranem powiadam: „Chłopy wracamy do okopów, zabierać się". A tu ani jeden się nie rusza, każdy zasnął; więc szedłem i za porządkiem kropiłem pałą. Komu jedna była za mało to dostawał dwie lub trzy. Wróciwszy do okopów położyłem się spać; granaty rosyjskie padały na wszystkie strony. A mały kawałek uderzył mnie w cholewę buta. Chłopi widząc to rozbębnili po kompanii, że kadet Słaby zabity. My szliśmy powoli do wsi, tam okopaliśmy się, ale wnet poszliśmy

dalej, a stanowiska zajęli Niemcy. Przeszliśmy przez Perespę, w której wszystkie magazyny płonęły. Tu odpoczęliśmy; każdy chłop popił wina i ruzu i pod dobrymi humorami szliśmy dalej"do rezerwy". Tu wypoczęliśmy, przyszły nowe posiłki i na nowo utworzyliśmy siłę. Zajęliśmy stanowiska nad Stochodem. Wieś ta była doszczętnie obrabowana, a pozycje nasze były pół kilometra za nią. Potem zajęliśmy nową pozycję w lasku, który był częścią w ogród zamieniony. W tym ogrodzie poza linią walki stał dwór szlachecki, stary, na pół rozwalony. Do tego dworu mój przyboczny **Orzechowic**, w cywilu kamerdyner dworski, chodził często gotować kawę. Pomiędzy nami i Moskal;ami rozciągały się bagna i stawy, trudno było coś ujrzeć. 16 czerwca rano usłyszałem na prawo: urria! I strzelaninę. A że było mglisto z oddali widziałem jedynie kupę Moskali. Linia na prawo była przerwana. Cofaliśmy się a madjarska artyleria myśląc, że to Moskale zasypywała nas granatami. Przyszły posiłki i poszliśmy do starych stanowisk.

21 czerwca austrjacy po ogniu huraganowym przeszli do ataku. Miałem przejść przez rzekę. Zaatakowałem. Przyszliśmy do okopów rosyjskich. Tu w największym nieporządku leżały płaszcze, koce, bielizna, karabiny, noże, brzytwy, stały kociołki pełne kaszy. Przy drzewie, na którym był punkt obserwacyjny stała drabina, a pod drzewem leżał martwy obserwator. Zabrałem mu wszystkie papiery i zabrałem ze sobą. Rosjanie uciekali w popłochu. Gdy zacząłem ich ścigać, zobaczyłem pułkownika rosyjskiego, stojącego za drzewem i powiewającego białą chusteczką. Poddawał się. Niestety jakaś zbłąkana kula ugodziła go śmiertelnie. Gdy doszedłem do niego, był trupem. Wokoło trawa była czerwona od krwi, omal nie przyprawiło mnie o omdlenie. Posłyszałem jęczącego rannego Moskala. Przytknąłem mu do ust moją manierkę z winem. Wtem zobaczyłem pędzących kozaków. Czym prędzej się ukryłem i udałem w bezpieczne miejsce. Po bitwie poszliśmy na odpoczynek.

Po trzech tygodniach nareszcie mogłem się umyć, zmienić bieliznę, pozabijać co większe wszy, najeść się i odetchnąć. Zdjąłem też buty nie zdejmowane od 3 czerwca. Dobrze było w sosnowym lasku na odpoczynku, ale 30 czerwca nagle napadli nas Moskale, wcale nieprzygotowanych. Zdębiałem. Zacząłem wiać. Moskal krzyczy, abym stanął, bo strzeli. Nie stanąłem, taki byłem lekkomyślny. Strzelił, ale trafił w sosnę, 10 cm od mej głowy. Skryłem się za krzaki. Potem wpadłem w jakieś jezioro. Woda była po pas. Gdy byłem na środku zobaczyłem, że kozacy z pikami jadą za mną, ale widać nie mieli ochoty ścigania mnie, zawrócili i tak ocalałem. Ale zabłądziłem sam jeden,, nie wiedziałem w którą stronę się cofać. Busola mi przyszła z pomocą. Ustawiłem ją i postanowiłem iść na zachód. 1 lipca spotkałem mój oddział, 50 rozbitków. Zajęliśmy nową pozycję, broniąc drogi do **Ugty.** Bagnista to była łąka. Nie można było się okopać, tylko na wierzchu budowało się osłony. By nie leżeć w błocie cofnęliśmy się do lasu. Kuchnie się zagubiły, nie dowiozły jedzenia. Po zjedzeniu żelaznych porcji, 5 dni byliśmy bez jedzenia. Głód skręcał wnętrzności, gorączka paliła, traciłem przytomność, prosiłem Boga o śmierć. 6 lipca odwołano nas z okopów do **Pawurska**. Jakże się cieszyłem, gdy po odbyciu marszu 30 kilometrowego zobaczyłem dymiące kuchnie. Niestety sam zapach kawy mnie upoił i popadłem w sen kilkugodzinny. 8 lipca znowu byłem w walce pod Hulewiczami i to walce gazowej, od której po żółtej plamce na źrenicach do końca życia mi pozostało. Z końcem lipca obsadziłem okopy pod **Zarzeczem.** Słońce prażyło, wróg raził z karabinów maszynowych, wody nie było można dostać, pragnienie było ogromne, więc odrzuciłem na dnie okopów suchy piasek i z warstw dolnych ssałem wilgoć. Dwa dni żołnierze nie jedli, amunicji też nie dostarczano, a Rosjanie zarzucali nas 18 cm sping granatami, ziemia jęczała, miałem wrażenie, iż piekło się otwarło, aby nas pożreć. Miałem z okolic Mielca 2 żołnierzy – ojca 40 letniego i 19 letniego syna, nazwiskiem **Moskale**; obaj padli. Mało mi serce nie pękło, gdy po bitwie donosiłem żonie że padł mąż i syn.

W bitwie leśnej pod **Kiwercami** padł kadet **Antoni Kamński** z okolic Jarosławia, dwaj inni dostali się do niewoli, sierżant dziadzio też gdzieś przepadł, tak że w okopach pod **Zarzeczem** siedziałem ja i czterech jednorocznioków, którzy po rozwiązaniu frontu wschodniego zostali przydzieleni do mojego oddziału. Mówię: chłopcy, w razie ataku wy zostaniecie w okopach, bo pozycja jest nie do zdobycia, szkoda waszego życia. Oponowali, ale kazałem im milczeć i słuchać rozkazu. Nieprzyjaciel był oddalony o 300 kroków. Austrjacy otworzyli ogień huraganowy, a dym ze sping granatów tak zapełnił powietrze, że żołnierze dusili się, nie mając czym oddychać.

30 lipca kazano mi atakować. Nie usłuchałem, bo widziałem, że pozycja nie do zdobycia. Nie chciałem brać odpowiedzialności za śmierć ludzi. Dostałem rozkaz na piśmie. O godzinie 10.30 zaatakowałem. Straciłem 20 zabitych i 17 rannych. Powtórzyłem atak jeszcze raz; dostałem się w ogień krzyżowy – mózg sąsiedniego żołnierza trafionego w głowę obryzgał mi płaszcz. Zaatakowałem raz trzeci i zobaczyłem, że plecaki na żołnierzach się palą, bo strzelano zapalającymi kulami. Trzeba się było cofać, cofnąłem się do okopów i broniłem zaciekle przeciw atakującym. Wróg ustępował. Trzeba było strzelać, ale między linjami leżeli ranni żołnierze, którzy chustkami prosili o zaprzestanie ognia. Jeszcze tego dnia szedłem dwa razy do ataku. Osiwieć było można i stracić rozum.

Podczas gdyśmy spokojnie siedzieli w **Powursku**, zaczął się ogień działowy pod wsią Hulewicze. Kapitan wysłał mnie abym zbadał drogę do okopów i okopy. Diabelnie bili Moskale. Pole było odkryte, a ja miałem je przejść. Powoli, przeszedłem; gdy już byłem koło okopów linia zaczęła się cofać, a ogień karabinów maszynowych był nieustanny. Czym prędzej więc wróciłem się i poszedłem na dawne miejsce. Pułk już pośpieszył na linię bojową; zjadłem obiad i poszedłem go szukać. Pod Holewiczami nad Stochorem wznosiła się góra wysoka. Tam znalazłem komendanta batalionu. Na tą górę jak grad sypały się granaty i szrapnele. Ja nie miałem tam czego szukać i czekać na śmierć, więc czym prędzej uciekłem do lasu, gdzie ma kompania była w rezerwie. Był tam wtedy okropny chrzęst, ziemia spłynęła krwią, trupów sterty leżały. Nadszedł rozkaz: „Gotować się do marszu". Klęli żołnierze, klęli oficerowie. Trzeba było jednak iść. Znowu maszerowaliśmy piaskami i lasami. Po północy rozbiliśmy namioty w jakimś lasku. Ułożyłem się a tam znowu słychać przekleństwa i słowa: Aufpacken, pakować się! Gotować się do marszu! Na domiar złego jeszcze deszcz zaczął padać. Maszerowaliśmy jeszcze kilka kilometrów i tam znowu rozbiliśmy namioty; wystawiliśmy straże. Każdy położył się na ziemi i usnął snem sprawiedliwego. W tym to lesie niedaleko **Zarzecza** nad Stocherą długo siedzieliśmy, chodząc nocami tylko do kopania okopów. Czasem był który ranny bo kule gęsto leciały.

Raz deszcz lał jak z cebra, ja byłem z cugiem na robocie. Ciemności były piekielne, granaty warczały w około; okopy jednak musieliśmy kopać. Raz znowu zobaczyli nas Moskale i taki otworzyli ogień, że cały dzień musieliśmy siedzieć w jamach. Leżąc w celcie czytałem w gazetce, że Brusiłow przygotowuje coś nowego; spodziewaliśmy się więc po 8 dniowym odpoczynku ataku. Nasza komenda nie czekała, aż Moskale zaczną ale z soboty na niedzielę pod wieczór 22/23 lipca 1916 po huraganowym ogniu zaczął się nasz atak na rosyjskie okopy na bagnach. Ja byłem wtedy w rezerwie, leżałem w dole w glinie zziębnięty, a deszcz lał.

Po ataku, w którym skórka za wyprawę się nie opłaciła poszliśmy do **Cerkówki** na odpoczynek i na zebranie sił. 24 lipca zostałem jako „jeden z najlepszych kadetów pułku" przydzielony do kształcenia nowo z kadry przybyłych żołnierzy marsz kompanii. Byli to starzy ponad 35 do 40 lat ludzie. Tylko 4 dni chodziłem z kompanią na ćwiczenia bo wnet zaczęły krążyć aeroplany obserwacyjne i czekały nas ciężkie walki. 28 lipca ruszył pułk pod Zarzecze, gdzie przed tygodniem staliśmy. Właśnie dochodziliśmy tam, gdy nasza linia została przerwana. Pułk poszedł na pomoc ja zaś z kompanią zostałem w rezerwie. Tego dnia na nas więcej pocisków padało niż na pierwszą linię. Ja zaś mia-

łem ludzi starych, którzy po raz pierwszy byli w polu, więc ciągle musiałem na nich uważać. W nocy i nam kazano ruszyć na pozycję. Kule jęczały jak osy, ze szrapneli sypało się rozpalone żelazo. Myśmy szli pół godziny wzdłuż frontu, a nikt nie padł. Powoli chłopy się oswajali. Nareszcie rozstawiłem ich na linii i kazałem się im okopać. Na przodzie wystawiłem straże, a sam drzemiąc za drzewem jak zając słuchałem.

Nad ranem dostałem rozkaz aby zająć pozycje nieprzyjacielskie. Ruszyła kompania. Było jeszcze ciemno. Widząc zaś przed sobą okopy chłopy z okrzykiem „hurra" rzucili się do nich i zajęli. Były to jednak nasze okopy, nie obsadzone a Moskale byli 300 kroków dalej. Chłopi ciągle pytali się mnie co teraz będzie; od czasu do czasu padło kilkanaście granatów przed lub za okopy, aż ziemia jęczała. W tą samą niedzielę o 5 wieczorem znowu ruszyliśmy do ataku. Zobaczyli to Moskale bo byli jakieś 120 kroków od nas i zaczęli do mnie strzelać; schowałem się za drzewo. Patrzyłem na mych ludzi;

jednemu palił się plecak; inny cofał się w tył lekko ranny. Obok mnie leżał stary chłop i wołał: panie kadecie ja już umieram, w głowę rannym. Te obrazy nie znikną z mych oczu. Ja ich prowadziłem do ataku.

Wtem zostałem ranny w nogę. Poczułem ciepło w bucie i krew się sączyła przez dziurawą cholewę buta. Dostałem kulą z maszynowego karabinu. Krzyknąłem: zugfuhrer, bierzesz komendę, ja jestem ranny. Oddałem dowództwo kapralowi, a sam wróciłem do okopów. Zdjąłem but i wiązałem nogę bandażem. Chłop lekko ranny wziął mój płaszcz, buty, i maszerował ze mną na hilfplatz. Patrząc na pobojowisko, płakałem jak dziecko. **Cesarze wojnę wydali a dzieci i ojcowie rodzin walczyli. O hańbo o wstydzie XX wieku!!**

Z pomocą Polemika, ordynansa, oddalałem się z linji bojowej usłyszałem straszny piekielny świst granatów. Matko Boska ratuj,w tym momencie nastąpiła eksplozja nie dalej jak 5 kroków ode mnie. Szliśmy z ordynansem z początku skuleni okopami, potem przez czyste pole i w las, a dalej do wsi. Hilplatz jednak wyjechał z wioski. Gdy już byłem jakieś dwa kilometry za linią frontu ale jeszcze dopędził mnie granat i pękając szczerupą zranił mnie w nogę drugi raz. Znalazłem bandaże na opuszczonym placu opatrunkowym, obwiązałem rany aby krew nie płynęła i piasek nie sypał się do ran. Wlokłem się lasami. Na szczęście zobaczyłem szałas, z którego uciekli łapiduchy niemieckie, a zostawili bandaże. Po pięciogodzinnej tułaczce spotkałem dwu Niemców, którzy ponieśli mnie kilka kilometrów, aż do drogi, gdzie siadłem na podwodę, którą zatrzymałem grożąc rewolwerem. Droga leśna była z okrąglaków. Każde poruszenie woza wyciskało łzy z oczu. Dostałem się na plac opatrunkowy w **Kapituwce**. Tam nogę mi przewinięto i dwu sanitariuszy zaniosło mnie do jakiejś chałupy i położyli na słomie. Po opatrunku przy świeczce, złożono mnie w stodole. Gdzie to było, nie wiem. Pamiętam, że rano przyszły tam kobiety ze wsi, przyniosły mi mleka i bardzo nade mną płakały. Musiałem marnie wyglądać.

Tegoż dnia po południu odwieziono mnie do pociągu sanitarnego. Czułem się jak w raju, gdy mnie złożono na kanapie I klasy. Sanitarjuszka przyniosła wino i cygary. Rana nie była ciężka. Tylko wszy mnie gryzły. Pociąg ruszył do **Chełma.** W Chełmie, na podwórzu Szkoły Maryjskiej złożono mnie na noszach.

Rozglądałem się, co to za szpital, ale nie wiele widziałem, bo oczy nie myte przez dwa tygodnie mało co widziały. Wtem przystąpiła do mnie sanitarjuszka z zapytaniem: „jak się masz?". Spojrzałem zdziwiony na nią. Ona tem bardziej się zdziwiła, że jej nie poznaję. Była to **Stacha Dwornikówna**, moja koleżanka szkolna i sąsiadka, którą zawsze lubiłem. Kazała mnie wnieść do wanny, mundur krwią zbroczony dała do odwszalni. Za chwilę leżałem w czystem łóżku i czułem się bardzo szczęśliwy. Już mnie wszy nie gryzły, dostałem czystą bieliznę.

Po dwu dniach odesłano mnie pociągiem sanitarnym do **Czech** do **Pardubitz,** gdzie był specjalny szpital, na 10 tysięcy łóżek. Lekarka, amerykanka opatrzyła mi ranę, Niemka **Berta Bellingen** pielęgnowała mnie bardzo dobrze, a lekarz Polak, był bardzo sympatyczny. Ponieważ baraki szpitalne były kryte blachą, wydawały szelest za lada podmuchem. Ponieważ bandaże się odkleiły i rana się otwarła, zaniesiono mnie na stół operacyjny. Po zmianie opatrunku zaniesiono mnie na salę, gdzie już było 8 rannych. Leżenie w szpitalu, wśród obcych, bardzo mi dokuczało. Postanowiłem się przenieść gdzie indziej. Po dwu dniach, 11 sierpnia jechałem dalej przez Lublin, Kraśnik na Rozwadów. Potem przez Tarnów, Kraków, Ołomuniec zajechałem do Pardubic. Przez okno wagonu patrzyłem na piękny kraj naszego Królestwa.

Przypomniałem sobie bowiem, że jako mały chłopiec, poznałem we Lwowie brata babki pana **Moraka,** który był naczelnikiem stacji w **Kolinie**. Do niego napisałem, aby mi się postarał o miejsce w szpitalu. Dostałem telegram, że miejsce wolne, tem bardziej, że lekarze tamtejsi wzięli mnie za Czecha. Słabi, to czeskie meno, mówili. 11 sierpnia

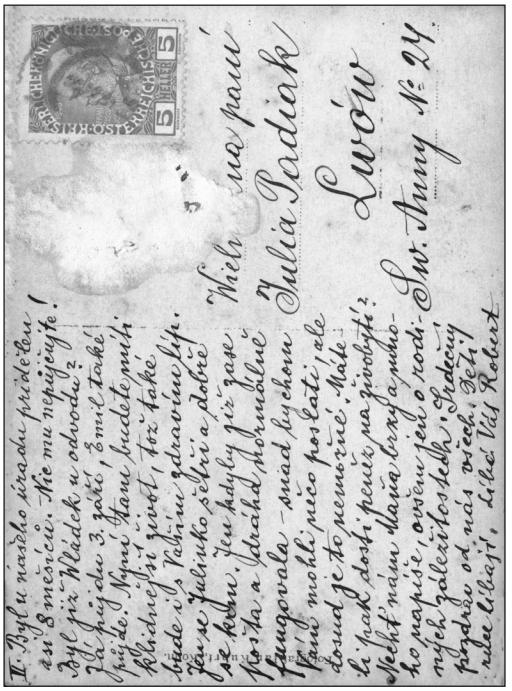

1916 r. wyjechałem do Kolina. Autem; wśród owacji Czeszek i Czechów ze stacji zawieziono mnie do szkoły, gdzie się mieścił szpital. Przecudowne tam było życie, odpoczynek po trudach, miłe towarzystwo Czeszek, które twierdziły, że „my je rade" Polakom. Z początku wychodziłem w kalesonach i papuciach bez czapki na dziedziniec. Za kilka dni dostałem z dezynfekcji mundur i poszedłem odwiedzić Wuja, krewnego Babki, żony Michała Padiaka ze Lwowa. Czasem bywałem u Moraków, w ich pięknym ogrodzie i kamienicy. Jest on nadinspektorem poczty. Potem co dzień chodziłem na przechadzkę na wyspę oblaną Łabą. Ponieważ chciałem nauczyć się mówić po czesku, dlatego to porobiłem znajomości z paniami i panami w Kolinie. Miałem około 20 znajomości w kilku dniach.

Na Ostrowie – wyspie, często spacerowałem z Czeszkami. Są to kobiety bardzo żywego temperamentu i bardzo przystępne, a miłe. Kolin stoi na kilku pagórkach, ulice prowadzą z dołu do góry i na odwrót. Jest tam bardzo piękny kościół, gotyk; wewnątrz ślicznie wyryta na drzewie droga krzyżowa. Początki jej to XV wiek. Muzeum nowe, ale w nim wiele starych rzeczy. W sali mej usługiwały siostry Irma z Pragi, Alba i Marietta. Bardzo to miłe życie zaczęło mnie szybko nudzić i ucieszyłem się gdy 5 września miałem opuścić Kolin i jechać do Piszczan.

Mile wspominam z tego pobytu **Emuszkę Czernohlawkównę,** córkę profesora, która chciała koniecznie wyjść za mąż za mnie, oraz blondynkę sanitarjuszkę **Anuszkę Mestianek,** która mi wiele chwil poświęciła, na ustroniach wyspy na Łabie.

5 września opuściłem Kolin, a wyjechałem do zdroju o światowej sławie, do **Piszczan, Postyen-Bad,** odprowadzony na stację przez kolegę dr pawa Lijaka, wuja, jego syna. Zamieszkałem w hotelu „Pod zielonym dębem". Rano poszedłem przedstawić się komendantowi miasta. Następnego dnia wyjechałem do Wiednia aby kupić materiału na bluzę, spodnie, buty itd. Zamieskałem w porządnym hotelu by w następnym dniu zrobić zakupy i wróciłem do Piszczan. Zacząłem kurację reumatyczną. Na rozporządzenie doktorki wkładałem nogi do błota i tak siedziałem przez pół godziny. Potem kąpałem się w sadzawce, w której była ciepła woda, 30 stopni. A że mi się kąpiel w wodzie lepiej podobała niż to błoto, więc już nigdy błota nie kazałem przynosić, ale co dzień w ciepłej wodzie siedziałem.

Całe miasto liczy 3-4 ulice. Jest to właściwie murowana wieś. Okolica przecudowna, nad **rzeką Wagiem.** Poza rzeką góry, na których lśniły w blasku słońca rycerskie średniowieczne zamki. W restauracji zakładu stołowało się ponad 600 osób. W parku 3 orkiestry grały nieustannie. Z bibljoteki polskiej pożyczałem książki i tak spędzałem czas na obczyźnie, dopóki nie poznałem w piwiarni Metropol, pani **Minny Kniżek**, wesołej wdówki. A do poznania doszło tak: Pewnego popołudnia siedziałem nad rzeką i spostrzegłem, że ucieka ogromny pies, buldog, a jakaś pani stara się go dopędzić. Schwyciłem psa i oddałem właścicielce. Nie przedstawiłem się jej, bo wyglądała na damę z wielkiego świata z brylantami, a ja miałem na sobie żołnierską czapkę i zniszczony, krwią poplamiony mundur, który po odwszeniu w parze, fatalnie wyglądał. Błyszczały tylko złoto – srebrne dystynkcje, które naszyłem w szpitalu w Kolinie, gdyż tam dostałem awans. Zasalutowałem i odszedłem. Wieczorem spotkałem ją w towarzystwie burmistrza Piszczan w Metroplu. Tam dyskretnie wręczyła mi karteczkę, gdzie się nazajutrz mamy spotkać. Nazajutrz wyjechaliśmy do winiarni poza zdrój, a za kilka dni byłem w jej posiadłościach w **Maria-Enzensdorf pod Wiedniem;** ale już ubrany w mundur galowy, który kupiłem we Wiedniu. Miło czas tam spędzałem. Chciała bym się z nią ożenił, a ona postara się, abym był przeniesiony do artylerji i studjował leśnictwo w akademji wiedeńskiej. Gdy to nie doszło do skutku, chciała mi dać swą willę w Piszczanach, ale się na to nie zgodziłem.

11 listopada opuściłem zdrój na własną prośbę i wyjechałem do Szombathely na Węgrzech, gdzie była kadra jarosławskiego, 90 p. piechoty. Zamieszkałem w hotelu Kovacsa(Kowacz). Ponieważ daleko było do koszar przeniosłem się na Ernust-Kelement-utea 5. do domu pani **Radanyi-Lajosne**, młodej wdówki. Miła to była Anuszka i bardzo się do mnie przywiązała, a pilnowała mnie, abym się nie włóczył po knajpach, lecz tylko z nią czas spędzał. Prowadziłem żywot człowieka poczciwego. **1 stycznia 1917 roku zostałem oficerem, podporucznikiem**. **Dostałem wielki srebrny medal za waleczność**. Cały wolny od służby czas spędzałem z Anuszką, z czego jej rodzice bardzo się cieszyli, bo zajęta mną, nie rozpaczała po śmierci męża i dziecka. Niestety, twarda jest dola żołnierza. Musiałem opuścić to gniazdko zaciszne i iść na losy nieznane, na front, tam gdzie kule świszczą i bagnety błyszczą. 27 lutego 1917 roku wyruszyłem na front wschodni.

„ Z ziemi mych ojców przez wroga wygnany, Deptać musiałem obcych ludzi łany" (Krasiński)

Było 23 marca 1917 r. O godzinie 6 wieczorem miał wyruszyć transport w pole. Z tego powodu już o godzinie 11 zaczęły zbierać się kompanje na podwórzu koszar. Maszerowała kompanja pierwsza. Starzy i młodzi uginali się pod ciężarem plecaków wypełnionych nabojami, porcjami żelaznymi, bielizną itd. Na czapkach powiewały dębowe gałązki. Za chwilę pokazała się kompanja druga. Chłopi szli ciężko, lecz sprężystym krokiem. U czapek było widać polskie kokardki, a nad szeregami powiewała chorągiew M.B. Częstochowskiej. Trzecia kompanja pozostała w koszarach aby wkrótce odejść na włoski front; po drugiej wyłoniła się czwarta, moja kompanja. Składała się z chłopów rosłych jak dęby z okolic Jarosławia, Przeworska, Łańcuta, Lubaczowa i Radymna. Po ustawieniu w porządku wszystkich pododdziałów, ks. kapelan odbierał przysięgę. 27 lutego 1917 r. transport przy dźwiękach orkiestry ruszył w nieznane. Bałem się, aby tylko nie na włoski front. Nocą 25 marca przybyliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego, przez Budapeszt, Lwów. Mróz 20 stopni, kazamaty nie opalone, zniechęcenie mnie ogarnęło i mimo szlifów oficerskich, łzy się kręciły w oczach. Przez 5 miesięcy byłem w sztabie jako instruktor w rzucaniu granatów ręcznych i dopasowywaniu masek gazowych dla

żołnierzy 4 armji. Codziennie dostawałem listy od Minny i Auczi: Etapenpost 167, taki był mój adres. Tam też w Poniczewie, w lasku, gdzie stała opuszczona stara prawosławna cerkiew poznałem powstańca i jego córkę Helenę, z którą nie jeden wieczór księżycowy spędziłem. Za to pożegnanie było przykre, nie obeszło się bez łez z jej strony, a i ja też długo nie mogłem znaleźć spokoju. Przez 4 miesiące i pies się przywiąże do człowieka, a ja ją po raz drugi w mej wędrówce bojowej spotkałem. 15 sierpnia wyjechałem pod **Tarnopol,** do okopów. Jakiś czas mieszkałem w **Kokutkowcach obok Cembrowa** i stamtąd dostałem 4 tygodniowy urlop, kilkanaście dni spędziłem w domu, a resztę na Węgrzech i w Piszczanach. 15 października 1917 r. znowu znalazłem się w okopach pod **Czernichowem** nad **Seretem.** Kilka dni temu wylegiwałem się w wygodnych łożach, a teraz siedziałem w piwnicy spalonego sklepu kółka rolniczego, a myszy i szczury uganiały po tej budzie. Dobrze, że na czas z niej wylazłem, bo na drugi dzień granat ją rozbił. 17 grudnia poszedłem do okopów pod **Nosowcami** i **Horodyszczem**, nad stawem **Wertełki.** Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Było wtedy zawieszenie broni, ale głód był wielki. Zmarzłe ziemniaki i chleb z trocin stanowiły jedzenie świąteczne.

Anuszka

Późną jesienią pociąg zatrzymał się na stacji jednego z wielkich miast południowych Węgier. Z wagonu sypialnego wysiadł porucznik i skierował się do kwatermistrzostwa, celem przydzielenia mu kwatery. Ponieważ nie chciał mieszkać w hotelu, przydzielono mu mieszkanie w prywatnym domu. Obejrzawszy zaciszny pokoik, dowiedział się, iż za sąsiadów będzie miał solidne starsze małżeństwo, mające dwie córki, z których jedna 19 letnia Irma jest urzędniczką, druga Anuszka 25 letnia, jest wdową od 2 lat. Ponieważ Irma ciągle przebywała w biurze, matka zajmowała się gospodarstwem, a ojciec pisał wiersze, do towarzystwa dla lokatora pozostawała młoda wdówka. Chociaż słabo mówiła po niemiecku, a oficer zaledwie kilka słów umiał po węgiersku, łatwo się porozumiewali i razem spędzali wolny czas już to na ślizgawce, już to w kawiarni a najczęściej w zacisznym pokoiku do którego Anuczi nigdy nie dopuszczała ordynansa, lecz sama była tam gospodynią. Gdy oficer miał służbę w koszarach, były to najcięższe dla niej godziny. Wtedy krążyła pod oknem oficera inspekcyjnego, aby choć ujrzeć swego diabełka, jak zwała porucznika. Na każdą paradę Anuszka prasowała mundur, czyściła gwiazdki, szablę, a potem wychodziła na ulicę aby popatrzeć na maszerujące przy dźwiękach muzyki kolumny wojska, przeznaczonego na kanonen futter. Niestety nie ma nic stałego pod słońcem. Przyszedł rozkaz odmarszu w pole. Oficer paradny mundur zostawił Anuszce na pamiątkę, a sam ubrany jak szaraczek wyruszył na pole walki. Anuczi mdlała, porucznikowi rozdzierało się serce i przyrzekał sobie nigdy z kobietami nie zawierać znajomości, aby uniknąć tak nerwy szarpiących scen. Poczta polowa była zasypywana stertami listów i pakunków od Anuczi i Minny.

Po półrocznym pobycie na froncie pędził porucznik tysiące kilometrów z Polesia przez Polskę i Austrję, aby spotkać się z Anuszką. W luksusowym hotelu urządzonym w stylu francuskim w stylu Ludwika XV znowu spędzali dnie, podczas gdy na froncie wrzała walka. Takie to już jest życie. Po wojnie Anuczi wyszła za mąż i przerwała korespondencję. I dziś pewnie, tak jak ongiś za czasów porucznika nosi kwiaty na grób pierwszego męża, który zginął zatruty strzałą Auczy.

Noc piękna jest, szkoda jej zmarnować

Słońce miało się ku zachodowi, gdy młody oficer z medalem waleczności na piersiach, pogwizdując i wywijając szpicrutą, zbliżał się do pięknego drewnianego domku położonego na kraju lasu. Za kilka minut witał się z piękną młodziutką Helenką mieszkanką

tej wołyńskiej ustroni. Dziewczyna stawiając na czysto zastawionym stole chleb, masło, kwaśne mleko, gościła żołnierzyka, czem chata bogata.

Tymczasem ciemność zaczęła zapadać, a podnosząca się mgła zaczęła obejmować cały las. Oni siedzieli na ławce pod oknem i rozmawiali półgłosem, jak gdyby się bali zmącić leśną ciszę. Księżyc zaczął się wyłaniać spoza chmur i okazał całą swą bladą tarczę. Północ się zbliżała, trzeba się było rozstać, więc oficer wstał i ucałowawszy dziewczynę, wracał do koszar, odmawiając pacierze wieczorne, których nigdy nie opuszczał.

Porucznik w dzień zajęty był jako instruktor przy rzucaniu granatów ręcznych oraz jako instruktor gazowy przy formacjach marszowych **IV Armji**, a wieczory spędzał na rozmowie z Helenką, która wróciwszy z Ameryki, też miała wiele do opowiadania. Tak upływały najpiękniejsze miesiące letnie 1917 roku. Wszystko jednak musi mieć koniec, więc i ta sielanka się skończyła.

W sierpniową noc, żegnał porucznik rusałkę leśną, z którą tak niewinnie, a bardzo mile, tyle nocy spędził wśród ciszy leśnej, wśród aromatu ziół i woni żywicy. Ona zawisła na jego szyji, a on zcałowywał jej łzy, nie śmiąc ani słowa powiedzieć, widząc jak przez ten czas przywiązała się do niego i jak z trudnością przyszło jej rozstać się z nim.

Za chwilę słychać było tłumiony płacz dziewczęcia i szybkie kroki oddalającego się oficera, spieszącego do swego oddziału, wyruszającego do linji bojowej. 15 sierpnia 1917 roku wyjechałem pod Tarnopol, do okopów.

Nad Seretem

Nocą, pod **Iwaczowym** górnym wytyczałem linję obronną i rozstawiałem szeregowców i podoficerów, którzy natychmiast jak krety, wgryzali się w ziemię. Kule karabinowe bzykały niczem bąki,, ale ani dowódca, ani żołnierze nie zważali na nie przejęci wyznaczoną im pracą. Tylko reflektor nieprzyjacielski przeszkadzał im w pracy. To też od czasu do czasu rzucali się na ziemię, a wówczas szumiał nad nimi rój kul, wyrzucanych przez maszynowy karabin rosyjski. Nad ranem, okopy głębokie na 2 m. były gotowe, a pracownicy wracali do **Kokutkowic** na odpoczynek.

W okopach pod **Nosowcami** i **Horodyszczem** doczekali się żołnierze jarosławskiego pułku świąt Bożego Narodzenia. Smutne to były święta. Zmarznięte ziemniaki, chleb z trocin, czarna kawa z żołędzi, oto pożywienie „obrońców ojczyzny". To też, gdy kapral **Kondracki** przyjechał z fasunkiem, nie chciałem wychodzić z szałasu i pokazywać się żołnierzom. Wobec tak krytycznego stanu wyżywienia władze rozkazały, aby rozesłać oddziały rekwizycyjne, celem zdobycia prowiantów. Na czele takiego oddziału udałem się do **Glejowa.** Jadąc tak myślałem sobie:"Djabła zjecie, już ja wam poślę prowianty".

Na miejscu przeznaczenia, zakwaterowawszy się, wysłałem trzech podwładnych sobie oficerów, aby dokonali spisu prowiantów, będących w posiadaniu ludności. Oficerowie składali raporty, a ja się tylko uśmiechałem. Miesiąc tak przesiedziałem, nic nie zarekwirowałem, a na koniec złożyłem meldunek iż na wyżywienie ludności i obsianie roli, należy przysłać kilka wagonów zboża i ziemniaków. Po takim załatwieniu sprawy, otrzymałem rozkaz powrotu do **Podwołoczysk**, skąd po zawieszeniu broni, miał pułk udać się do **Odessy.**

Gdzie się czajki „ kąpią w pianach"

Dnia 15 marca 1918 roku dwa bataljony 90.p. p. po opuszczeniu wagonów złożyły na ulicach Odessy broń w kozły. Od morza ciągnął zimny wiatr. Miasto było pogrążone we śnie, gdyż było to wczesnym rankiem. Żołnierze rozpalili ogniska, albowiem zimno bardzo dokuczało żołnierzom licho ubranym i kilkudniową podróżą zmęczonym wojownikom.

Sam wtuliwszy głowę w puszysty kołnierz ułanki, usiadłem przy ognisku na do góry dnem obróconym wiaderku i paliłem fajeczkę na krótkim cybuchu. Czasy się zmieniają - mówiłem do podoficerów:" jesteśmy w Odessie, obyśmy nie skończyli jak Napoleon, a stąd do domu daleko." Po godzinnym odpoczynku oddział mój otrzymał rozkaz odmarszu do kolonji niemieckiej Grossliebenthal. Ludność niemiecka z entuzjazmem witała oddziały okupacyjne, znosząc masowo biały chleb, kiełbasy, szynkę słoninę, wino i inne prowianty. Jednemu się tylko dziwiła, a mianowicie temu, że żołnierze nie umieli po niemiecku. Po dwu dniach, rozglądnąwszy się po okolicy dosiadłem specjalnie wyznaczonego konia kozackiego i wyruszyłem w dniu 19 marca w stepy akermańskie.

22 marca 250 żołnierzy na powozach i wozach jechało z powrotem do Odessy, gdzie spędzili kilka miesięcy, rozmieszczeni w parku lotniczym. Najprzyjemniej było w maju i czerwcu. Cała dzielnica zwana „Bolszoj-Fontan" tonęła w powodzi bzów, jaśminów i wszelkiego rodzaju zieleni i kwiecia. Żołnierze umieściwszy między konarami odwiecznej lipy obraz N.M.P. Częstochowskiej, odprawiali wieczorne nabożeństwa, śpiewali litanję „Pod twoją obronę" ta przepiękna antyfona rozlegała się po morskiem wybrzeżu. Bardzo często przyjeżdżałem konno nad brzeg morski obok „Arkadji", puszczałem ukochanego wierzchowca na paszę, a sam kąpałem się, wygrzewałem na piasku, lub usiadłszy na brzegu słuchałem szumu fal, które rozpryskiwały się u moich stóp, albo obserwowałem siadające na falach mewy; obserwowałem okręty płynące do Turcji, łowiłem ryby. W niedzielę słuchali Polacy mszy św. w polskim kościółku, a wieczorami chodzili do polskiego teatru. Brzeg morski zabudowany wspaniałymi willami, ślicznie urządzonymi, a opuszczonymi przez właścicieli, którzy uciekli przed bolszewikami. Odessa miasto o ogromnych szerokich i na kilometry długich ulicach zrobiła na mnie wielkie wrażenie. W dzień mało ludzi było na ulicach, gdyż gorąco trzymało ich w domu, za to w nocy roili się jak pszczoły w ulu. Ludność była dla nas bardzo życzliwa i chwaliła dobre wychowanie żołnierzy i oficerów. Ze smutkiem opuszczałem Odessę, udając się z końcem czerwca do jednego z ośrodków robotniczych nad **Ingulcem.**

Wymaszerowaliśmy do **Kriwoj-Rog.** Wnet przyzwyczaiłem się do nowej placówki, zwłaszcza gdy poznałem czarujące Rosjanki, Wierę, Frosię i Marusię, które mi umilały pobyt w tym mieście, a lgnęły jak muchy do miodu. Miałem zaciszne mieszkanie, byłem tam cenzorem kin i teatrów, przez dłuższy czas. Wieczory i noce spędzałem nad rzeką, lub na łodzi na rzece, gdzie gromadziła się cała elita, gdyż przy świetle reflektorów, grała orkiestra wojskowa. Zostałem oficerem wywiadowczym, badałem nastrój ludności i w tym celu często jeździłem po okolicznych dworach, gdzie doznawałem wspaniałych przyjęć. Raz rozstawnymi końmi odbyłem 80 kilometrów. Najlepiej czułem się w domu właściciela **Dobrowolskiego** w **Zastówce,** który miał miłą córeczkę. Zastanawiałem się czy ją zabrać ze sobą do kraju, w razie, gdybyśmy się cofali, na co ojciec się zgadzał i byłby dołożył na wyprawę kilka worów pełnych srebra, miał bowiem kopalnie, przynoszące mu ogromny dochód. Pewnego dnia wspaniałym powozem zajechałem do jego dworu, aby przeglądnąć znajdujący się tamże oddział żołnierzy, przydzielony do ochrony majątku przed sabotażystami. Właściciel powitawszy mnie wprowadził na ogromną werandę, gdzie huczał samowar i wyrzucał snop iskier. Usiedliśmy przy stole i napili się oczyszczonej, a następnie zabraliśmy się do wypicia sporej ilości herbaty, na sposób rosyjski to jest z talerzyków. Po śniadaniu spacerowałem w ogromnym parku, z Sonią 26 letnią córką gospodarza. Przed południem udaliśmy się łódką do pobliskiego folwarku, gdzie był rozmieszczony oddział wojskowy. Plutonowy zobaczywszy podpływającą łódź, a w niej oficera, podszedł i z brzegu meldował ilu ma szeregowców oraz donosił o najbliższych wydarzeniach w okolicy. Po objedzie, na którym zjedzono mnóstwo ryb i wychylono jeszcze większe mnóstwo oczyszczonej i wina, właściciel kilku tysięcy dziesięcin ziemi i kilku kopalń rudy żelaznej udał się ze mną do gabinetu, gdzie kurząc wonne cygara, rozprawjaliśmy o kwestjach politycznych. Przed wyjazdem tak odezwał

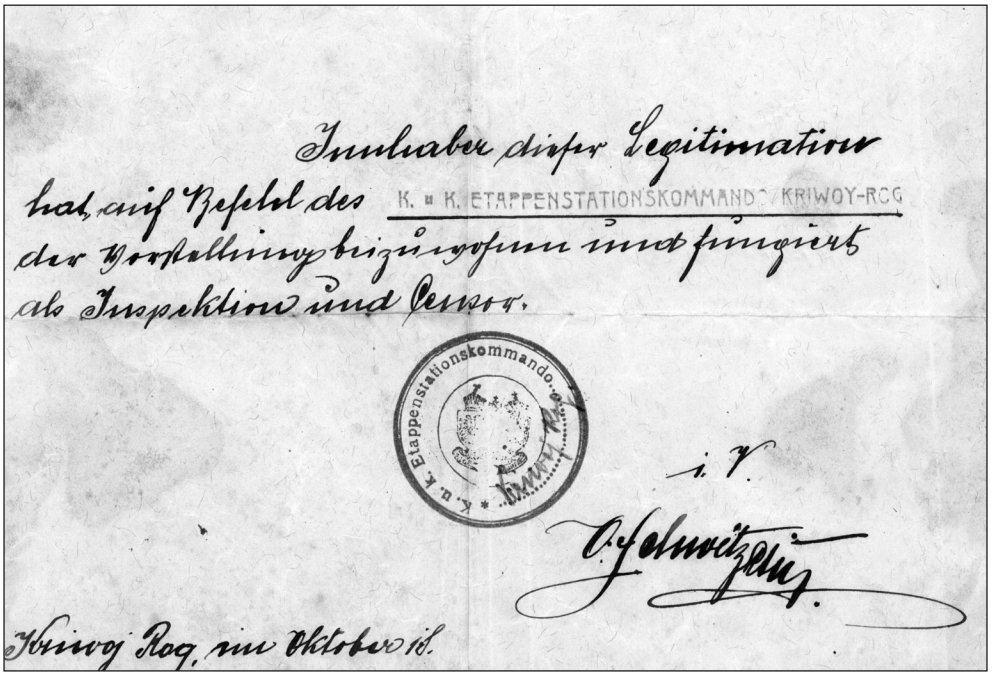

się pan dworu do mnie: „Panie poruczniku Józefie Wojtiechowyczu, weźcie Sonię za żonę, a dam złota i srebra skolko ugodno". A na to porucznik, któremu Rosjanka bardzo się podobała odrzekł ze smutkiem: „Bojarze, Piotrze Iwanowyczu. Czasy niepewne, nie wiem czy sam z życiem do ojczyzny wrócę, nie mogę Soni narażać na nędzę i tułaczkę".

„Da, da" mówił młody bojarczyn **Dobrowolski** i długo kiwał głową. Nie było czasu na uskutecznienie tego bo nagle otrzymałem rozkaz, gdy byłem z dala od dworu, aby wagonować oddział i jechać do Odessy. Z bólem serca siadłem na konia i jechałem z oddziałem na stację. Skończyły się dobre czasy, miłe księżycowe wieczory i noce, w towarzystwie upajających dziewcząt, trzeba było się gotować do wielkich, ważnych czynów, wyrzekłszy się wygód i zabić w sercu wszelkie uczucia. W Kriwoj Rogu był kościół katolicki, gdzie gromadziliśmy się w niedziele i święta, a ksiądz kapelan **Józef Borcz** z przemyskiej diecezji, otwarcie w czasie kazania mówił, że dni Austrji są policzone, a my musimy nad tem myśleć, jakby się dostać z całym taborem i pułkiem do Polski, która nas będzie potrzebować.

Alarm

Nad ranem dobijał się do okna w mojej kwaterze telefonista. Otworzyłem okno, odebrałem podany mi papier, zapaliłem świecę i czytałem: "Na rozkaz dowódcy dywizji, w dwie godziny po odebraniu depeszy, bataljon ma być załadowany na pociąg i gotowy do odjazdu".

Wstałem natychmiast i udałem się do oddziału, aby wydać odpowiednie rozkazy, a wróciwszy na kwaterę ubrałem czem prędzej ułankę, nałożyłem pas z bagnetem, rewolwer, lornetę, mapnik i torbę, w której miałem pół miljona rubli i karbowańców na wypłacenie żołdu. Podczas gdy wielkimi łykami piłem kawę ordynans przypinał mi ostrogi, a telefonista siodłał wierzchowca. W niespełna godzinę tabory jechały w stronę stacji, kompanje maszerowały ze śpiewem, a ja ruszyłem galopem na jedną z ulic i osadziłem konia przed domem, w oknie którego stała Marusia. Pożegnanie było krótkie: "Dziękuję bardzo za towarzystwo i życzę szczęścia rzekłem, uścisnąwszy podaną dłoń i nachyliwszy się z siodła pocałowałem; uderzywszy wierzchowca w bok ostrogami, popędziłem za oddziałem.

Na stacji oficerowie Polacy zebrali się razem i zastanawiali się nad tem, co też obecnie może się dziać w kraju. Gazety nie dochodziły z kraju, a rosyjskie świeciły białymi plamami, wszyscy więc byli jak tabaka w rogu, tylko jeden ksiądz kapelan, który przed tygodniem wrócił z urlopu opowiadał jawnie, że Austrja kona, że wnet się rozleci, za co też chciano go aresztować. Mowa księdza kapelana sprawiła swoje, może nawet więcej niż się spodziewał, bo od chwili załadowania na pociąg nikt już nie myślał o Austrji, lecz o tem **jakby cały transport do Polski przeprowadzić.**

Bunt

Jadąc do Odessy naradzaliśmy się z księdzem co robić dalej i postanowiliśmy w Odessie nie wysiadać, lecz ogłosić się pułkiem polskim i wracać do kraju. Pociąg w szybkim tempie zbliżał się do Odessy. „Ciekawym co dalej będzie" mówiłem do kolegi. Nareszcie zatrzymał się transport w Odessie. Wówczas dowódca transportu Niemiec, wydał rozkaz do opuszczenia wagonów. W tej samej chwili zjawili się przed nim dowódcy kompanji i oświadczyli, że rozkazu nie wypełnią, albowiem postanowili w tych wagonach dojechać do granicy rodzinnego kraju. Kapitan zbladł, zsiniał, a gdy odzyskał mowę, którą na chwilę utracił, rzekł podniesionym głosem:**"To jest bunt!** Zaraz przyjdą oddziały niemieckie aby was rozbroić i pójdziecie pod sąd polowy". Kapitan **Niklas** zagroził szubienicą i poszedł do telefonu, aby komenda miasta Odessy wysłała Niemców do rozbrojenia nas. Sytuacja była bardzo poważna. Ubrałem hełm stalowy, zatknąłem za pas granaty, wziąłem karabin do ręki i wydałem rozkaz, aby żołnierze zrobili to samo i wyjęli z wozów taborowych paczki z nabojami. Inni oficerowie zrobili tak samo i w pozycji bojowej czekaliśmy na dalsze losy.

Cała załoga pociągu była zdecydowana stoczyć walkę z Niemcami, ale ci się nie pokazali, bo już zaczęła się dzika demobilizacja. Wrócił kapitan Niklas z kilkoma Niemcami i oświadczył, że jedziemy dalej. Wówczas poszła doń delegacja podoficerów, wysłana przez nas, aby on opuścił transport i inni oficerowie Niemcy, a my będziemy wracać sami. Tak się też stało. Porucznik **Śnieżko,** nauczyciel ludowy, który z drugim pociągiem – transportem nadjechał, nie był zorjętowany w sytuacji i kazał wysiadać swym żołnierzom. Wówczas kazałem go zamknąć w wagonie i puścić pociąg w ruch. Porucznik Niklas pozostał w Odessie, a dowództwo transportu objął porucznik **Stern.** Ja zostałem jego zastępcą i od tej chwili funkcję tą pełniłem przez dwa tygodnie. Wyjechaliśmy z Odessy, ksiądz **Borcz** jechał z nami. Dziś patrząc na to z odległości kilkunastu lat, podziwiam naszą odwagę i brawurę. Przecież od kilku miesięcy nie mieliśmy gazet, byliśmy odcięci od kraju, nie wiedzieliśmy co się dzieje w świecie, a jednak **zdecydowaliśmy się na bunt, na walkę, na śmierć na szubienicy, czy od kuli.** Przez dwa tygodnie trwał powrót do ojczyzny. Ciężka to była droga. Trzeba było urzędników kolejowych dla siebie dobrze usposobić, aby przepuścili transport. Czyniłem to, dając jednym kilka flaszek rumu, innym wory mąki, innym kiełbasy i słoninę, czasem rubla, a gdy to nie pomagało, wyciągałem potężny rewolwer"Steer" i pociąg posuwał się naprzód. Często jechałem na parowozie i pilnowałem palacza i maszynisty, bo raz zdarzył się przykry przypadek, iż maszynista uciekł w pole, zostawiwszy maszynę na łaskę losu. Nieraz trzeba było rozbierać przydrożne domki na opał, aby nie zagasło ognisko na parowozie. W **Płoskirowie** dowiedzieliśmy się o abdykacji cesarza Karola. Jakiś młody osobnik przyczepił się do transportu, porozdawał żołnierzom orzełki polskie i namawiał ich, aby wymordowali oficerów, a sami poszli grabić okoliczne dwory. Wówczas **Ludwik-Karol** z Jarosławia, rzeźnika syn, student, zastrzelił go, a żołnierze prosili aby oficerowie nadal nosili odznaki oficerskie i nimi dowodzili. Madjarzy swych oficerów zamykali w wagonach i podpalali. Jeden Polak uciekł od nich do nas i tu z powodu manji prześladowczej zastrzelił się w wagonie.

Po wielu trudach, po wielu nie wyspanych nocach udało się szczęśliwie doprowadzić transport do Wołoczysk, gdzie zmęczeni żołnierze razem z oficerami musieli cały dobytek przeładować do wagonów wąskotorowych. Tu dopiero zaczęła się ciężka praca. Rosyjskie koleje były szerokotorowe, austrjacke węższe. Trzeba było wyszukać 120 wagonów i przeładować 2 baony, 2 transporty. Oficerowie i żołnierze wspólnymi siłami dokonali tej pracy. Tymczasem zjawiła się jakaś delegacja ukraińska.

Pierwszy Pułk Strzelców Ziemi Jarosławskiej.

Wspomnienie z okazji 20-lecia niepodległości Polski.

Dwadzieścia lat mija 13 listopada br. jak żołnierze Polacy byłego 90. p. p. armii austr. stacjonowanego przed wojną światową w Jarosławiu, dokonali czynu bohaterskiego, niespotykanego w historii wojen. **Oto z bronią i kompletnym ekwipunkiem bojowym przez ogromny kraj nieprzyjacielski wrócili do swej rodzinnej ziemi.**

W październiku 1918 r. 90. p. p. austr. znajdował się w Krzywym Rogu, nad Ingulcem, na Ukrainie, za wyjątkiem jednego batalionu, który był froncie włoskim. Kadra i batalion zapasowy w tym czasie był w Czechach w Icinie.

Posiadając znaczną większość polską, bo 50 procent oficerów i podoficerów Polaków, zachował ducha polskiego, mimo dowódcy cudzoziemca. Chociaż pułk był na obczyźnie i odcięty od świata nie przeszkadzało to oficerom Polakom przygotować żołnierzy do możliwej zmiany panujących stosunków.

Szczególnie patriotyzm żołnierzy rozbudzał kapelan pułkowy ks. Wincenty Boczar, obecnie proboszcz w Niżankowicach. Śmiałe jego kazania wygłaszane w kościele katolickim w Kriwoj-Rogu, wywołały wrogą austriakom manifestację, za co został aresztowany. Zdecydowany jednak sprzeciw oficerów Polaków i żołnierzy, spowodował odwołanie aresztu przez dowódcę korpusu.

Żołnierze przed kwaterami oficerów Polaków i kapelana odbywali dobrowolnie straże nocne, aby niemcy nie wywieźli ich nocą. Nawet w niedzielę, do kościoła szli z karabiuami ręcznymi i maszynowymi i amunicję nieśli w pakach, aby w czasie nabożeństwa nie zostali zaskoczeni przez niemców.

Z końcem października 1918 r. otrzymał pułk rozkaz wyjazdu z Krzywego Rogu do Odessy. W Odessie dowódca pułku dał rozkaz wysiadania. Widząc że nadszedł czas działania oficerowie Polacy oświadczyli, że wagonów nie opuszczą, lecz w tych wagonach muszą wrócić do Polski. Byłem świadkiem jak dowódca batalionu kapitan Niklas zamieniał, zdębiał jak to mówią, zbladł, zabrakło mu głosu, a po chwili gdy odzyskał możność przemówienia rzekł: „Będziecie rozstrzelani, idę przez komendę placu w Odessie wezwać niemców, aby was rozbroili“. Kapitan odszedł do telefonu na dworcu a żołnierze Polacy na rozkaz oficerów założyli hełmy na głowy, naładowali broń i obok wagonów stanęli w pozycji obronnej, czekając na atak niemiecki.

Za chwilę wrócił kapitan Niklas i rzekł: „Moi panowie, jedziemy dalej“.

Teraz oficerowie zażądali, aby kapitan Niklas opuścił transport. Opuścił więc z żalem transport i kilku oficerów niemców z nim. Czesi, oficerowie i żołnierze zostali z nami.

Dowództwo transportu objął por. Jakub Stern (sędzia zmarły nagle w Sanoku 2. II. 1838). Tymczasem nadjechał na stację w Odessie drugi transport, wiozący drugi baon. Drugi transport miał już ułatwioną sytuację, ponieważ pierwszy transport zadecydował o dalszych losach pułku.

Stało się to 27-go października 1918 r. Pułk ogłosił się polskim, nie wiedząc nic co się w świecie dzieje, ruszył dwoma pociągami, w niedalekiej od siebie odległości w stronę Podwołoczysk. Na każdej stacji kolejowej trzeba było staczać słowne walki a czasem zapłacić rublami, czasem zagrozu rowolwerem, aby puszczono transport dalej. Nic dziwnego, naczelnicy stacyj byli zdezorientowaai i nie wiedzieli co robić.

Dnia 8 listopada stanęliśmy w Podwołoczyskach. Tu żołnierze przeładowali cały ekwipunek bojowy i żywnościowy z wagonów szerotorowych na wąskotorowe.

Gdyśmy się wybierali w dalszą drogę, zjawiło się kilku panów, którzy się przedstawili jako wysłannicy państwa ukraińskiego i zażądali, aby im oddać broń.

Oświadczyliśmy im, że broni nie oddamy prędzej, aż w Jarosławiu, komu będzie należało.

Wysłannicy widząc, że nasze postanowienie jest niezłomne, oświadczyli, że ostatecznie przepuszczą nas z bronią, ale nie linią kolejową na Lwów, lecz inną, którą oni nam wskażą i wskazali linię Tarnopol, Chodorów, Stryj, Sambor, Chyrów, Jasło, Rzeszów, Jarosław. Przytym zagrozili, że gdybyśmy ich nie usłuchali, to wysadzą mosty, które już podminowali.

Umowa obustronnie w dwu egzemplarzach została podpisana. Gdybyśmy byli wiedzieli co się dzieje we Lwowie! Wtedy bylibyśmy pomaszerowali na Lwów. Niestety nikt z nas nie wiedział co się dzieje w kraj. **Tą umową chcieli oni uśpić naszą czujność, aby nas później napaść zdradziecko, rozbroić, zrabować i wymordawać.**

Chrzest Bojowy Pułku pod Chodorowem 10. XI. 1918. Poważna walka, od kiórej wyniku zależało dalsze powodzenie podróży do Jarosławia wywiązała się pod Chodorowem, w nocy z 10. na 11. listopada 1918 r., dokąd przybyły oba transporty. Przed stacją został zatrzymany pierwszy transport, którego dowódcą był por. Stern i w którym jechał kapelan ks. Boczar. W całym transporcie, u mnie tylko jako u adiutanta transportu świeciła się lampa i dlatego do drzwi mego wagonu zaczął się dobijać ubrany w mundur oficera austriackiego, porucznik ukraiński. Odsunąłem drzwi i zapytałem czego chce. „Oddajcie broń“ powiedział. Zoriętowałem się wlot w sytuacji i odrzekłem, że nie jestem komendantem, że komendant jedzie w ostatnim wagonie. Po jego odejściu zeskoczyłem z wagonu i zaalarmowałem wagony, pełne śpiących, zmęczonych żołnierzy. Tymczasem oficer ukraiński dotarł do por. Sterna i oświadczył mu, że o ile w ciągu 5 minut nie otrzyma odpowiedzi iż broń będzie oddana, transporty będą ostrzelane ogniem karabinów maszynowych ustawionych wzdłuż toru kolejowego Podczas tych pertraktacyj ze mną i z por. Sternem, żołnierze ukraińscy odczepili parowóz a oficer ukraiński wydając rozkazy po polsku, odjechał w stronę stacji uwożąc z sobą umieszczone na parowozie karabiny maszynowe i ich obsługę, która jednak nie dała się rozbroić. Gdy sędzia, por. Stern odpowiedział oficerowi ukraińskiemu, że broni nie odda ten wydał rozkaz w języku niemieckim „Maschinengewehre Feuerbereit! Schiesen“. Transport został zasypany gradem pocisków.

Stary, w bojach wojny światowej zaprawiony żołnierz nie przestraszył się podstępnego napadu. Zaroiło się na torze kolejowym od żołnierzy wyskakujących z wagonów, pole walki nasi żołnierze oświetlili rakietami, a nadto podpalony przez ukraińców nasz wagon ze słomą też potężnie oświetlał pole walki. Granatami ręcznymi nasi żołnierze zarzucili napastników i poszli do ataku z bagnetem na broni.

Walka między godzinami 12 a 1 w nocy trwała krótko. Ukraińcy uciekli, zostawiwszy na polu walki 12 karab. maszynowych i dużo broni ręcznej.

Polska obsługa karab. maszyn. na parowozie zorientowała się w sytuacji i zaczęło ostrzeliwać stację. Ukraińcy uciekli, oficer ukraiński złapany po bitwie został przez sąd polowy skazany na rozstrzelanie. Nadużył praw parlamentariusza. Od wziętych do niewoli jeńców dowiedziano się, że napad na pociąg wykonały 4 kompanie. składające się z byłych żołnierzy 77 pp. austr. Straty z naszej strony wynosiły 12 zabitych i kilkunastu rannych, Jednemu ciężko rannemu Wasylowi Jałowemu, musiano amputować nogę. Zabici żołnierze Polacy i jeden żołnierz czeskiej narodowości zostali pogrzebani z honorami wojskowymi na cmentarzu w Chodorowie, we wspólnej mogile.

Bój ten mógł zakończyć się znacznie gorzej, chociażby ze względu na noc, na nagłe zaskoczenie i na liczebną przewagę nieprzyjaciela. O wygranej zdecydowały tutaj szybkie postanowienie, samodzielność i odwaga żołnierzy i oficerów — Polaków.

Dalszą drogą odbyto bez przeszkód i rano 13 listopada pułk dotarł do Jarosławia, gdzie zastał już początek „Pierwszego pułku strzelców ziemi jarosławskiej, utworzony z batalionu zapasowego 90 p. p., który wrócił z Czech z Icina, oraz z kadry zapasowej 34. p. obrony krajowej, która była w Jarosławiu.

Dnia 26-go października 1918 r., a więc o jeden dzień wcześniej niż pułk na froncie baon zapasowy w Czechach wypowiedział posłuszeństwo swym dotychczasowym przełożonym, nazwał się oddziałem polskim i pod komendą por. Pieniążka, wrócił do Jarosławia dnia 6 listopada. Baon 90 p. p. przebywający na froncie włoskim rozpadł się i jako całość nie wrócił.

W ten sposób 90 pp. austr. przestał istnieć, a powstał oddział polski, który z początku zwał się Pierwszym pułkiem strzelców ziemi jarosławskiej, następnie, [illegible] choty. a ostatecznie najwyższe władze wojskowe ustaliły jego nazwą na 14 p. p., która to nazwa istnieje po dziś dzień.

W r. 1919 pułkowa kadra zapasowa została przeniesiona do Aleksandrowa Kujawskiego, zaś w r. 1920 do Włocławka i tam też wrócił pułk z wojny w r. 1921, po stoczeniu 180 bitew.

W r. 1921 miasto Jarosław ofiarowało pułkowi sztandar. Stała się ogromna szkoda, że ten pułk związany z ziemią jarosławską związkiem krwi, pełniący służbę z całem oddaniem się, poświęceniem i zaparciem został przeniesiony z Jarosławia.

We Włocławku, na dziedzińcu koszar 14 pp. stoi piękny obelisk, na którym wyryte są nazwy miejscowości pod którymi walczyli żołnierze z okolic Jarosławia. Gdyby ten pułk i obelisk był w Jarosławiu, byli żołnierze z okazji święta pułkowego ciągnęli by gromadnie do pułku pod obelisk, a synowie i wnuki odczytywaliby nazwy miejscowości pod którymi ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie walczyli o wolną Polskę.

Ku wiadomości i pamięci przyszłych pokoleń ziemi jarosławskiej, podaję powyższe fakty, których miałem szczęście być nie tylko obserwatorem, lecz współdziałającym.

[illegible] J. S. 30/X 1938.

Skład Papieru, Przyborów piśmiennych, druków dla gmin, szkół i wojsk, galanterję, perfumerję, kosmetykę pod firmą

IGNACY SOSZYŃSKI

Jarosław, ul. Dra Dietziusa № 6

poleca się P. T. Publiczności.

Haniebna zdrada

Delegacja ruska, która przybyła ze Lwowa, układała się z dowódcą transportu „w sprawie przejazdu przez wschodnią Małopolskę". Rusini żądali złożenia broni. Na to oficerowie i żołnierze oświadczyli, że jak z bronią wyruszyli na pole walki, tak też z bronią wrócą do Jarosławia, gdzie był pułk w 1914 roku stacjonowany; komu przypadnie wówczas broń to zdecydują odpowiednie czynniki; gdyby zaś Rusinom to wydało się krzywdą, komendant zaproponował walkę orężną.

Nareszcie stanął układ. Polacy mieli być przepuszczenie przez wschodnią Małopolskę, lecz linją kolejową przez Rusinów wskazaną, inaczej zagrozili wysadzeniem mostów. Podpisano umowę i transport ruszył trasą na Tarnopol – Sambor – Chyrów – Jasło – Rzeszów - Jarosław. Myśmy nic w tym czasie nie wiedzieli, że z Ukraińcami walczą dzieci i kobiety.

Rusini nie dotrzymali układu i nocą zdradziecko napadli na śpiących żołnierzy, chcąc ich rozbroić i ograbić, zasypując ich gradem kul z karabinów maszynowych i ręcznych, oraz granatami. Czuwałem przez cały czas podróży i gdy tylko spostrzegłem niebezpieczeństwo, natychmiast wyskoczyłem z wagonu i budziłem śpiących. Walka zacięta trwała do godziny 12 - 1 w nocy. Hołota ruska obsadziła wozy transportowe jako najsłabiej bronione i podpaliła wóz bagażowy obok maszyny. Ukraińcy zatrzymali pociąg w miejscu dla nas fatalnym. Z jednej strony wał obsadzony przez kompanję ukraińców, z drugiej ogromne jezioro. Ponieważ w moim wagonie świeciła się lampa, porucznik-żyd, podszedł pod mój wagon i zażądał, aby transport oddał broń. Powiedziałem mu. Że dowódca może o tym zdecydować, a on jest na końcu transportu. Gdy się oddalił, wyskoczyłem z wagonu i zaalarmowałem śpiących. Rozległy się strzały wroga gdy dowódca odmówił oddania broni. Ciemno, północ, brak orjentacji, bitwa w całej pełni. Ukraińcy podpalili wagon taborowy ze słomą i sianem. Gdy ogień rozświetlił pole walki, Polacy przypuścili atak i odparli bandytów. Rankiem obliczono straty. Dwunastu zabitych i osiemnastu rannych było w bataljonie. Za bandytami urządzono pościg i ukarano ich przykładnie. Dowódca transportu **Stern Jakób**, sędzia(zmarł w Sanoku 2 lutego 1938 roku) wydawał wyroki śmierci. Zabitych Polaków pogrzebano na cmentarzu pod **Chodorowem.** Naszych żołnierzy zginęło 12, a szeregowy **Jałowy Józef** z Lubaczowskiego stracił nogę. Gdyśmy się załadowali do wagonów, zobaczyliśmy ścigającą nas pancerkę ukraińską, lecz została unieszkodliwiona – puściliśmy na nią dziki transport.

Następnie bez przeszkód, przez Stryj, Drohobycz, Chyrów, Jasło, wrócili żołnierze do miasta, skąd w roku 1914 pierwsze zastępy wyruszyły do boju. W Jarosławiu była już zorganizowana mała kadra wojska polskiego z dwu austrjackich pułków, które tam były stacjonowane. **Przywieźliśmy ponad 120 wagonów, 6 parowozów, 150 koni. 40 karabinów maszynowych, polowe armatki, dużo mąki i pszenicy- wszystko to przeszło na własność polskich oddziałów w Jarosławiu. (**Nasza historia pod Chodorowem, Kriwoj Rogu i Odessie, opisana została w Zarysie Historji Wojennej 14 Pułku Piechoty. Historyczne Biuro Wojskowe. Warszawa 1929).

Po 18 dniowych trudach dosiadłem jeszcze wierzchowca i dojechałem do domu, lecz gorączka ponad 40 stopni, która mnie kilka dni trawiła, powaliła mnie na łoże, z którego dźwignąłem się dopiero po kilku dniach. Z początku gdy gorączka ustąpiła, nie chciałem wierzyć, że jestem w Polsce, że jestem w domu rodzinnym, a gdy sobie przypomniałem ową straszną noc pod Chodorowem, bitwę w ciemnościach, strzaskany od kul i granatów wagon, w którym jechałem, zabitego ordynansa, podłogę zlaną krwią,

* Dowódcą innego plutonu był późniejszy generał brygady Antoni Chruściel, urodzony 16 czerwca 1895 r. we wsi Gniewczyca Łańcucka. W 1914 roku ukończył gimnazjum w Jarosławiu, a następnie przeszedł, tak jak Józef Słaby, szlak bojowy 1915 - 1920.

Karta ewidencyjna

ARCHIWUM DIECEZ...
Pl. Katedralny 4 A, tel. 2...
37-700 PRZEMYŚL

1.	Imię i nazwisko		Józef Słaby
2.	Szarża i data szarży		podporucznik 1 styczeń 1917
3.	Z jakiej armii pochodzi i stopień przydział w tej armii		armia austr. 90 p.p. oficer zwiadowczy
4.	Urodzony	rok	1896
		miejsce	Tuczempy
		powiat	Jarosław
		kraj	Polska
5.	Przynależny	gmina	Tuczempy
		powiat	Jarosław
		kraj	Polska
6.	Religia		Rzym.-kat.
7.	Narodowość		polska
8.	Stan (żonatych i wdowców ilość dzieci)		wolny
9.	Ukończone studya cywilne *)		wyższe państwowe gimnazjum
10.	Ukończone studya wojskowe		VI. Kurs szkoły oficerskiej w Barinie
11.	Władanie językiem polskim	w mowie	tak
		w piśmie	tak
12.	Znajomość obcych języków w mowie i piśmie		niem. ruski (ukr.)
13.	Specyalne wykształcenie wojskowe		służba wywiadowcza – [illegible] służba gospodarcza.
14.	Był 1/XI 1918 oficerem	aktywnym	x
		zapasowym	zapasowym
		na czas wojny aktywowanym	x
		w stanie spoczynku	x
15.	Zawód cywilny		
16.	Stan zdrowotności i fizyczny		dobry
17.	Czy i kiedy poddany superarbitracyi		Niepoddany
18.	Do jakiej służby zdolny		front.
19.	O jaki przydział prosi **)		x

*) Szkół niższych wymieniać nie potrzeba, jeśli są warunkiem wstąpienia do szkół wyższych.

**) Wypełniać tylko przez oficerów należących do szarży oficerskiej, a niemających jeszcze przydziału.

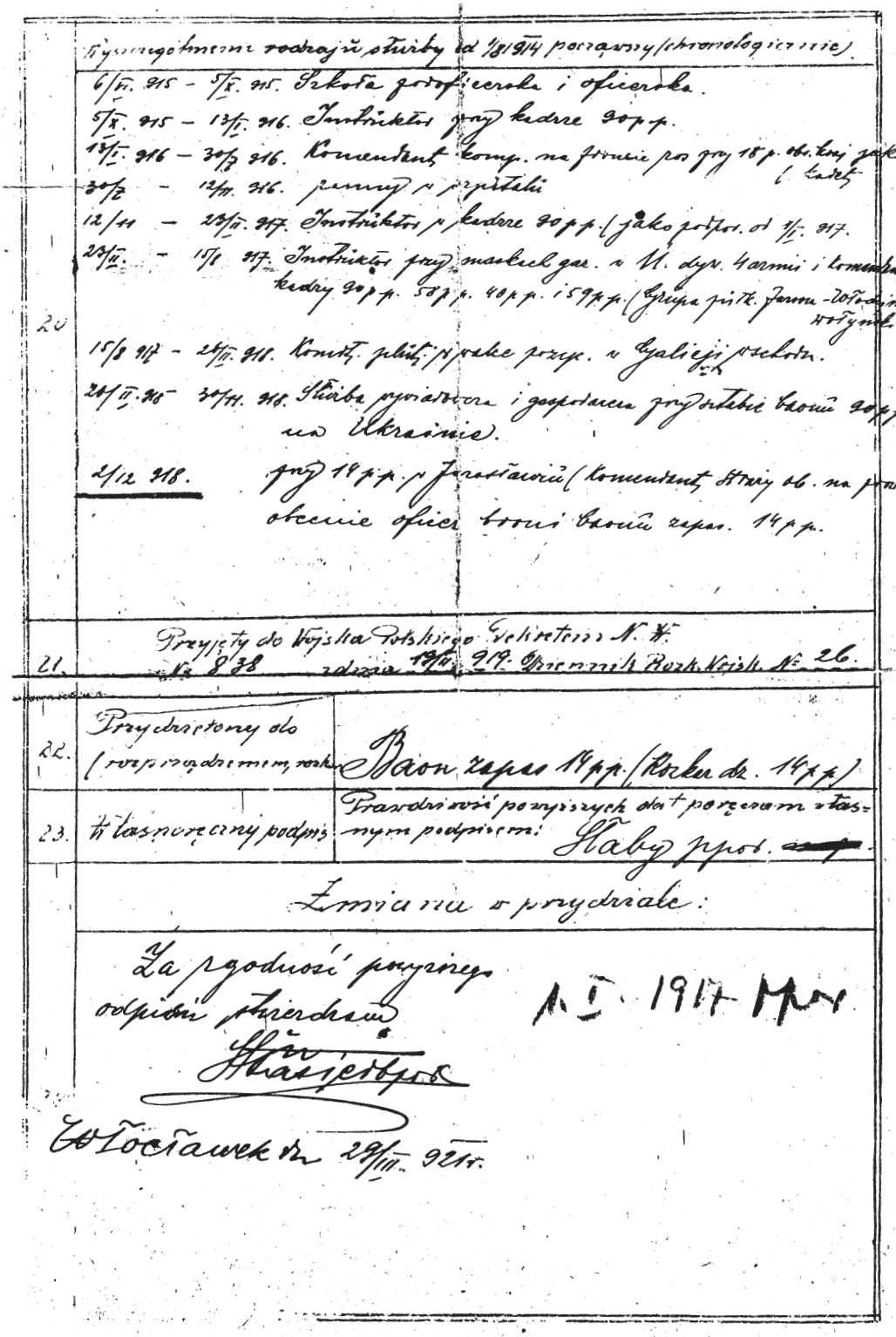

Karta ewidencyjna ze zbiorów Archiwum Diecezjalnego w Przemyślu. Ks. dr H. Barcz

dziękowałem Bogu, że nie wziąłem ze sobą **Soni**, bo na pewno byłbym ją zostawił na cmentarzu razem z żołnierzami, których opłakałem.

Tak zakończyłem pierwszą wojnę światową.

Komendant Straży Obywatelskiej

Nie odpocząłem jeszcze, gdy pewnego dnia przyszedł do mnie wójt **Jan Kmieć** i oznajmił, że wymordowano rodzinę **Benziora Charytana,** że na czele bandy złożonej z opryszków tuczempskich stoi **Piotr Mrozowicz** i zamierza obrabowywać najbogatszych gospodarzy. Wstałem tedy, było to 2 grudnia 1918 roku i pojechałem do Jarosławia, gdzie zgłosiłem się do pułku i **zostałem mianowany komendantem Straży Obywatelskiej w Tuczempach.** Na wyposażenie posterunku przywiozłem 50 karabinów meksykańskich z nabojami; zorganizowałem straż z przybyłych z wojny żołnierzy, ludzi starszych, wyznaczyłem dom na wartownię, ogłosiłem stan oblężenia i wysyłałem ciągle patrole po wsi. Kto by na zawołanie nie stanął w nocy, kazałem do niego strzelać. Tem bardziej trzeba było być czujnym, bo za Sanem w **Surochowie** zorganizowała się banda Ukraińców i miała zamiar atakować Jarosław. Przez kilka dni wszystko szło w porządku. Codziennie wyznaczałem wartę. Rozkazy spełniano.

W czasie wojny światowej z Tuczemp najwyższą rangę pozyskał Kazimierz Trelka z Górki. Był zastępcą oficera. **Andrzej Pankiewicz** był wachmistrzem ułanów. **Walczak** zaś sierżantem. Rangę oficera miałem ja jeden. **Kogut Józef** był chorążym. Młodzi dzielnie się spisywali na wojnie. Wielu służyło pod mem dowództwem, **Władysław Maksym**, sąsiad, był mym ordynansem. Rabownicy – mordercy, zostali uwięzieni i dwóch zmarło, zaś herszt uciekł. Aby się pozbyć wyrzutów sumienia **Mrozowicz** stał się baptystą, potem Marjawitą, lecz sumienie dalej go dręczyło. Sam się oddał w ręce sądu. Zwarjował. Jako obłąkany zmarł nędznie w Tuczempach.

Po kilku dniach kilku opryszków zaczęło się buntować przeciwko mnie. Zwołałem tedy całą wieś do szkoły i w obecności rady gminnej, nauczyciela porucznika **Maciałka** i proboszcza **Zycha,** ubrany w ułankę z epoletami na ramionach, szablą i rewolwerem przy boku, zapytałem jakie zarzuty mają przeciw Straży. „Warty to my chcemy, ale pana porucznika nie chcemy, bo pan bierze za to pieniądze, a my za darmo to robimy". „Jak nie będę ja, to będzie kto inny, bo broń nie może zostać bez komendanta", odpowiedziałem. „To niech będzie inny" ktoś z tłumu powiedział. Teraz poznałem, że zazdrość przemawia, że nikt nie jest prorokiem w swej miejscowości. Więc w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ogłosiłem, że rozwiązuję Straż Obywatelską, a karabiny mają być do godziny 12 dnia następnego złożone w wartowni. Gdyby tego nie zrobiono, nakładałem na wieś kontrybucję i pierwszą krowę biorę memu ojcu. Zdębieli. Karabiny na czas oddali. Brat Janek odwiózł mnie, karabiny i amunicję do Jarosławia.

Zamieszkałem w koszarach, objąłem dowództwo kompanji, do której wnet z poboru dostali się Tuczempianie. Ładnie się mieli u mnie. Udawałem, że żadnego nie znam. Nikt nie dostawał przepustki do domu. Jeden**, Ledwos Ludwik** poszedł bez przepustki. Za to dostał 7 dni aresztu ścisłego o chlebie i wodzie. Teraz zobaczyli, że chociaż cesarza nie ma, dyscyplina w wojsku nie zginęła i spokornieli. W Jarosławiu pozostałem jako dowódca kompanji i oficer broni do września 1919 roku. Miałem dwa mieszkania; jedno w koszarach, drugie w hotelu „Wiktorja" naprzeciw „Sokoła". Ordynansem był sąsiad **Władysław Maksym,** który czasem lubiał zanadto pospać, za co otrzymywał surowe cięgi. Jednak bardzo był do mnie przywiązany, bo gdy go chciałem zostawić w Jarosławiu, prosił mnie abym go wziął na front ze sobą. Za to go polubiłem. W tym czasie wykonywałem różne zadania.

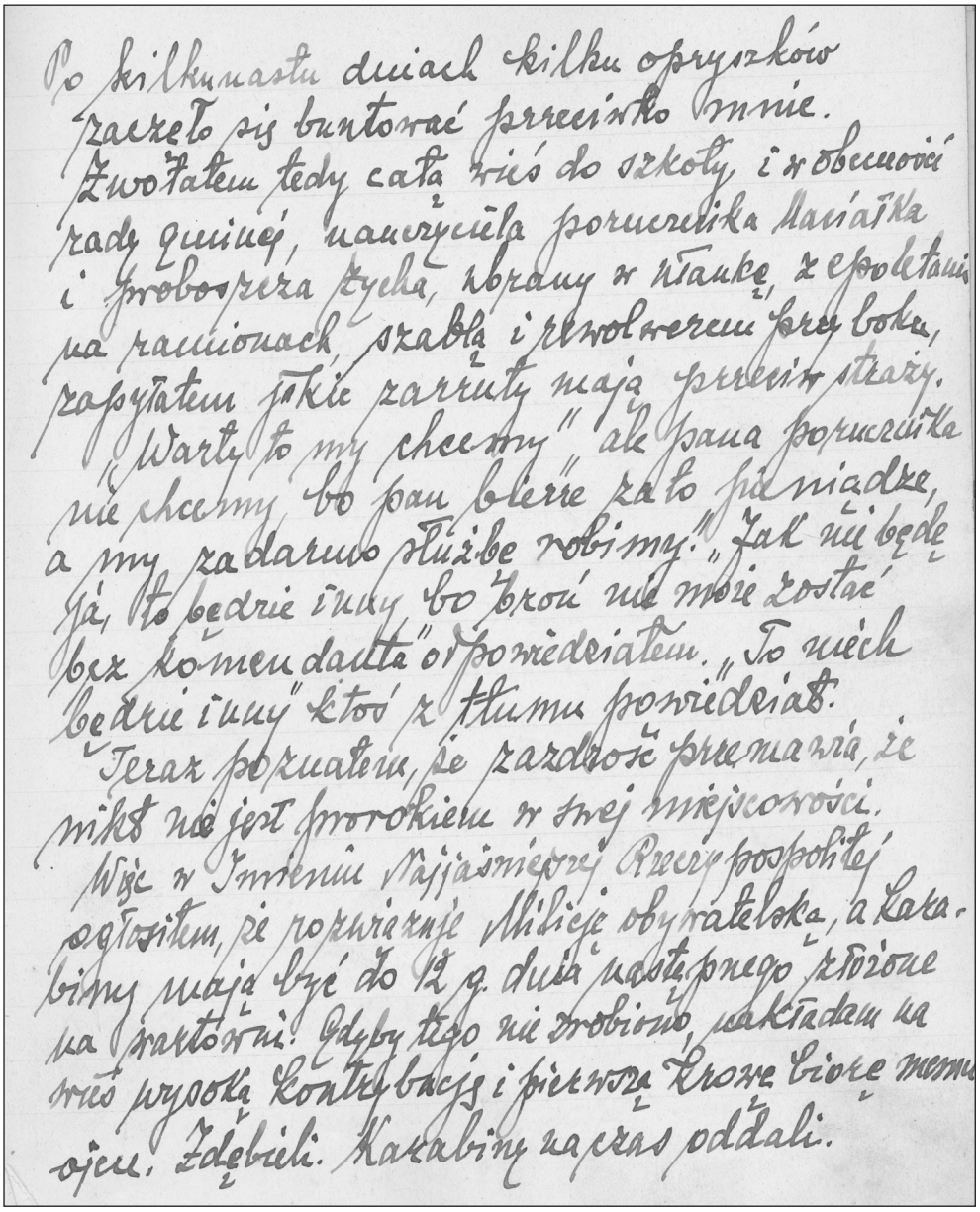

Po kilkunastu dniach kilku opryszków
zaczęło się buntować przeciwko mnie.
Zwołałem tedy całą wieś do szkoły, i w obecności
rady gminnej, nauczyciela porucznika Maciałka
i proboszcza Zycha, ubrany w ułankę, z epoletami
na ramionach, szablą i rewolwerem przy boku,
zapytałem jakie zarzuty mają przeciw straży.
„Warty to my chcemy" ale pana porucznika
nie chcemy, bo pan bierze za to pieniądze,
a my za darmo służbę robimy." „Jak nie będę
ja, to będzie inny, bo broń nie może zostać
bez komendanta" odpowiedziałem. „To niech
będzie inny" ktoś z tłumu powiedział.
Teraz poznałem, że zazdrość przemawia, że
nikt nie jest prorokiem w swej miejscowości.
Więc w Imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej
ogłosiłem, że rozwiązuję Milicję obywatelską, a Kara-
biny mają być do 12 g. dnia następnego złożone
na wartowni. Gdyby tego nie zrobiono, nakładam na
wieś wysoką kontrybucję i pierwszą krowę biorę memu
ojcu. Zdębieli. Karabiny na czas oddali.

Spełnione marzenia

W nędznej szopie kolejowej, zbudowanej na lewym brzegu Sanu, siedział na kłodzie drzewa **porucznik Wojsk Polskich** i grzał się przy ognisku. Posterunki czuwały aby nieprzyjaciel nie wysadził mostu, zaś karabin maszynowy od czasu do czasu wyrzucał kilkanaście kul w przyległe zarośla. Oficer w ciągu nocy kilkanaście razy kontrolował straże, przechadzał się po moście, wytężając wzrok, czy nie zobaczy czegoś podejrzanego. Kiedy świtać zaczęło i w pomroku ujrzał kontury wieży na kościółku w swej rodzinnej wiosce, zdjął czapkę, wyjął różaniec, który był jego nieodstępnym towarzyszem w czasie wojny i zaczął się modlić. A gdy skończył modlitwę i ofiarował ją za tych, którzy zginęli na wojnie, cofnął się myślą o kilkanaście lat wstecz, kiedy to, jako mały chłopiec, marzył o tem **aby widzieć kiedy polskiego żołnierza i wolną Polskę**, ścisnęło go coś za gardło i łzy mu z ócz popłynęły, bo nie tylko oglądał żołnierza w polskim

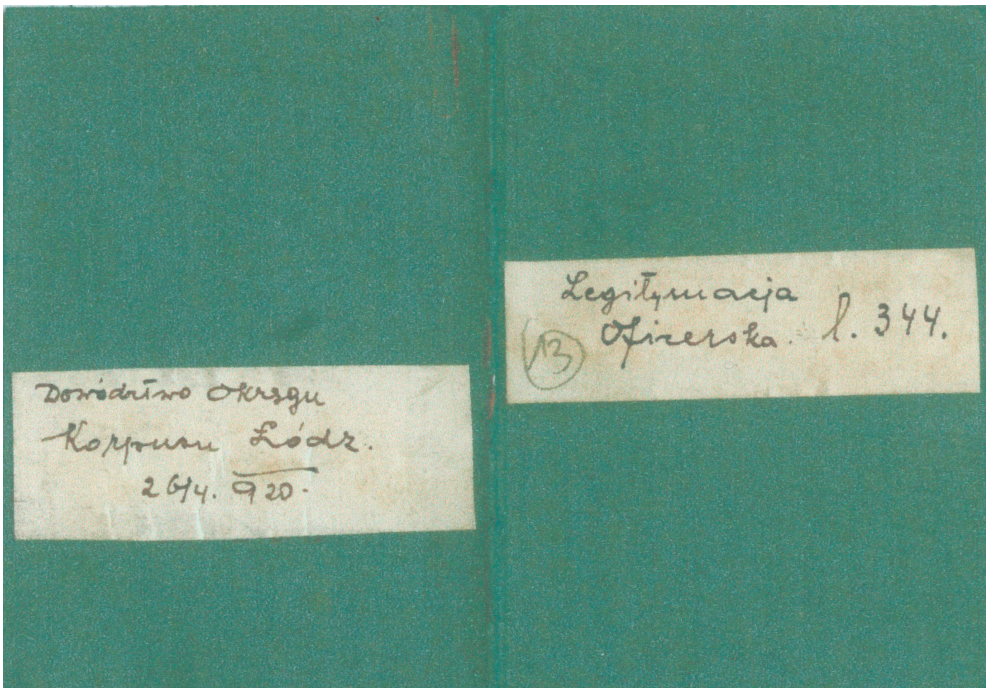

mundurze, lecz także sam w armji polskiej miał stopień porucznika. Jakże czuł się szczęśliwy, jakie uczucia wdzięczności względem Boga budziły się w jego sercu.

Rozważania te przerwał mu kapral, meldując iż przyniósł jajecznicę i prosi, „aby pan porucznik zechciał skosztować", to mówiąc podawał pół menażki tego specjału. „Pewniście urwipołcie to gdzieś kupili" mówił porucznik robiąc przy tym wymowny złodziejski gest ręką, a może nawet u mego ojca bo dom tu nie bardzo daleko, ale czort z wami, dobrzy chłopcy jesteście, dawać tą jajecznicę.

Ze zbiorów Muzeum Kamienica Orsettich w Jarosławiu.

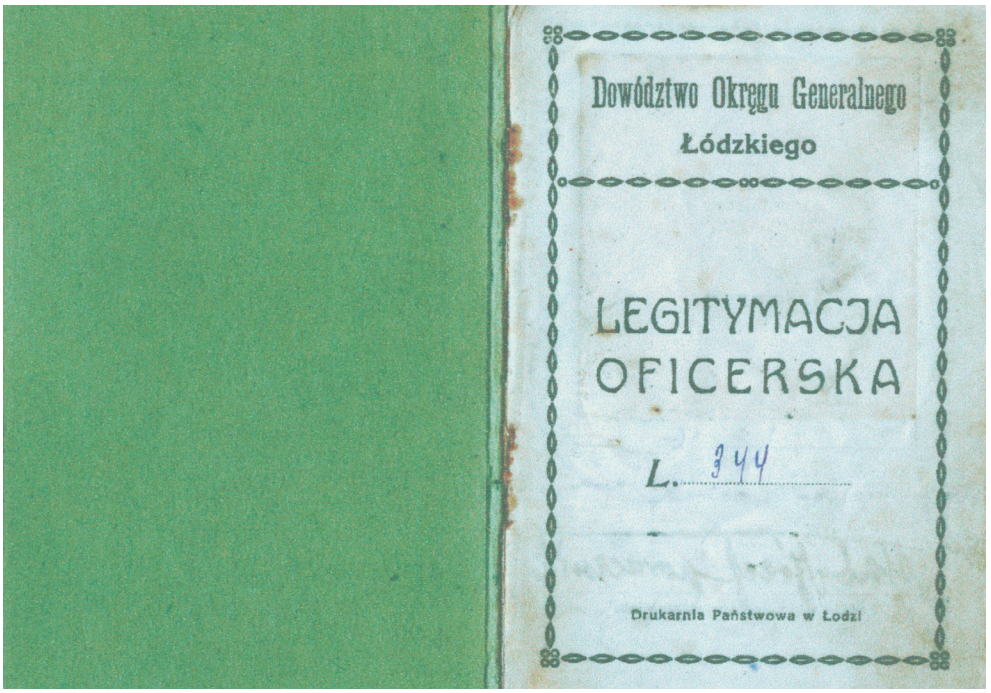

Raz u księdza kapucyna

W śliczny poranek wiosenny, 1919 r. oddział piechoty maszerował z ćwiczeń. „Odtrąbiono" powiedział dowódca i zwiesiwszy głowę, szedł wolnym krokiem. "Jakoś porucznik nasz smutny mówili żołnierze, trzebaby coś zaśpiewać, to się rozweseli, bo ogromnie lubi piosenki żołnierskie. Za chwilę w pierwszych szeregach zaśpiewano: **"Raz u księdza kapucyna - spowiadała się dziewczyna".** Za pierwszymi szeregami zaczęły śpiewać następne i tak z piersi dwustu żołnierzy wyrywał się potężny śpiew. Lekarstwo było dobre. Porucznik podniósł głowę, zapalił papierosa, podał papierośnicę idącym obok podoficerom i uśmiechał się.

Nagle pieśń się urwała i cisza zapanowała w szeregach. „A to co się stało" - zdziwił się porucznik. „Panie poruczniku, melduję posłusznie, przestaliśmy śpiewać, bo idzie ksiądz z klasztoru". "Bardzo mnie to cieszy, że moi żołnierzy szanują księży. Tak winien czynić każdy żołnierz polski. Widzę, że moja nauka nie poszła w las"mówił zadowolony porucznik i podnosząc rękę do czapki kłaniał się kapłanowi. A gdy zakonnik znikł w bramie szpitala, rozległa się znowu pieśń:**"Chodziłem po polu i zbierałem kłosy i zbierałem kłosy. Takie dziewczę kocham, takie dziewczę kocham, co ma jasne włosy"**. A kiedy kończyli ostatnią zwrotkę:**"Bo polska dziewczyna, ma ten urok w sobie. Kto ją raz pokocha – nie zapomni w grobie",** już czoło kompanji wchodziło na plac ćwiczeń a jeszcze słychać było pieśń:"**Raz u księdza kapucyna, spowiadała się dziewczyna. Wyznawała swoje grzechy, ksiądz się trzymał za** ….. **Proszę księdza ja nie kłamię, wyjadałam cukier mamie. Spowiadała swe uczynki, ksiądz kapucyn łykał ślinki." „Drogi ojcze kapucynie, całowałam się z chłopczyną. Moje dziewczę ty wywłoko, całowałaś chłopca w oko".**

We wrześniu zawołał mnie pułkownik Buntner, dowódca i oświadczył, że nie ma innego oficera, który by doprowadził na front bataljon marszowy **składający się z elementów awanturniczych i takich, których dopiero wypuszczono z więzienia**; do tego ja się tylko nadaję, ja potrafię utrzymać dyscyplinę, bo mnie lubią i boją się. A więc, zostałem przeznaczony na dalszą tułaczkę.

Dowódca bataljonu

„**Panie poruczniku! Przeznaczam pana na dowódcę bataljonu marszowego i jutro, o godzinie 8. rano, odjedzie pan na front" mówił stary podpułkownik. „Rozkaz panie pułkowniku". Odrzekłem wyprężony jak struna i wyszedłem z koszar. Udałem się natychmiast do klasztoru, gdzie poprosiłem o spowiedź, następnie pożegnałem rodziców, a wydawszy ordynansowi odpowiednie rozkazy udałem się na odpoczynek.**

Na drugi dzień o godzinie czwartej rano ordynans Władek Maksym, dobijał się do bramy hotelu „Victoria", gdzie mieszkałem. Zabrawszy plecaki, obaj ruszyliśmy do koszar, gdzie panował ruch nie do opisania. Sierżanci sprawdzali czy wszyscy są obecni, dowódcy kompanji sprawdzali każdego żołnierza z osobna, czy jest należycie ubrany i uzbrojony, a gdy wszystko uporządkowano odebrałem raport i oddział zapasowy ruszył przy dźwiękach orkiestry na stację. Szkoda, że nie widział tego profesor, który przed kilku laty przemawiał do obecnie porucznika, a ongiś ucznia III. Kl. gimnazjum; **"a cepy, a widły tobie bałwanie".** O godzinie ósmej pociąg ruszył. Jeszcze na stacji w Jarosławiu przemówiłem do żołnierzy serdecznie. Obiecali zachować porządek. Przez Muninę, Rawę, Włodzimierz pojechałem do Łucka, gdzie był pułk.

Tam spotkałem brata Janka, który służył od roku 1916 do 1918 w austrjackiej armji i był na włoskim froncie gdzie się malarji nabawił, a od 1919 był w jarosławskim pułku i walczył o Lwów i Przemyśl.

Wyprawa wojenna

I znowu byłem na froncie, ale już nie w Muninie na moście na Sanie jak w styczniu 1919, lecz dalej. Po kilkudniowym pobycie w Łucku, jako komendant 3-ciej polowej kompanji i dowódca półbataljonu, ruszyłem na wschód od **Glewska**, aby obsadzić wieś **Jurowo.** Wieś obwarowałem, na kwaterę dowództwa wyznaczyłem najlepszy dom żydowski. Trzeba było mieć się na baczności, bo na lewo i prawo od siebie na 30 kilometrów nie było żadnych oddziałów. W nocy spałem w ubraniu, zawsze gotów do walki. Raz wyruszyłem w stronę Korostania na bolszewików.

Po przeprawieniu się po moście naprędce zbudowanym, posuwał się lasami **Wołynia** z **Pergi** nad **Uborcią,** w stronę **Korostania,** marszem ubezpieczonym bataljon wojsk polskich. Straż przednią prowadził dowódca 3 kompanji, młody porucznik. Co chwila wstrzymywał konia, przykładał lornetkę do ócz, badał teren, a kompanja patrzyła i obserwowała ruchy dowódcy. Las się skończył. W oddali we mgle słabo rysowały się kontury wioski **Czerwonki.** Porucznik zsiadł z konia, dał znak do rozproszenia się w tyraljerkę i ruszył w stronę wioski, w której spodziewał się zastać bolszewików. I nie omylił się, bo gdy zbliżyli się do wioski zasypał ich maszynowy karabin gradem kul. Tyraljerka padła na ziemię. Porucznik zerwał się pierwszy i zawołał potężnym głosem: "Do ataku! Naprzód. Hurra". Skoczyli żołnierze i za chwilę mieli karabin maszynowy w swych rękach. Bolszewicy uciekli do następnej wioski, z której też wypłoszeni, pochowali się w las.

Po latach: W mej liście kwalifikacyjnej z lipca 1920 roku czytałem o sobie opinię tajną napisaną przez podpułkownika **Buntnera Aloizego : „Prawy charakter. Ukochany przez żołnierzy. Sprawnie dowodzi, dobrze się orjentuje. S p r a w i e d l i w y."** Ostatnie zdanie, z jednego słowa się składające bardzo mnie zawstydziło, bo sprawiedliwym jest tylko Bóg. Stary oficer, dowódca bataljonu zapasowego, bardzo dobry, praktykujący katolik, widział coś w mym zachowaniu się, czego nie było u innych oficerów, a co ja uważałem za normalne zachowanie się, nie zasługujące ani na naganę, ani na wyróżnienie.

Zarządzono odpoczynek, w czasie którego żołnierze zajadali wzięte „do niewoli", przez bolszewików upieczone gęsi, kilka beczek mięsa z dzików i jeden karabin maszynowy.

Po powrocie z wyprawy, dłuższy czas spędziłem w Perdze, którą jako dowódca polowy bataljonu kazałem otoczyć okopami i zasiekami, wedle planów osobiście sporządzonych. Ciężka to była placówka, bo nie było stałego frontu, lecz prowadziło się walkę podjazdową i ze wszystkich stron można się było spodziewać ataku nieprzyjaciół, a co najgorsze to wszystkim dokuczał głód i ubrania były bardzo liche a służba ciężka. Widząc żołnierza głodnego i obdartego, ciężko wzdychałem w ukryciu i nie raz łza mi się kręciła w oku.

W objęciach śmierci

Po dwu miesiącach walk zachorowałem na tyfus i wieziono mnie do szpitala w **Kowelu.** Od 10. godzin ciągnęły zbiedzone koniki, piaszczystą drogą leśną wysłany sianem wóz, nakryty namiotem. Leżałem na sianie pod namiotem. Zachorowałem na tyfus z brudu i głodu. Nareszcie po przebyciu około 50. kilometrów drogi złożono mnie w wagonie na brudnym worku słomy. Po kilku godzinach pociąg ruszył i leniwie posuwał się po szynach. W wagonie, w którym leżałem, było na barłogach wielu chorych. Brudni, obdarci, głodni, spragnieni, wzywali raz po raz pomocy sanitarjusza ale nikt się nie zjawiał. Na nieszczęście, chociaż było to w listopadzie, spadł ogromny śnieg, że pociąg stanął na przestrzeni na przeciąg kilku godzin. Zimno było w wagonach. Chorzy jęczeli i narzekali na brak opieki. Skłoniłem głowę na bok a po twarzy spływały mi łzy. Zapomniałem iż sam głodny, spragniony, zziębnięty, leżę na wstrętnym barłogu, a żal mi się zrobiło tych młodych chłopców palonych gorączką, którym nie miał kto kropli wody podać. Oni przecież pod mym dowództwem bronili granic Najjaśniejszej Rzeczypospolitej: kilka dni temu szli o głodzie do ataku i pobili nieprzyjaciela, prawie nadzy, przedwczoraj jeszcze stali na straży w lesie, a teraz złożeni ciężką niemocą, bo tyfusem, byli pozbawieni wszelakiej opieki.

Pociąg zatrzymał się w Kowalu. Chorych złożono w zaimprowizowanym szpitalu, w sali, w której leżało już kilku bolszewików. Też ładne staranie o oficera polskiego! Podczas gdy kilku młodych żołnierzyków poszło do Boga po zapłatę za wierną służbę, organizm mój zmagał się z chorobą, zwyciężył ją. Po czterech tygodniach wyjechałem ze szpitala, niby zdrów, wstąpiłem po drodze do domu, a po dwu dniach wyjechałem do **Aleksandrowa Kujawskiego** bo tam się przeniosła kadra zapasowa z Jarosławia. Wracałem, ale już sam bez ordynansa nawet, do macierzystego oddziału, gdzie odpocząwszy objął dowództwo kompanji.

Przyjęcie w Ojczyźnie

Podczas kiedy zmagałem się z bolszewikami, kadra zapasowa pułku przeniosła się do innego, o setki kilometrów oddalonego miasta. Tam to podążałem, aby się zgłosić u dowódcy. Kwatermistrz wyznaczył mi mieszkanie, u pewnej wdowy, mającej przekwitłą już córkę na wydaniu. Wedle relacji kwatermistrza, miała być gospodyni bardzo zadowolona, iż „pan porucznik" będzie u niej mieszkał. W polowym mundurze, zniszczonym przy odwszeniu, opierając się na lasce, stanąłem przed właścicielką mieszkania. Skoro baba zobaczyła takiego pierwszej klasy kawalera, zdechlaka, któremu było bliżej grobu niż życia, prysły nadzieje na zamążpójście córki i oświadczyła, że mieszkania nie odda. Ponieważ nie z jednego pieca chleb jadłem, od razu zrozumiałem o co chodzi i rzekłem: „dla Niemców było niedawno mieszkanie, a dla mnie nie ma, zobaczymy". Wyjąłem gwizdawkę i kilkakrotnie ostro gwizdnąłem. Na ten sygnał zlecieli się żołnierze i którym poleciłem wywalić drzwi. Stara jędza widząc na co się zanosi,

oddała klucze do salonu. A że żołnierz, który miljon razy śmierci patrzył w oczy, nigdy urazy nie chowa, puściłem w niepamięć zachowanie nieludzkie wiedźmy, a co więcej codziennie zamawiałem u niej kilka herbat, za które płaciłem drożej, niż w pierwszorzędnej knajpie. Poleżałem u niej 2 tygodnie. Widać źle wyglądałem, bo gdy wszedłem do kasyna, zagrano mi marsza pogrzebowego.

Odpocząwszy pojechałem na urlop do Tuczemp. Urlop nie był wesoły, bo ojciec nie był zadowolony z mej służby wojskowej i w samą wigilję Bożego Narodzenia brat zaprzągł siłą konie i kazałem odwieźć się do Jarosławia. Tam zamieszkałem w hotelu.

Oprócz nieprzyjemnych, są w życiu i bardzo przyjemne zdarzenia. Takim przykładem zdarzeń był fakt, iż na drugi dzień spotkałem się w tym obcym miasteczku ze swą koleżanką z dawnych lat. Ostatni raz widziałem ją przed wybuchem światowej wojny. Potem słuch o niej zaginął; nieraz pytałem co się z nią stało, a oto teraz spotkaliśmy się znowu. Była też na kwaterze tak jak i ja, mając tymczasowe zajęcie w jednym z biur wojennych. Radość z tego spotkania była tym większa, że obopólna. Odtąd każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, przez blisko rok. Zawsze na ulicy, w kawiarni, teatrze, na zabawie byliśmy razem, tak, że niejedni uważali nas za bardzo dobre małżeństwo. To też często zdarzały się wypadki, że w czasie zabawy przystępowali do nas różni cywile, których uroda dwudziestoletniej dziewczyny pociągała i robiąc grzeczną minę mówili – panie poruczniku – proszę żonę do tańca. Porucznik uśmiechał się, kiwał przyzwalająco głową, dancerz zaś całował **Ilonkę** w rękę i szedł w tany. Ja nie lubiłem tańców. Na zabawy chodziłem tylko dla niej, bo mnie o to bardzo prosiła. W czasie zabawy siedziałem sam, wypijałem kilka herbat i kilka cygar puszczałem z dymem. Ilonka była mi wdzięczną za opiekę wśród obcych. Dzisiaj jest radczynią.

Taki los wypadł nam – że dzisiaj tu – a jutro tam

Kadra bataljonu zmieniła miejsce pobytu. Przeniesiono ją do pięknego miasta Włocławek, gdzie objąłem dowództwo 1. kompanji zapasowej. Wyjechałem, aby objąć w posiadanie koszary i wyszukać mieszkania dla oficerów. Najgorzej było z pomieszczeniem maszynistek pracujących w wojsku. Żadna z pań domu nie chciała słyszeć o odstąpieniu mieszkania na kwaterę dla „panny" zajętej w wojsku. Widać było, że wchodzi tu strach o „cnotę"męża. Natomiast oficerom chętnie dawano mieszkania. Ostatecznie wszyscy otrzymali mieszkania. Zaczęło się natomiast życie koszarowe. Pobudka, raport, ćwiczenia, obiad, ćwiczenia, rozkaz itd. Aby tę monotonię rozerwać, wybrałem się pewnego lipcowego pięknego popołudnia, w towarzystwie jednej eksmaszynistki, jednej wdówki i urzędniczki prywatnej na wycieczkę. Pogoda sprzyjała, wietrzyk łagodził upał, powietrze przesycone zapachem świerkowych lasów sprawiało rozkosz. Po kilku godzinach zerwała się ogromna burza z piorunami, a deszcz lunął jak z cebra. Nie było żadnego schronienia, trzeba się było poddać losowi, Kiedy burza przeszła, sprowadziłem zamknięty powóz, wsadziłem towarzyszki, do których przykleiły się sukienki i ruszyliśmy cwałem w kierunku kwatery. Szczęściem ordynans był w domu, zapalił w piecu i ugotował herbaty. Podczas kiedy porozwieszane części garderoby się suszyły, wycieczkowcy okryci prześcieradłami i ręcznikami siedzieli po turecku na łóżku i pili czaj z koniakiem.

Zbliżały się czasy brzemienne w wypadki. Dzicz bolszewicka ruszyła na Polskę. Kto żył, kto był zdolny, na zew naczelnika państwa i ministra Witosa, chwytał za broń. Pod moje dowództwo oddał pułkownik nowozaciężnych, było ich 1400 oraz 200 podoficerów. Zgłosił się też mój gospodarz **Wapniowski**. Wprawdzie miałem trzech oficerów do pomocy, a i tak wiele miałem utrapienia, aby dać każdemu co mu się należy, nikogo nie zniechęcić, każdemu ile można osłodzić ciężką dolę żołnierską. Nic też dziwnego, że wnet mnie polubili, bo nigdy się nie gniewałem, nie klątem, do każdego się uśmiechałem, z każdym rozmawiałem. Na pamiątkę wspólnej służby **ofiarowali mi**

szablę. Jeden z właścicieli dóbr zaznajomiwszy się bliżej ze mną, proponował mi, czy bym się nie ożenił z jego bratanicą ziemianką. Inny, mieszczanin zapraszał na wieczór pożegnalny wydany przez jeden z cechów na cześć tych, którzy stanęli w potrzebie. Wolałem wybrać z dwojga złego (bo lubiłem spokój) to mniejsze i obiecałem przyjść na wieczór pożegnalny, gdzie przy okazji wytłumaczyłem szlachcicowi, iż mnie małżeństwo nie pociąga.

Jeden z obywateli, który świeżo ubrał mundur prosił mnie abym się do niego sprowadził na mieszkanie i zaopiekował się jego gospodarstwem i żoną, gdy on wyruszy na front, zwłaszcza że ma przeczucie śmierci. Sprowadziłem się do miłego domku leżącego pod lasem, ale niedługo tam mieszkałem, bo za tydzień ruszyłem po raz czwarty w pole, zostawiając dom pod opieką wiernego ordynansa. **W okopach spotkałem brata swego, szeregowca. Gdy 12 sierpnia 1920 roku oceniwszy sytuację jako groźną, nic nie rzekłem, tylko wydarłem kartkę z notesu, napisałem bratu przepustkę, ucałowałem go i rzekłem: "nie możemy zginąć obaj. Jesteś potrzebny rodzicom. Wracaj do miasta, póki most istnieje".**

12 sierpnia 1920 roku obsadziłem odcinek za Wisłą, obok przyczółka mostowego Włocławek, a 14 sierpnia już pokazały się awangardy bolszewickie kawalerji **Gana.** Przykra była sytuacja, bo miałem odcinek 3 kilometrów i 120 ludzi obsady i dwa karabiny maszynowe. Naprzeciw zaś chmara kawalerji waliła od wsi **Chełmicy** i kupa piechoty z karabinami maszynowymi. Atak odparłem, lecz zostałem ranny w nogę. Musiałem opuścić pole bitwy, oddając dowództwo porucznikowi **Rożkowi.** Dziś za Wisłą stoi ogromna mogiła gdzie spoczywają żołnierze 14 p.p. Ja zdołałem się przedostać przez most jako ranny zanim go podpalono. W szpitalu klerycy - sanitarjusze włożyli mnie na nosze i odwieźli do szpitala „na piaskach". **Dr Zalewski,** lekarz opatrywał mi ranę, **przestrzał podudzia,** a ja się wesoło uśmiechałem, ku przerażeniu sanitarjuszek, sióstr Warszyckich, które były nowicjuszkami. Jak pan porucznik może się śmiać, mówiły z przerażonymi twarzami. To dla mnie nie nowina proszę pań, gorzej bywało. Gdy rana przysychała, gorączka się wzmogła i czułem większe osłabienie. Tymczasem huk armat się wzmagał, maszynki granaty nieustannie rzucały, trzask karabinów ręcznych był bardzo nerwowy. Sanitarjuszki zgromadziły się w mej sali, załamując ręce i lamentując, co to będzie panie poruczniku. Uspokajałem je, żeby się nie bały. W najgorszym razie opuścimy szpital, ale do miasta bolszewicy się nie dostaną, tłumaczyłem im. Na drugi dzień granaty zaczęły padać na szpital. Szpital wycofał się w stronę **Kowala,** aby odjechać do **Łodzi.** Ja nie chciałem się ruszać ze szpitala, ale brat Janek mnie namówił i złapawszy opuszczone fiakierskie konie z powozem, wywiózł mnie. W Kowalu wsiadłem na pociąg, lecz nie pojechałem do Łodzi lecz do **Kutna.** W Kutnie kazałem się wynieść z transportu i czekałem na pociąg jadący do **Krakowa.** W Krakowie poleżałem tydzień a potem wróciłem do „szpitala na piaskach" we Włocławku, skąd przez okno obserwowałem swe koszary. Dowiedziałem się, że nad Wisłą zginął mój gospodarz Wapniowski.

Po wyleczeniu się z ran, wyjechałem na miesiąc na kurację do Ciechocinka, gdzie zamieszkałem w Świteziance. Tam poznałem się z pierwszą żoną pana marszałka Piłsudskiego i często odbywałem z nią przechadzki.

Wróciwszy do pułku, objąłem dowództwo 1 kompanji i zamieszkałem na dawnej kwaterze u wdowy po poległym Wapniowskim. Ordynansowi dałem polecenie aby jej pomagał w pracy przy gospodarstwie. Po miesiącu miała jedna kompanja odejść na Litwę. Zgłosiłem się na jej dowódcę i wyjechałem do Łodzi, aby przywieźć dla niej mundury. Tam zaglądnąłem przypadkiem do Dowództwa Okręgu Korpusu i od kolegi **Schoppa**, dowiedziałem się, że **moja prośba o zwolnienie z wojska została uwzględniona** przez Ministra Spraw Wojskowych i mam być zwolniony pierwszego października 1920 r. Ogromnie się ucieszyłem, spełniły się moje marzenia, że nareszcie będę mógł wstąpić na teologję, do której czułem specjalny pociąg.

Taki los wypadł nam – że dzisiaj tu – a jutro tam.

Kadra batalionu zmieniła miejsce pobytu. Przeniesiono ją do pięknego miasta. Porucznik jako kwatermistrz wyjechał, aby objąć w posiadanie koszary i wyszukać mieszkania dla oficerów.

Najgorzej było z pomieszczeniem maszynistek pracujących w wojsku. Żadna z pań domu nie chciała słyszeć o odstąpieniu mieszkania na kwaterę dla „panny" zajętej w wojsku. Widać było, że wchodził tu strach o „cnotę" męża. Natomiast oficerom chętnie dawano mieszkania. Ostatecznie wszystko i wszyscy otrzymali pomieszkania. Zaczęło się monotonne życie koszarowe. Pobudka, raport, ćwiczenia, obiad, ćwiczenia, rozkaz dzienny, retrait.

Aby tę monotonię przerwać wybrał się pewnego pięknego lipcowego popołudnia dowódca kompanii, w towarzystwie jednej ekseminarzystki, jednej wdówki i urzędniczki prywatnej na wycieczkę. Pogoda sprzyjała, łagodny wietrzyk ~~nie~~ łagodził upał, powietrze przesycone zapachem świerkowych lasów sprawiało rozkosz. Po kilku godzinach zerwała się ogromna burza z piorunami, a deszcz lunął jak z cebra. Nie było żadnego schronienia, trzeba się było poddać losowi.

Kiedy burza przeszła, porucznik sprowadził zamknięty powóz, wsadził towarzyszki, do których przykleiły się [illegible] sukienki i ruszył cwałem w kierunku kwatery porucznika. Tymczasem ordynans był w domu, zapalił w piecu, ugotował herbaty. Podczas kiedy porozwieszane części garderoby się suszyły, wycieczkowicze okryci prześcieradłami i ręcznikami siedzieli po turecku na łóżku i pili czaj z koniakiem.

Zbliżały się czasy brzemienne w wypadki. Dzicz bolszewicka ruszyła na Polskę. Kto żył, chwytał za broń. Pod dowództwo porucznika oddał pułkownik nowozaciężnych, było ich 1400, oraz 200 podoficerów. Wprawdzie miał on 3 oficerów do pomocy, a i tak wiele miał utrapienia, aby dać każdemu co mu się należy, nikogo nie zniechęcić, każdemu ile można osłodzić ciężką dolę żołnierską. Nic też dziwnego, że wnet go polubili, bo nigdy się gniewał, nie kłął, do każdego się uśmiechał, z każdym rozmawiał. Na pamiątkę wspólnej służby ofiarowali mu szablę. Jeden z właścicieli dóbr zaznajomiwszy się bliżej z porucznikiem, proponował mu, czyby się nie ożenił z jego bratanicą ziemianką, inny, mieszczanin zaprosił na wieczór pożegnalny wydany przez jeden z cechów na cześć tych, którzy stanęli w potrzebie. Porucznik wolał wybrać z dwojga złego (bo lubił spokój) to mniejsze; obiecał przyjść na wieczór pożegnalny, gdzie przy okazji wytłumaczył szlachcicowi, iż go małżeństwo nie pociąga.

Jeden z obywateli, który z wiekiem ubrał mundur prosił dowódcę, aby się do niego sprowadził na mieszkanie i zaopiekował się jego gospodarstwem i żoną, gdy on wyruszy na front, zwłaszcza że ma przeczucie śmierci. Porucznik sprowadził się do miłego domku leżącego pod lasem, ale niedługo tam mieszkał, bo za tydzień ruszył w pole, przeciw nieprzyjacielowi, zostawiając dom pod opieką wiernego ordynansa.

W okopach spotkał dowódca brata swego, szeregowca. Oceniwszy sytuację jako groźną, nic nie rzekł, tylko wydarł kartkę z notesu, napisał bratu przepustkę, ucałował go i rzekł: Nie możemy zginąć obaj. Jesteś potrzebny rodzicom. Wracaj do miasta, póki most istnieje

W rocznicę „Cudu nad Wisłą"

W czasie zmagań z wrogiem pamiętną była obrona Włocławka.

Z całych Kujaw, a przedewszystkiem z ziemi nieszawskiej, każdy zdolny do noszenia broni ciągnął do 14 p. p. we Włocławku. Pamiętam 30 lipca 1920 r. tysiąc czterysta ochotników stanęło do apelu wieczornego na ulicy Stodólnej, w koszarach batalionu zapasowego 14 pułku. Był to piękny wieczór lipcowy. Zdjęto czapki i zaczęto potężny śpiew „Wszystkie nasze dzienne sprawy", a fale powietrzne niosły głos do miasta i sąsiednich wiosek.

Dowódca, porucznik Józef z Tuczemp, radośnie spoglądał na swych żołnierzy, którzy posłuszni wezwaniu Rządu stanęli do broni, aby się oprzeć dzikiemu wrogowi, niosącemu zniszczenie. Wszyscy przygotowywali się do wymarszu na front i nikt nie przypuszczał, że za kilka dni front bojowy będzie poza ich koszarami.

Dnia 10 sierpnia oddziały z równowagą fali posuwały się przez miasto. W stali karabinów odbijały się promienie wschodzącego słońca, a w oczach żołnierzy widać było zapał. Zajęli stanowiska, wykopali rowy strzeleckie i umocnili przy współpracy ludności cywilnej. Trzy dni czekali na wroga, a w ciągu tych dni słyszeli wieczorami, jak ludność w katedrze i kościołach włocławskich, oraz przy kapliczkach i krzyżach przydrożnych śpiewając, modliła się o pomoc do Boga. I żołnierz poczuł, że nie jest sam, że za nim stoi społeczeństwo i wyprasza mu zwycięstwo u Pana.

Gdy więc 13 sierpnia pokazał się nieprzyjaciel, żołnierze z zimną krwią, mimo jego liczebnej przewagi, powitali go gradem kul. Do decydującej walki przyszło w dniu Wniebowzięcia N. M. P. Bolszewicy pragnęli koniecznie zdobyć przyczółek mostowy. Deszcz pocisków lunął na most, karabiny maszynowe siały zniszczenie wokoło. Żołnierz jednak, ufny w pomoc Bożą, nie ustąpił i zwyciężył wroga, w najtrudniejszych warunkach, krwią i znojem.

Dzień Wniebowzięcia N. M. P. stał się dniem wielkiego zwycięstwa, dzień który historja nazwała „Cudem nad Wisłą". I odtąd uroczystość kościelna i pamiątka wielkiej bitwy, razem złączone, będą świadczyć, że Marja jak w dawnych wiekach, nadal opiekuje się Polską, a w narodzie naszym nie wygasł ogień wdzięczności względem Boga-Rodzicy Dziewicy.

Kapitan rez.

D Z I A Ł R O Z M A I T O Ś C I

Z KRWAWYCH DNI WŁOCŁAWKA.

30. VII. 1920. W piękny wieczór lipcowy tysiąc czterysta żołnierzy stanęło do apelu wieczornego przed koszarami Baonu zapasowego 14 p. p. na ulicy Stodólnej. Na rozkaz dowódcy zdjęli czapki i zaczęli potężny śpiew: „Wszystkie nasze dzienne sprawy", a fale powietrzne niosły głos do sąsiedniej wioski, położonej w pobliżu miasta. Dowódca stał przed oddziałem i z radością spoglądał na swych żołnierzy, którzy, posłuszni wezwaniu Rządu, stanęli do broni, aby bronić Rzeczpospolitej od dzikiego wroga, który znajdował się już prawię w jej centrum. „Nie damy ziemi skąd nasz ród" — rozlegla się pieśń następna. Za chwilę rozkaz i modlitwy wieczorne były skończone.

„Dobranoc żołnierze!" — krzyknął donośnie dowódca, odchodząc z przed frontu. „Dobranoc panie poruczniku!!!" — odpowiedziało tysiąc czterysta żołnierzy. Był to jeden z ostatnich dni przed burzą.

„Chłop z chłopa generał Jarosz." 1.

Założycielem pułku piechoty ziemi jarosławskiej w pierwszych miesiącach 1918 r. był pułkownik Jarosz. (Patrz: Zarys Historji Wojennej Pułków Polskich 1918-1920. 14 Pułk Piechoty. Z polecenia Wojskowego Biura Historycznego opracował Porucznik Stefan Wierzyński. Warszawa 1929)

Po raz pierwszy spotkałem się z pułkownikiem Jaroszem w marcu 1917 r. we Włodzimierzu Wołyńskim. Był on dowódcą formacyj marszowych 4 armii austriackiej. Mapa IV. Armee.

Pozostał mi w pamięci do dziś taki obraz: kapelan odprawiał na dziedzińcu mszę św. dla zgromadzonych batalionów. Jarosz oparty na lasce stał niedaleko ołtarza,

2

trzymał różaniec w ręce i od czasu do czasu
rzucał oczyma na żołnierzy i oficerów.
Raz, gdy zebrały się bataliony marszowe
na dziedzińcu koszar, Jarosz dał rozkaz,
aby oficerowie wystąpili przed front.
Gdy się uformował długi szereg oficerów,
szedł Jarosz od jednego do drugiego
i pytał „ ~~[illegible]~~ „Mówi pan po polsku,
był pan na froncie"? Gdy kto odrzekł
że nie mówi po polsku, padał ostry
rozkaz dowódcy „na front!" „Mowa
pułkowa tych pułków, które mam pod
komendą jest polska, Niemców nie
potrzebuję" Skolei podszedł do mnie,
zasalutowałem, on odsalutował, popatrzył
mi w oczy, popatrzył na mój medal
srebrny I. Kl., nie rzekł ani słowa,
posunął się przed następnego oficera Polaka,
wysokiego wzrostu i zapytał „Byku!
byłeś na froncie?!" A na to odrzekł
oburzony oficer: „Panie pułkowniku

3.

melduję posłusznie, ja nie jestem
żaden byk, tylko leutnant w rezerwie,
a w cywilu nauczyciel." Na to Jarosz:
„Pocałuj mnie w dupę." Oficer czerwony
ze złości wrzeszczy: „Panie pułkowniku
ja chcę iść na front!" Jarosz spokojnie
odpowiada: „Nie pójdziesz, Niemcy pójdą."
Innym znowu razem na strzelnicy,
gdy błoto było ogromne i deszcz padał,
Jarosz widząc, że żołnierze mają kiepskie
miny powiada: „Ja jestem taki sam
chłop galicyjski jak i wy. Mógłbym dziś
leżeć koło ciepłego pieca, pod pierzyną
i jeść pierogi z masłem, a ja moknę
i łażę z wami po błocie. Wojna."
Major Zimmermann był kierownikiem
strzelania bojowego. Raz wieczorem
w kasynie ofic. powiada Jarosz: „Zimmer
mann

ty dziś będziesz leżał w błocie, gdy będziesz 4
wracał do domu". „Niemożliwe, znam
hasło" odrzekł major. „Zobaczysz"
uśmiechnął się Jarosz.
Po kolacji Zimmermann pożegnał
się z Jaroszem, i innymi oficerami
i poszedł na kwatery. Jarosz po
kilku minutach poszedł za nim
i spotkał go leżącego w błocie. Mimo
że znał hasło, warkowski kazał mu
paść na ziemię, bo taki rozkaz
w stosunku do majora wydał Jarosz.
Pojechałem pod Hrubieszów na strzelanie
bojowe. Było błoto, padał deszcz, wydawałem
rozkazy żołnierzom strzelającym strzelec.
Na to podchodzi do mnie podporucznik
austriak, zastępca Jarosza i każe
mi się zachowywać polowo, tak jak
żołnierze, padać i podnosić się, pełzać.

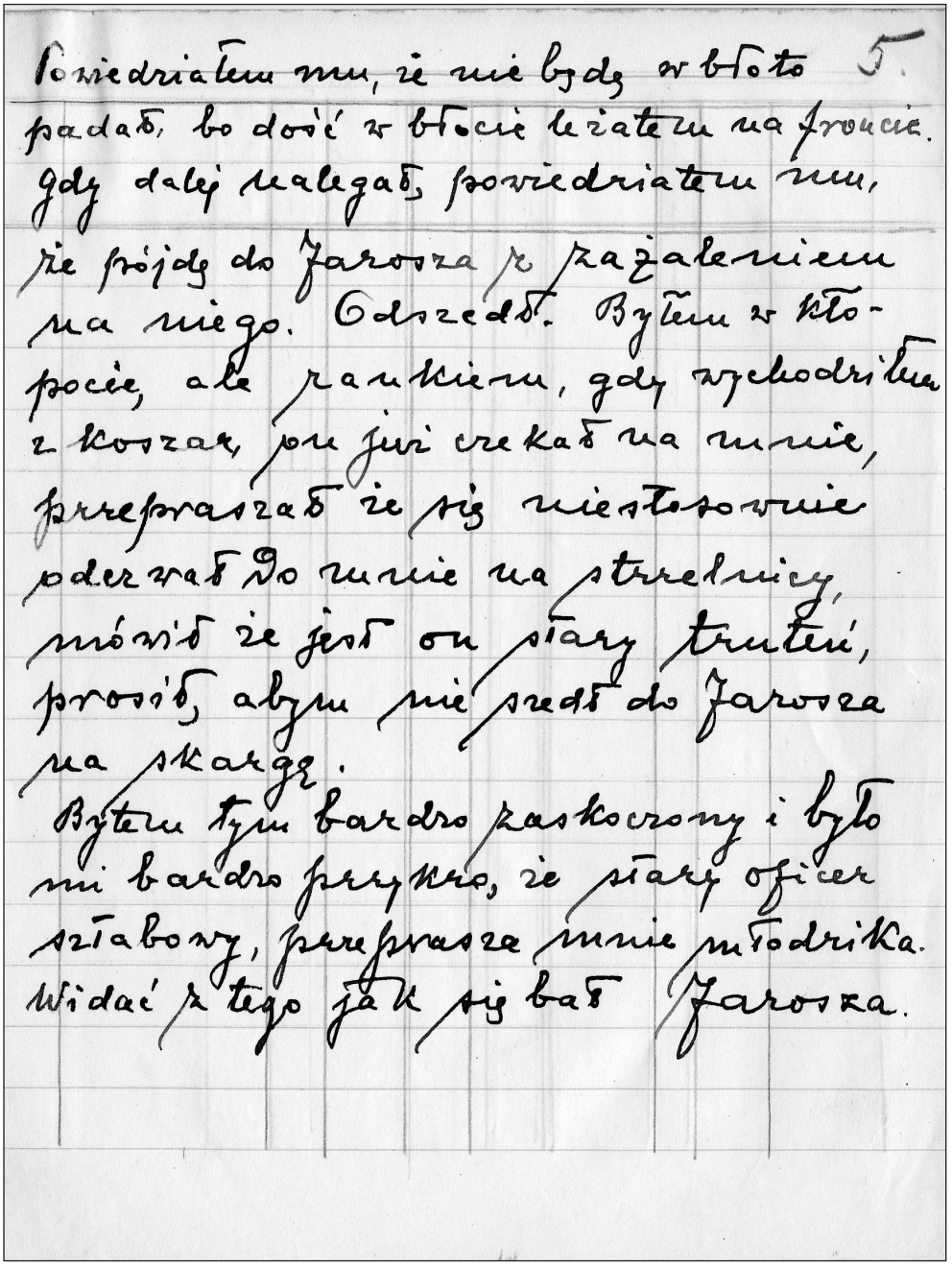

powiedziałem mu, że nie będę w błoto 5.
padał, bo dość w błocie leżałem na froncie.
gdy dalej nalegał, powiedziałem mu,
że pójdę do Jarosza z zażaleniem
na niego. Odszedł. Byłem w kło-
pocie, ale rankiem, gdy wychodziłem
z koszar, por. Jiri czekał na mnie,
przeprosił że się niestosownie
odezwał do mnie na stronnicy,
mówił że jest on stary trutień,
prosił, abym nie szedł do Jarosza
na skargę.
Byłem tym bardzo zaskoczony i było
mi bardzo przykro, że stary oficer
szłabowy, przeprasza mnie młodzika.
Widać z tego jak się bał Jarosza.

Jeden z oficerów poszedł do Jarosza 6
z prośbą o urlop i zaczął formułę
raportową recytować po niemiecku.
Jarosz przerwał mu zaraz, mówiąc:
„Mów do mnie po polsku! Wiesz, że
ja jestem Polakiem! Gdy będziesz
mówił po niemiecku, dostaniesz
gówno, nie urlop". Gdy się o tym
dowiedziano, żaden z Polaków nie
używał wobec Jarosza języka niem.

W Jarosławiu w 1918-19, Jarosz
rano o 6 stał na bramie i gdy się oficer
spóźnił, on nic nie mówił, tylko poka-
zywał zegarek. Odtąd każdy przed 6 był
w koszarach.

Po wojnie w 1920, Jarosz przez jakiś czas
był dowódcą korpusu w Przemyślu. Zdarzyło
się, że do Przem. zjechały się orkiestry
wszystkich pułków na konkurs.

7

Jarosz chodził po placu ćwiczeń i przedstawiał się nieznajomym, mówiąc
„Chłop z chłopa generał Jarosz!"

Gdy go przeniesiono w stan spoczynku,
osiadł w Betkiniach na polu obok toru
na 40 morg. gospodarstwie, wystawił
krzyż i co wieczór chodził pod krzyż
mówiąc: „Dzięki Ci Panie Boże, żeś mi
pozwolił przeżyć dzień, a jakie rozkazy
dasz Panie Boże na jutro? Wieczne
odpoczywanie daj Panie tym, co zginęli
na wojnie". Te słowa mówił do mnie,
wskazując z okna pociągu na swą zagrodę
i na krzyż.

Jeździł klasą III, bo mówił że nie ma
czwartej. Oto prawdziwy Polak, oto
prawdziwy Demokrata. Wiele, wiele
jeszcze mógłbym wesołego i dobrego o nim
napisać. Choć tych trochę wzmianek
przekazuję potomności.

Kapitan Józef Słaby
Turzempy.

5/8 1946.

W służbie Boga

Dlaczego doświadczenie wieków
na nic się nie przyda
Dlaczego człowiek wszystkiego
musi doświadczyć sam?

W opracowaniu zatytułowanym „Tak płaci świat – Tragedia życia”, którego ostateczny tekst został przepisany tuszem w **Krzemieńcu,** autor tak opisuje swoje dalsze losy: Dziwne działy się rzeczy w historji dotąd nie zapisane, jak długo historja powszechna istnieje, na które ja osobiście patrzyłem i w których brałem częściowo udział. Krwawy szał ogarnął narody. Nastała wielka tragedja, poniewierki i nędzy, wojna światowa w latach 1914 – 1918, a po niej wprawdzie krótsza, bo dwuletnia, ale o wiele straszniejsza walka z ukraińcami i bolszewikami. Potworne smoki o stalowych paszczach zionęły ogniem. Wszystko co dała wiekowa praca i ludzki znój, deptano, niszczono, palono. Kędy kwitły łany łąk i pól krwawy toczył się bój. Pociski ryły ziemię, rozrywały powietrze, waliły drzewa z korzeniami, zmiatały budynki z powierzchni ziemi, wyrzucały trumny z grobów, na to wszystko patrzyłem z przerażeniem, później jak na rzecz zwyczajną. Śpiewałem w świątyni z innymi: „**Ojczyznę - wolność – racz nam wrócić Panie”**. A potem widziałem pogrom nieprzyjaciół, widziałem jak waliły się trony wrogów, jak wyłaniała się wolna, niepodległa Polska, jak wytyczała i utrwalała swe granice. Byłem świadkiem jak powstawało państwo kościelne, jak chwiał się cały porządek społeczny, system kapitalistyczny, jak szukano dróg, aby przywrócić równowagę w świecie. Doczekałem się 1900 – lecia i zmartwychwstania Zbawiciela, Jezusa z Nazaretu. Wszystkiego opisać nie mogę, ale choć cząstkę przeżyć opisać postanowiłem, **bo może to kiedyś zainteresuje kogoś z mojej rodziny, z mojej wioski rodzinnej, gdy ze mnie i tych co to przeżywali śladu już nie będzie, gdy kości nasze w proch się obrócą, a pamięć o nas zaginie. Nie ma nic trwałego na świecie, a gdy człowiek znika z oczu, znika i z pamięci. Bóg tylko trwa wiecznie.**

Rodzice moi, Wojciech i Katarzyna, byli bardzo pobożni. Codziennie rano śpiewali godzinki ku czci M. Bożej, a wieczorem odmawiali różaniec. I mnie, w tym duchu wychowywali. Gdy jako małe dziecię zachorowałem, zawieźli mnie do kościoła O.O. Dominikanów w Jarosławiu i tam mnie ofiarowali M.B. prosząc, abym kiedyś został kapłanem. Często mimo milowej odległości prowadzili mnie do kościoła parafialnego i tam się modlili przed ołtarzem Najświętszej Rodziny. Kiedy miałem 8 lat, raz wzięli mnie wieczorem na rekolekcje-misje do Jarosławia. Redemptorysta na ambonie, w mroku wieczoru, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Zapamiętałem sobie, że gdy codziennie będę odmawiał 3 razy Zdrowaś to nie umrę bez spowiedzi i komunji świętej. I odtąd przez całe życie trzymałem się tej praktyki z wielką dla mnie korzyścią. Nie wiedziałem jeszcze wtedy o tym, że Sokrates uczył iż **ten się najlepiej modli, który milczy.**

Tak się szczęśliwie złożyło, że z powodu wypadków wojennych, rok szkolny na wydziale teologicznym w Przemyślu zaczął się 1 listopada 1920 r., o czem mnie zawiadomiono. Oddałem dowództwo kompanji i natychmiast wyjechałem do Przemyśla.

Przezacny 80 letni Rektor ks. **Teofil Łękawski,** oglądając mą szablę i ostrogi, radził, abym się dobrze zastanowił, bo studjum teologiczne jest długie i ciężkie, obowiązki wielkie, a ja mam ładne stanowisko w państwie, które opuszczam. Ujął mnie staruszek swym wyglądem, więc odrzekłem: „**Przez całą wojnę, przez 6 lat zastanawiałem się nad tem, a głos wewnętrzny w najcięższych bitwach, w ogniu huraganowym, w walce na bagnety, mówił mi bardzo wyraźnie, że nie zginę, bo muszę zostać księdzem i ten głos mnie tutaj przyprowadził”.**

Proszę sobie wybrać salę na parterze – powiedział ks. rektor i mile mnie pożegnał. Rozlokowałem się w jednej z dwóch sal i zapaliłem papierosa, jak po ciężkiej pracy. Co jest cesarskiego oddajcie cesarzowi, a co boskiego Bogu – powiedział Mistrz z Nazaretu. Spełniłem obowiązek względem Ojczyzny, jak mogłem najlepiej. W wywalczeniu jej granic i wolności przelałem krew, spędziłem wiele nocy bezsennych o głodzie i chłodzie, a gdy sztandar wolności silnie, niezagrożony nad nią zaczął powiewać, szablę ofiarowaną mi przez obywateli ziemi nieszawskiej, we Włocławku w roku 1920, w dniu mych imienin, powiesiłem jako wotum na ołtarzu w kościele Chłopickim, zbudowanym przez króla Jana III Sobieskiego. Niech świadczy o opiece Matki Bożej nademną, w czasie wojny światowej, ukraińskiej i bolszewickiej i niech innych zachęca do ufności w Jej opiekę. Zawaliły się trony, pomarli cesarze, rządy w powojennych państwach zmieniały się jak rękawiczki, więc co za pociecha w takich czasach stanąć pod sztandarami Nieśmiertelnego Chrystusa Króla wieków. Największa godność na ziemi, największy zaszczyt, który mnie spotkał. Byłem niewypowiedzialnie szczęśliwy w murach seminarjum.

Od młodości, przez cały przeciąg służby wojskowej starałem się iść drogą przykazań Bożych. Pacierza nigdy nie opuszczałem, nawet w czasie ognia huraganowego, spowiedzi wielkanocnej nigdy nie zaniedbałem, ile razy szedłem na front, lub na urlop z linji bojowej wracałem, zawsze się spowiadałem; będąc w kadrze, nigdy mszy św. w niedziele i święta nie opuszczałem, lecz teraz postanowiłem w sposób specjalny „zrzucić z siebie człowieka starego, a przywdziać się w człowieka nowego, który wedle Boga stworzony jest". W ten świat nieznany, świat walki ducha, miały mnie wprowadzić tygodniowe rekolekcje, któremi zaczynały się wykłady teologiczne w Seminarjum.

Jakże się ucieszyłem, gdy na ambonie w kaplicy zobaczyłem O.O. Redemptorystę. Redemptorysta to przecież nauczał mnie 8 letniego chłopca na misjach w Jarosławiu, abym codziennie odmawiał 3 zdrowaś Marjo. Niezbadane są drogi pańskie myślałem.

Studjum było ciężkie, bo miałem 6 lat przerwy; trzeba było opanować język łaciński i nabrać wprawy w hebrajskim. W sali wykładowej i mieszkalnej bardzo słabo palono, a jedzenie było fatalne. Często w zupie grochowej pływały robaki a chleb był niedopieczony. Prawie zawsze wstawało się głodnym od stołu. Dlatego co dwa tygodnie dostawałem prowiant z domu. Do kaplicy chodziłem w ułance i z kocami, bo była nieopalona, a na ścianach zimą lśnił mróz. Studjowaliśmy jak żaki w średnich wiekach, jedząc strawę z blaszanych misek, na stołach nienakrytych obrusami, lecz podartą ceratą. Duch był jednak dobry i humor nigdy nas nie opuszczał, a wszyscy wykładowcy życzliwie się do nas odnosili, zwłaszcza do mnie, bo w oficerskim mundurze i w ostrogach na wykłady przez miesiąc chodziłem. Prócz mnie było jeszcze kilku z wojny, a reszta o 6 - 7 lat młodsza od nas, którzy na nas patrzyli z szacunkiem i trudno ich było ośmielić, aby nam mówili przez ty.

Pod sztandarem Chrystusa Króla

Podczas gdy żaby wygrywały koncert wieczorny, a spod przydrożnej figury rozlegały się modły do N.P. słynącej cudami w Lurdes, w ogrodzie otoczonym wysokim murem siedział pod sędziwą lipą młody teolog i patrzył w przestworza. Wieczór był prześliczny. Światło księżyca przedzierając się przez konary, padało na mury starożytnej baszty, która z tego powodu przybrała romantyczny wygląd. Teolog owinął się płaszczem, nasunął biret na czoło i siedział nieruchomo. „O czym marzysz stryju" zapytał go siadając przy nim, kolega, z którym ongiś chodzili do gimnazjum, a teraz znalazł się w murach seminarjum. „Pewnie tylko ciało twe tu siedzi, a duch błąka się na polach bitew, lub może lepsze wspominasz czasy"? Pytał dalej, lecz w odpowiedzi na to usłyszał: „maj jest, a mnie zimno, ramiona mnie bolą, pozostałość

okopów". I na tem zakończyła się rozmowa. Obaj uczestnicy wojny światowej, obecnie w szatach duchownych pogrążyli się w milczeniu i zatonęli w zamyśleniu.

Pod wpływem słów kolegi, pod wpływem szczególniejszego nastroju w przyrodzie, zaczęła się budzić przeszłość. I widział jak będąc małym chłopcem pasł krowy, jak chodził na nabożeństwa majowe, jak z trudem wielkim zdobywał wiedzę. Widział się szeregowcem i podoficerem w armji zaborczej. Widział się jak prowadził do ataku szeregi żołnierzy, jak krwią zlany wracał z pola walki, jak się przechadzał nad Morzem Czarnym, jak uganiał na koniu na akermańskich stepach, jak toczył krwawą walkę w obronie granic Rzeczypospolitej, którą tak ukochał.

I pojawiła się mu przed oczyma postać obywatela z ziemi nieszawskiej, który mu chciał oddać córkę za żonę; zarazem też stanęła mu przed oczyma Sonia i bojarzyn Dobrowolski. Zjawiła się też postać inna, postać przystojnej niewiasty, która mu jako 20. letniemu kadetowi proponowała małżeństwo, a kiedy te wspomnienia przesuwały się jak figury w kalejdoskopie, rozległ się głos dzwonka, wzywający na modlitwy wieczorne. Obaj teologowie podnieśli się z ławki i zdążali do kaplicy. Jeden z nich okryty płaszczem wojskowym z amarantowo czerwonemi wypustkami, idąc odmawiał półgłosem psalm Dawidowy: Misere mei Deus. Przyszedłszy do kaplicy usiadł w ławce razem z innymi modlitwy wieczorne. Po skończonej modlitwie, otworzył książkę „U stóp Mistrza" i czytał: „Powołanie Mateusza". Zobaczył Lewiegu, syna Affeuszowego jak siedział przy rogatce i odezwał się doń: „Pójdź za mną. I tamten wstał i poszedł za Nim."

Jakże często zdarzają się takie za dni naszych takie cudowne powołania! Oto oficer elegancki, pełen życia, lubiany przez wszystkich i na rękach noszony, pozornie tylko

myślący o karjerze, nagle odpasuje szablę, zdejmuje ulubiony uniform i zostaje księdzem lub zakonnikiem! Wszyscy zdumieni, wszyscy potrząsają głową, krytykują, podziwiają, jedni myślą tak, inni inaczej, zupełnie podobnie, jak w ten czas , gdy pan Lewi został nagle ojcem Mateuszem. To znowu słyszy się o jakiejś hrabiance, damie prawdziwej; gwieździe salonów, ubóstwianej, uwielbianej. Te oczy pełne błysku i radości, te czarowne uśmiechy na jej ustach, mówią tylko o radości życiowej i miłości ziemskiej; z religji zostało tylko to co zwyczaj i formalność z sobą przynoszą. Aż o to nagle ta gwiazda towarzystwa znika za kratkami surowego klasztoru, albo też pojawia się w habicie Siostry Miłosierdzia u łoża umierającego proletarjusza.

Ha! To tajemnica powrotów Boskich. Tak jest dziś jeszcze. Pan powołuje Apostołów i wybrańców Swoich z salonów najwyższych sfer społecznych, od stołów w eleganckich kasynach oficerskich, w których szampan się perli w pucharach, z kantorów bogatego domu handlowego. Krok taki zdaje się być nagłym, niczym nie przygotowanym, a jednak wewnątrz przygotowania odbywały się od dawna jak u Lewiego, działał tam po cichu, a jednak potężnie głos łaski. Zamknąwszy książkę pogrążył się w rozmyślaniu i nie słyszał jak klerycy jeden po drugim opuszczali kaplicę, aż nareszcie pozostawili go samego.

Przyszedł czas egzaminów półrocznych i rocznych. Wszystkie noty miałem eminenter - bardzo dobre. Na wakacje wyjechałem do Ciechocinka, gdzie po starej znajomości otrzymałem bezpłatne kąpiele, a za staraniem proboszcza, księdza **Sowinskiego**, który znał mnie jeszcze z oficerskich czasów, zamieszkałem w willi „Irenie„ u pani **Hibnerowej.** Odwiedziłem też pułk po drodze, gdzie dostałem bezpłatny bilet wojskowy do Jarosławia.

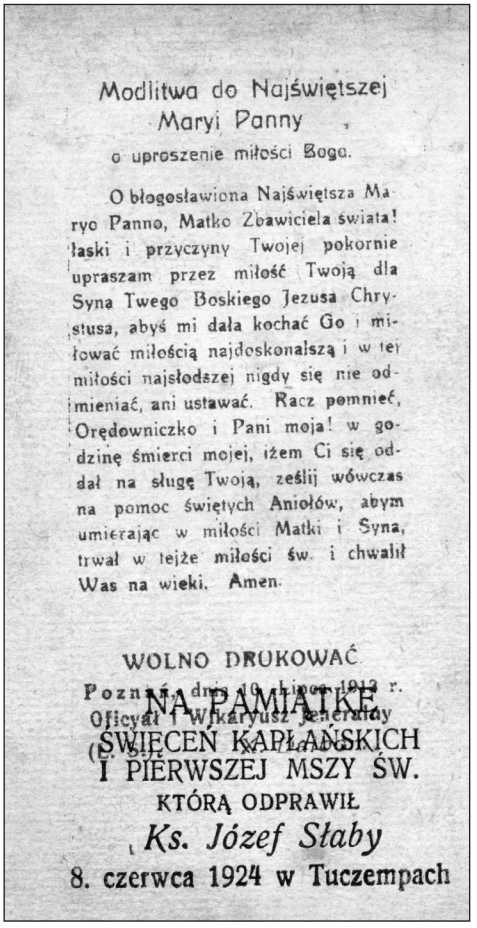
Modlitwa do Najświętszej Maryi Panny
o uproszenie miłości Boga.

O błogosławiona Najświętsza Maryo Panno, Matko Zbawiciela świata! łaski i przyczyny Twojej pokornie upraszam przez miłość Twoją dla Syna Twego Boskiego Jezusa Chrystusa, abyś mi dała kochać Go i miłować miłością najdoskonalszą i w tej miłości najsłodszej nigdy się nie odmieniać, ani ustawać. Racz pomnieć, Orędowniczko i Pani moja! w godzinę śmierci mojej, iżem Ci się oddał na sługę Twoją, ześlij wówczas na pomoc świętych Aniołów, abym umierając w miłości Matki i Syna, trwał w tejże miłości św. i chwalił Was na wieki. Amen.

WOLNO DRUKOWAĆ
Poznań, dnia 10. lipca 1913 r.
Oficyał i Wikaryusz Generalny

NA PAMIĄTKĘ
ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH
I PIERWSZEJ MSZY ŚW.
KTÓRĄ ODPRAWIŁ
Ks. Józef Słaby
8. czerwca 1924 w Tuczempach

Szybko upłynął czteroletni okres studjów; w ciszy i spokoju, bez intryg, wyrobienie duchowe pod kierunkiem ks. **Jana Grochowskiego** przynosiło piękne wyniki. Spełniły się marzenia rodziców i moje. Ojciec sprzedał za starym Sanem kawał pola, aby mi kupić rewerendę bo na teologji chodziłem w rewerendzie zrobionej z materjału przeznaczonego na płaszcz wojskowy, który dałem przefarbować. **W maju 1924 r.** ks. bp. **Fischer** udzielił mnie i kolegom święceń kapłańskich. Na tej uroczystości była cała moja rodzina, oraz wielu ludzi z Tuczemp, którzy przyjechali wozami. Od niepamiętnych czasów nikt z Tuczemp nie był księdzem. Więc atrakcja była wielka. 8 czerwca 1924 roku odprawiłem w Tuczempach pierwszą, uroczystą mszę świętą. **Ks. Hajduk**, proboszcz, przyszedł po mnie do domu, z procesją z kościoła. Na progu domu uklęknąłem, prosząc rodziców o błogosławieństwo. W tej chwili płacz z radości powstał między ludźmi. Po mszy św. udzieliłem błogosławieństwa całej wsi i mieszkańcom wiosek okolicznych, którzy się liczni zgromadzili. Wielu z nich służyło w wojsku pod moim dowództwem. Gmina wystawiła dwie bramy tryumfalne. Tak to zmieniają się czasy, a przecież w 1919 r. skazano mnie na wygnanie ze wsi. Po nabożeństwie odbył się u mnie w domu objad, w którym wzięli udział **księża z Łowiec, Chłopic, Radymna, Jarosławia, porucznik Kuźniar z Morawska, Stefan Myczkowski, Antoni Majewski, nauczycielstwo Sorysowie** i wszyscy krewni i sąsiedzi. Przyjechała też ciotka **Marja Padiakówna** ze Lwowa.

W służbie ideału

Na małej stacyjce we wschodniej Małopolsce zatrzymał się pociąg. Wysiadło kilka osób, a między niemi jeden duchowny. Przyjechał, aby objąć wyznaczoną mu przez władze placówkę wikarjusza „ad personam" u chorego proboszcza.

Przyjechałem do **Łanowic obok Sambora**, do **ks. Zycha**, który był ongiś proboszczem w Tuczempach, a potem z powodu intryg niektórych drani – kolejarzy przeniósł się do Łanowic. Spędziłem z nim inwazję rosyjską, byliśmy razem narażeni na kule, na śmierć od bandy kozackiej, więc zżyliśmy się razem. Teraz chorował, więc postanowiłem mu pośpieszyć z pomocą. Odradzał mi jeden ksiądz profesor, mówiąc, że tam się w dziką świnię zamienię, bo towarzystwa żadnego nie ma, a proboszcz oryginał.

Po latach: Źle zrobiłem, że nie posłuchałem Rektora i jednego z prefektów, że nie opuściłem tej uczelni. Po wyjściu z niej znalazłem się w gronie faryzeuszy, czcicieli złotego cielca, typów o duszach sprzedajnych.

Mimo to pojechałem. Mieszkanie było kiepskie, w zagrzybionej plebanji, kościół stuletni, drewniany, też zagrzybiony i bardzo ubogi. Pracowałem tam przez dwa miesiące w zgodzie z proboszczem pszczelarzem. Odemnie zależało co ma być podane na stół. Do nas obu powiadał należy majątek proboszczowski; siostra, która tu mieszka nic nie ma dogadania. Złote miał serce dla ubogich. Księdzem został w starszym wieku, po odbyciu trzy letniej służby wojskowej, dopiero zaczął chodzić do gimnazjum w Jaśle.

Proboszcz w żółtym kitlu i jasnej sportowej czapce, oczekiwał na peronie na swego współpracownika. Przywitali się, zapalili papierosy i usiedli na wózku, a małe koniki wśród tumanów kurzu unosiły ich w stronę odległej o sześć kilometrów plebanji. Nie przypatrywali się sobie, nie badali się ani wzrokiem, ani słowem, bo znali się od paru lat i w czasie wojny światowej jako nierozłączni towarzysze przez dłuższy czas wiele przeżyli tragicznych chwil. Rozmawiając o ostatnich wydarzeniach puszczali kłęby dymu, które mieszały się z kurzem i szybko zmierzali do celu, do plebanji ukrytej wśród ogromnych drzew, co nadawało jej wygląd gajówki czy leśniczówki.

Po oczyszczeniu się z kurzu, po gruntownym obmyciu, zasiedli do stołu, ustawionego w cienistej, jałowcami otoczonej altance i spożywali dary Boże nie szczędząc wina

Episcopus Premisliensis Latinorum.

Premisliae die 28 Junii 1924

№ 2193/24

8

Reverendo Domino Josepho Šťáby

Subpresbytero in Lawórice

Salutem et Benedictionem in Domino!

Ut liceat Tibi penes Ecclesiam parochialem in Lawórice *munus Vicarii Cooperatoris* ad personam *obire, auctoritate Nostra ordinaria plenam Tibi in Domino damus et concedimus facultatem, atque Te eidem Ecclesiae ad tempus arbitrio Nostro statuendum applicamus. Proinde mandamus Tibi, ut ad dictam Ecclesiam sine mora Te conferas atque ad normam iuris et secundum delegationes speciales officia huic muneri adnexa in praefata parochia ad majorem Dei Omnipotentis gloriam fideliumque animarum salutem diligentissime adimpleas; praecaventes Te, ne ab eadem Ecclesia sine scitu et consensu Nostro recedere audeas, sub poenis iure comminatis et arbitrio Nostro irrogandis.*

In quorum fidem hasce litteras, manu Nostra signatas et sigillo munitas, dedimus.

CURIA EPISCOPALIS RIT. LAT. PREMISLIENSIS

† Carolus Josephus
Epus quasit. Vic. Capit.

Der Ehrwürdige Officium
Parochiale
in Lawórice

zaprawionego korzeniami, które obaj nocą w roku 1914 w czasie bitwy zakopali w stodole w Tuczempach. Stodoła spłonęła, ale wino zostało i dziś po 10 latach rozweselało ich różnemi przyjemnościami zranione serca.

Ta sielanka jednak nie trwała długo. Życie jest walką, ziemia krainą wygnania, pełną bólów i łez. Proboszcz reumatyzmem złożony, leżał jak łazarz, a wikary pracował za dwóch, zwłaszcza w niedziele. Od rana do wieczora nie było odpoczynku. Spowiedź, msza święta, homilia, fura do chorego, procesja, kazanie, suma, nieszpory, nauka katechizmu, a w czasie oktawy Bożego Ciała, wieczorem, o ósmej procesja i wystawienie. Gdy miałem chwilę wolnego czasu pędziłem z kościoła na plebanję, zrzucałem spoconą koszulę na trawnik, aby wyschła na słońcu, a wziąwszy drugą szedłem do dalszej pracy. Pomny na słowa Pana Jezusa: „Jarzmo moje słodkie jest, a ciężar mój lekki" nie tylko nie narzekałem lecz owszem cieszyłem się i myślałem iż kiedy moi towarzysze polegli od broni czy też pochłonięci od trzęsawisk Podolskich, ziemię gryzą ja mogę służyć Nieśmiertelnemu Królowi Wieków. Zwłaszcza błogo się czułem, gdy o szarej godzinie wieczornej niosąc w procesji Najświętszy Sakrament, pod baldachimem, podtrzymywanym przez wiekowych wieśniaków. Kościół stuletni stał w dębowym lesie. Procesja okrążyła kościółek, szum starych dębów i młodych dąbków mieszał się ze śpiewem wiernych; wśród odblasku woskowych świec migotały pszeniczne kłosy pozłacanej monstrancji. Każdego dnia wieczorem wieśniacy wracając z pola widzieli jak ksiądz wikary przechadzając się ścieżyną pod lasem odmawiał brewiarz, a następnie, kiedy coraz bardziej się ściemniało, przesuwał w palcach paciorki różańca.

Nic nie ma stałego pod słońcem; to też, gdy pewnego sierpniowego dnia obaj duszpasterze jedli obiad nadszedł list do urzędu parafialnego z zawiadomieniem, iż ksiądz wikary Słaby Józef ma natychmiast objąć inną posadę. Na drugi dzień starzy przyjaciele pożegnali się z nie wypowiedzianym bólem serca. Po trzech miesiącach, kiedy już od dłuższego czasu ulewna trwała jesień, kiedy już dawno z drzew żółte spadły liście, kiedy smętną ziemię ogarnęła mgła, na tej samej stacji wysiadł wieczorem ksiądz wikary, ale proboszcz go nie oczekiwał bo jego dusza już dawno stanęła przed tronem Boga, a tylko ciało w prostej dębowej trumnie czekało na pogrzebanie. I odtąd w każdej mszy świętej księdzu wikaremu nowa przybyła modlitwa: „Zmiłuj się Panie nad duszą Jakuba, bo wiele od losu i złych ludzi ucierpiał na świecie".

Na nowej placówce

„**Posyłam was jako owca między wilki". Zapakowawszy swe rzeczy w dwie paki po tytoniu, które mi wspaniałomyślnie ofiarował prezes składnicy rolniczej pan Maksymowicz**, wyjeżdżałem na czwartą z rzędu w pierwszym roku kapłaństwa placówkę. Nie bardzo byłem zadowolony z takich przenosin, które mnie w stosunku do wikariuszowskich poborów wiele kosztowały. W duchu narzekałem, że niektórzy z radców konsystorskich siedząc na „głowach", ale w praktyce, pomny na tradycję uświęconą zasadą „Maul halten und weiterdienen" za ostatnie grosze kupiłem bilet i puściłem się w daleką drogę. Wikarówka byłaby dość miła, gdyby nie dwa okienka w drzwiach, które dawnemu żołnierzowi przypominały „Eizeln-arest" i psuły mu humor. Proboszcz, człowiek młody, dobroduszny, żywej wagi 120 kilogramów, zapalony myśliwy, przypadł od razu do gustu. Stracił jednak wiele na wartości już w czasie pierwszego obiadu, gdy ujrzałem stół nakryty starą, zdartą, brudną, żółtą ceratą, która jak się później dowiedziałem, swego czasu, gdy kanonik był jeszcze wikarym służyła mu do zakrywania przewożonego kosza celem zabezpieczenia od deszczu i kurzu. Resztki dobrego mniemania o swym przełożonym zanikły doszczętnie gdy nadeszła zima, a oni obaj w śniegowcach, futrach i czapach w jadalni siadali do stołu i spożywali jak twierdzą niektórzy potrawy niewybredne ale zdrowe. Dzień w dzień zjawiały się na stole: garnek kwaśnego mleka,

lat Biskupi ob. łać.
Przemyślu
L.:2349/24
1

Przemyśl dnia 20.lipca 1924.

Do
Wielebnego Księdza JOZEFA S Ł A B E G O,
wikarego
w
Ł A N O W I C A C H.

W parafji Nowe-Miasto zanjduje się nowy Zakład poprawczo-wychowawczy dla nieletnich w Przedzielnicy.Przy tym Zakładzie została utworzona państwowa posada osobnego rz.kat.kapelana,który oprócz odprawiania Mszy św.,miewania co niedzielę i święto egzort do wychowanków i udzielania im nauki religji jest obowiązany uczyć także niektórych przedmiotów świeckich na kursach.Do posady tej jest przywiązane uposażenie IX.klasy płac urzędników państwowych i mieszkanie służbowe w Zakładzie.

Placówka powyższa ze względu na tamtejszych wychowanków jest nader ważna.Chodzi o poprawę dziesiątków dzieci, które czyto z braku dozoru ze strony rodziny,czy wskutek złego przykładu,czy też innych okoliczności zaczęły już schodzić na złą drogę.Są to przeważnie dzieci polskie. Zadaniem kapelana-wychowawcy będzie dobrocią,połączoną ze stanowczością,przystępnem nauczaniem i ojcowską opieką pozyskać zaufanie tych małych wykolejonych,pozbawionych może dotąd ciepłego i serdecznego słowai serca naprowadzić na dobrą drogę,wyrwać z ich dusz kiełkujące złe nałogi a ugruntować w cnocie i dobrych zasadach.

Zadanie to z jednej strony trudne,wymagające pewnego zaparcia się i ofiary ze siebie,z drugiej strony zaszczytne postanowiliśmy powierzyć Wielebności Twojej.Aczkolwiek jesteś dopiero po święceniach kapłańskich i brak Ci większego doświadczenia duszpasterskiego,jednak ufamy,że nie brak Ci zapału do pracy i doświadczenia życiowego.Dobra wola,nabyte wiadomości i sama praca podda Ci środki najskuteczniejsze do należytego spełnienia nowych obowiązków.

Niniejszem tedy pismem mianujemy Cię,Wielebny Księże,

rz.kat.Kapelanem przy wspomnianym Zakładzie z dniem 1.sierpnia 1924.i polecamy z tym dniem objąć tamże swe nowe obowiązki.

Szczegółowych objaśnień co do urządzenia Zakładu,życia zakładowego,pracy i stosunków w Zakładzie udzieli Ci Ksiądz Proboszcz z Nowego-Miasta,który dotychczas pełnił obowiązki tymczasowego kapelana.

Przed objęciem posady należy zgłosić się wpierw do Dyrektora Zakładu,obejrzeć przyszłe mieszkanie i ułożyć się co do utrzymania.

CURIA EPISCOPALIS RIT. LAT. PREMISLIENSIS

+ Karol Józef
bisk.-sufr. wik. kapit.

ks. Dr. Teofil Chcinski
kanclerz

Ordynarjat Biskupi ob. łać.
w Przemyślu
L.:2846/24
2

Przemyśl dnia 28.sierpnia 1924.

Do

Wielebnego Księdza Józefa Słabego,

Kapelana Zakładu wychowawczo-naukowego

w Przedzielnicy.

Uznając słuszności motywów przytoczonych na poparcie prośby z dnia 24 i 27 sierpnia 1924.o zwolnienie Wielebności Twojej z posady kapelana w Zakładzie w Przedzielnicy,przychylamy się do Twej prośby i zwalniamy Cię z dotychczasowych obowiązków z dniem 1.września 1924. i wyrażamy Ci Nasze uynanie za dotychczasową pracę w tym Zakładzie.

Równocześnie przeznaczamy Cię na posadę wikarego przy kościeleparafjalnym w Dobromilu i polecamy tę posadę objąć z dniem 1.września 1924.

CURIA EPISCOPALIS RIT. LAT. PREMISLIENSIS

+ Karol Józef
bisk.-sufr. wik. kapit.

ks. Teofil Chcinski
kanclerz

ziemniaki, kapusta i mięso, którego pod żydowską jatką, nawet wałęsający się pies dotknąć nie chciał. W dnie postne, oprócz potraw codziennych, zamiast mięsa podawano jaja na twardo, czasem na miękko, wieczorem zawsze jajecznicę, która tak była sprytnie sporządzana, że jedna jej łyżka zatruwała gruntownie apetyt. Wtedy szło się spać o kwaśnym mleku, chociaż mróz dochodził do 20 stopni, albo i więcej.

Za to w nocy nieraz, przypomniało się chłopu, że konie stoją i nic nie robią, więc chociaż trochę leje lub szaleje wichura, dobrze by było przywieźć księdza staremu ojcu, który już od roku czuł się jednakowo. Zaprzęgał konia, wyciągał o północy wikarego z łóżka i wiózł po wertepach na złamanie karku. No, trudno, myślał wikary, alea iacta, na wojnie czasem gorzej bywało.

Psia asysta

Ksiądz kanonik rankiem szedł do kościoła, a dwa małe białe szpice harcowały wokół niego. Idąc do zakrystii, na chwilę siadał w konfesjonale, a szpice naprzeciw swego pana i dalej figle wyprawiały. Takiej jeszcze asysty nie widziałem. Tymczasem odezwały się dzwony, bo zbliżał się pogrzeb. Kanonik ubrany w szaty żałobne wyszedł ze mszą świętą. Szpice siadały na stopniu ołtarza i jak gdyby pogrążone w medytacji, przesiedziały grzecznie do końca mszy świętej. Kiedy proboszcz odprawiając egzekwie obchodził trumnę, jeden szpic biegł przed nim, drugi postępował za nim. W czasie zaś pochówku na cmentarzu, jeden po prawicy, drugi po lewicy, podskakując towarzyszyły swemu panu. Gdy to zobaczyłem to zdębiałem. Od ludzi dowiedziałem się później iż z tego powodu były już skargi na proboszcza, ale on się takimi skargami nie przejmuje. Razu pewnego gdy proboszcz wyjechał, musiałem odprawić pogrzeb. Wiedząc zaś o psich przyzwyczajeniach, prosiłem służącą, aby przez ten czas psy były pod zamknięciem. Służąca rzeczywiście pozamykała je, ale psy na głos dzwonów, wybiły okna i wiernie stanęły do asysty. Mimo odpędzania ich kamieniami towarzyszyły mi do końca pogrzebu na cmentarzu.

W blasku wschodzącego słońca bardzo wyraźnie rysowały się ruiny zamku Herbutów. Zostawiwszy ten historyczny zabytek na boku, podążał jeździec drogą i ścieżynami pobliskiego lasu. Koń kary najwyższej miary, stąpał wolno, albowiem droga była zawalona różnej wielkości kamieniami i drzewem, które poległo od burz. Jeździec okryty płaszczem koloru khaki i w furażerce, która jak świadczyła jej forma wyszła spod ręki zdolnego mistrza, trzymał ostro konia w cuglach, lecz ten mimo to co chwilę się potykał, albowiem często kamienie tak się układały, że nie miał gdzie wierzchowiec nogi postawić. Studiując mapę, rozglądając się po okolicy, minął leśniczówkę tajemniczo skrytą w gęstwinie, przejechał kilkaset metrów łożyskiem górskiego potoczka i z zadowoleniem wjechał na małą polankę, przez którą już widniała lepsza droga, a hen w dali było widać iż kończy się nareszcie las, a zaczynają się uprawne pola.

Lecz tu właśnie spotkała mnie niespodzianka. Ta piękna na pozór polanka była trzęsawiskiem. Koń zaczął się zapadać, ja w przerażeniu przypomniałem sobie, iż w analogicznej sytuacji straciłem pod Horyniem dwa konie. Zawrócić nie było można. Na los szczęścia wspiąłem konia ostrogami; tem zapadł się jeszcze bardziej, lecz zaraz poderwawszy się w potężnym skoku dostał przednimi nogami twardego gruntu. Obaj byliśmy uratowani – jeździec i koń „Kuba", a spod jego kopyt wypadła lawa błota i spadła na jego grzbiet. Po chwili zapytałem spotkanego przechodnia gdzie jest szkoła i tam skierowałem wierzchowca. Zabezpieczywszy konia, popuściwszy mu popręgi, wszedłem do klasy i przedstawiłem się nauczycielowi jako katecheta z sąsiedniego miasteczka. Przez kilka godzin rozmawiałem z dziećmi, pytałem je i uczyłem pacierza, a dzieci z ciekawością mi się przyglądały, bo w górach i lasach siedząc, księdza jeszcze

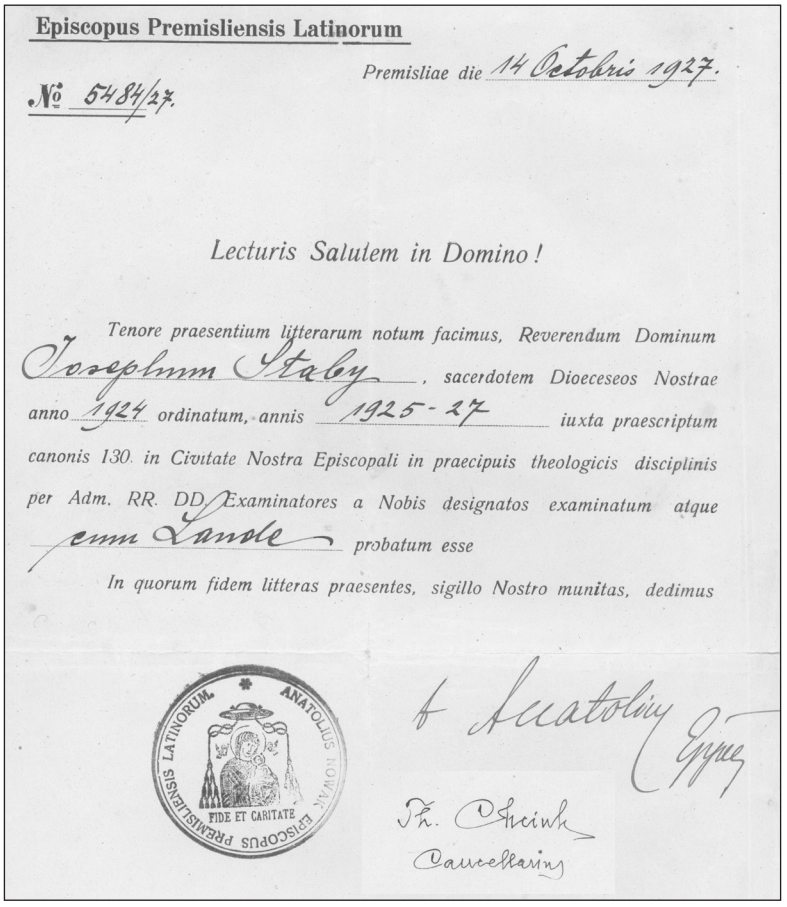

Episcopus Premisliensis Latinorum

Premisliae die 14 Octobris 1927.

№ 5484/27.

Lecturis Salutem in Domino!

Tenore praesentium litterarum notum facimus, Reverendum Dominum Josephum Staby, sacerdotem Dioeceseos Nostrae anno 1924 ordinatum, annis 1925-27 iuxta praescriptum canonis 130. in Civitate Nostra Episcopali in praecipuis theologicis disciplinis per Adm. RR. DD. Examinatores a Nobis designatos examinatum atque cum Laude probatum esse

In quorum fidem litteras praesentes, sigillo Nostro munitas, dedimus

ANATOLIUS NOWAK EPISCOPUS PREMISLIENSIS LATINORUM. FIDE ET CARITATE

nie widziały. Księdza polskiego nie było w tej szkole od niepamiętnych czasów; zmarłych składano do ziemi na wieczny spoczynek bez kapłana, czasem tylko raz na rok ksiądz ruski, staruszek z sąsiedniej odległej wioski szkołę odwiedzał. Tak szlachta w tej wsi mieszkająca, zatraciwszy wyznanie rzymskie, zatracała i narodowość polską. Napoiwszy „Kubę" wracałem z apostolskiej pracy w **Katynie Szlacheckiej** i myślałem kiedy znowu wybiorę się w te strony. Niestety, musiałem iść na inną placówkę.

W Przedzielnicy nie mogłem się zgodzić jako kapłan na warunki podyktowane przez zastępcę prezesa sądu lwowskiego pana **Serkowskiego** i podałem się do dymisji. Chciał abym był nauczycielem, a nie katechetą i uczył 2 godziny religji tygodniowo, zamiast 6 godzin. Obaj byliśmy na audiencji u ks. bpa. Fischera. Ks. bp. stanął na takim stanowisku jak i ja. Pan Serkowski zgodził się na 4 godziny ale bp. nie ustąpił. Zakład został bez księdza, a opiekę nad nim objął z Chyrowa ks. Konopka, który dojeżdżał tam w niedzielę. Ja przeniosłem się na wikarówkę w Dobromilu. Znowu zaczęła się tułaczka jak ongiś na froncie.

W **Dobromilu** byłem katechetą 7 klasowej szkoły, a nadto miałem dwie szkoły na wsi, w Pietnicach. Dowiedziałem się, że za górami, za lasami leży wioska **Katyna Szlachecka**, gdzie jest trochę rzymsko-katolików pozbawionych opieki polskiego księdza i przez to stają się Ukraińcami. Pożyczywszy wierzchowca od posła **Pawłowskiego**, pojechałem tam dwa razy, aby dzieci szkolne, choć raz zobaczyły polskiego księdza. Szkoda, że żadnemu z mych poprzedników nie przyszła taka myśl. Nie trzeba jechać do Afryki na misje i u nas są zakątki misyjne, gdzie ludzie czekają na słowo Boże z utęsknieniem. Z radcą J. **Obertyńskim**, ze starostą **Skoczyńskim**, wicestarostą **Gawendą** i mieszkańcami żyłem w bardzo dobrych stosunkach. Z nauczycielstwem i inspektorem szkolnym

żyłem serdecznie. Na wizytacji ks. Fischer obiecał mi, że tam dłużej posiedzę, zwłaszcza, że jednego roku nie z mojej winy miałem trzy placówki. Po miesiącu dostałem jednak rozkaz wyjazdu na placówkę do **Jedlicza**. Katyna Szlachecka pozostała znowu bez opieki duchowej. Do Jedlicza przeniesiono mnie dlatego, ponieważ w tamtej parafji powstała **herezja hodurowców**, a ks. bp uważał, że ja będę młotem na heretyków. Parafja liczyła 9 tysięcy dusz. Zarazem jako wikary byłem kapelanem w Długiem, w majątku przezacnych hrabstwa **Bobrowskich**, gdzie co tydzień, w kaplicy odprawiałem mszę św. Heretyków imiennie wyklątem z kościoła, a gdy kto się nieodpowiednio zachowywał w kościele, wyrzucałem go za drzwi. Raz jednego, który mi przeszkadzał w kazaniu i upomniany nie chciał wyjść z kościoła, zszedłszy z ambony, uderzyłem w twarz i wyrzuciłem na schody kościelne. I św. Paweł groził, że laską żelazną przyjedzie zrobić porządek w jednym z kościołów. Raz po ślubie, jeden założył czapkę w kościele i wziął dziewczynę pod rękę. Uderzyłem go w twarz aż mu czapka spadła. Wtedy koledzy jego z Potoka, przyszli mu na pomoc i z nożami rzucili się na mnie. Schroniłem się do zakrystji i dość długo wytrzymywałem oblężenie. Sprawa oparła się o sejm, o sąd, trwała dość długo. Ostatecznie bronili się, że byli pijani i zostali skazani na 6 tygodni więzienia.

W kościele w **Polance**, obok **Krosna**, mówiłem: ”Nie rzucajcie pereł między świnie – Nie dawajcie psom świętego – napisane jest w Piśmie Świętym. Te słowa można odnieść do heretyków, hodurowców, w naszej parafji, którzy sobie zbór wystawili na świńskiej targowicy. Dobre wybrali miejsce, całkiem stosowne dla nich”.

Ciężka to była placówka, ale owocna w pracę, bo dobrzy katolicy się cieszyli, że nareszcie znalazł się ktoś, kto robi porządek w kościele. Po roku walk, wszystko się uspokoiło. Założyłem tam koło młodzieży, ku wielkiemu zadowoleniu ks. bp. Nowaka i otrzymywałem pochwały za skuteczne nauczanie religji w szkołach. Przez kilka tygodni byłem administratorem dojeżdżającym parafji w **Łubienku** pod **Żmigrodem**. Gdy stamtąd odjeżdżałem i żegnałem się z nimi płacz ogromny powstał w kościele. Poznałem tam miłych właścicieli dóbr **Przyłęckich**, z którymi się zaprzyjaźniłem.

Innym jeszcze gorzej bywało

Siedząc w cieniu starych lip, paląc papierosa, gdy nagle – jak się masz huknął mi nad uchem kolega, wikarjusz z pobliskiej parafji. „Mój proboszcz, zaczął opowieść, to dziwny człowiek, nic się mu robić nie chce – wylewał żółć nowo przybyły. Zazwyczaj na niedzielę i święta ulatnia się do sąsiadów, a w lecie, sprzedawszy sad, wyjeżdża na wywczasy, a ja muszę po trzy kazania mówić, dwie msze odprawiać, chrzcić, spowiadać, jednym słowem cała praca parafialna spoczywa na mych barkach. Do tego wszystkiego jedzenie bardzo marne. Nieraz po przyjeździe ze szkoły, nie ma co do ust włożyć, bo gospodyni, stara czarownica, powiada, że już dawno po obiedzie. I tak, dzień do dnia podobny, że który był już mi życie zbrzydło. Nie spodziewałem się, że są takie typy. Ale wiesz u Marcina jeszcze gorzej, który był za wikariusza w zapadłej dziurze, nie miał się w co ubrać, przeziębił się w konfesjonale, dostał suchoty i dogorywa. Czytałem wczoraj w gazecie kościelnej jego list, w którym się skarży na ogromną nędzę jaką cierpi. Przy pensji wikarego nie ma żadnych dochodów i głodem przymiera. Spotkałem też Walka. Biedny człowiek. Całą wojnę spędził w okopach a teraz męczą go suchoty. Śpi na wsi u chłopa na sianie, a żywi się z łaski w „taniej kuchni” za bramą Iwonicza jakaś miłosierna kobieta. Naprawdę wierzyć się nie chce, że kiedy jedni mają folwarki i tuczą się, inni umierają z głodu. Ale może się coś zmieni, bo słyszałem, że biskup zamierza wybudować dom dla bezdomnych księży i emerytów.

I jeszcze wiele mówił o swych troskach, narzekał na obłudę, na faryzeuszostwo. A kiedy tak rozmawialiśmy, proboszcz jednego z nich jechał do Seminarium Duchownego, aby upatrzyć nową ofiarę, bo obawiał się, aby wikary po roku nie zmądrzał i nie

stawał okoniem. Wnet przeniesiono ich obu, tam gdzie kolej nie dochodzi. Domu dla kapłanów nie zbudowano, bo nie zgodził się na to zarządca dóbr biskupich. Dla siebie jednak wybudował dwie wille i dostał odznaczenie „za dobre gospodarowanie".

Rodzaj jaszczurczy

Nazywał się Piotr Pędzibyk, ale na teologji rektor go uszlachetnił i zmienił mu nazwisko na Komikowski, albowiem były to jeszcze te dobre czasy kiedy zmiana nazwiska nic nie kosztowały. Trudno jednak było uszlachetnić niepańskie pomysły Pędzibyka. Jadając przy wspólnym stole, wyławiał z wazy wszystkie grubsze dodatki; z półmiska zabierał co najlepiej wyglądające porcje, a po obiedzie obchodził sypialnie, które stanowiły zarazem i mieszkania, a trzymając w pachach buteleczkę prosił o tytoń do bibułeczki i zapałeczkę. W kaplicy siadał najbliżej wyjścia, aby zaraz po modlitwach, mógł wyjść najpierwszy i zanim koledzy zdążyli przyjść do sali on otwarłszy swój ogromny kuferek, zwany „arką", zachłannie napełniał żołądek prowiantami przysłanymi z domu. Nasyciwszy „maćka", kładł się pod pierzynę, którą mu troskliwa mamusia sprawiła i zanim zasął, głośno marzył, jakim on to będzie przykładnym kapłanem. Wprawdzie jeden wytrawny profesor, który nie z jednego pieca chleb jadał, mówił, że klerycy są podobni do małych świnek, które ksiądz Rektor i ojciec duchowny myją, czeszą, ale potem, gdy wyjdą w świat, znowu włażą w błoto i stają się wielkimi świniami. On przysięgał sobie, że nigdy nie będzie świnią. Życie jednak pokazało co innego. Już na wikarówkach staczał walki z proboszczami o jedzenie i opłaty stuły; wyłudzał od naiwnych dewotek pieniądze i meblował się na probostwo. Został też po 8 latach proboszczem a po 15 dziekanem i otrzymał do pomocy wikarego. Wszyscy litowali się nad wikarym, który musiał w niedzielę i święta odprawić dwie msze, mówić dwa kazania, odprawić nieszpory, spowiadać, jeździć do chorych, chrzcić, bo wtedy był maj, więcej pracy w kościele; dziekan wyjeżdżał w „sprawach urzędowych". Gdy był w domu zawsze na obiad i wieczerzę prowadził wikarego do znajomych, aby w ten sposób zaoszczędzić opału i prowiantów. Na placówce żaden wikary nie wytrzymywał dłużej jak rok i potem po pokornej prośbie otrzymawszy przeniesienie, czuł się na innej placówce chociaż gorszej materialnie posadzie jak ten, kto uciekł z kryminału. Takich porochów - gagadków można często spotkać. Co gorsza są oni dziekanami, uchodzą za oko i ucho biskupie i na ich relacjach polega biskup i wydaje wyroki. **Jak się z takimi rozprawi Chrystus? Czyż nie są to wilki w owczej skórze?**

Przez 3 lata byłem w Jedliczu. Współżycie z miejscową inteligencją nie pozostawiało nic do życzenia. W każdym domu czułem się jak u siebie, a oni tak samo u mnie. Ponieważ ks. bp. postanowił usunąć proboszcza, który był przekonany iż stało się to za mą przyczyną, nie chciałem z nim mieszkać pod jednym dachem i jeść przy jednym stole, dlatego poprosiłem o przeniesienie.

W szponach pieniądza

Obiecywano złote góry, mieszkanie urządzone z komfortem europejskim, angażując księdza do nauki religji w gimnazjum w Borysławiu. Po męczącej jeździe, połączonej z kilkakrotnym przesiadaniem, dostałem się nareszcie na miejsce. Skoro zobaczyłem tonące w błocie auta, robotników umorusanych w błocie i raczej do czartów niż do ludzi podobnych, od razu straciłem resztę humoru. Rozglądnąwszy się wynająłem wóz i zawiozłem swe bagaże do wskazanego mieszkania. Jednak już na drugi dzień mój krwawo zdobyty majątek, składający się z szafy, łóżka i kilku krzeseł oraz książek został wyrzucony. Bezdomny zwróciłem się do Żydka, faktora z prośbą o wyszukanie mieszkania. Jest tu jedna wdowa, bardzo porządna kubita, jej syn jest doktorem, ma na swym pokoju

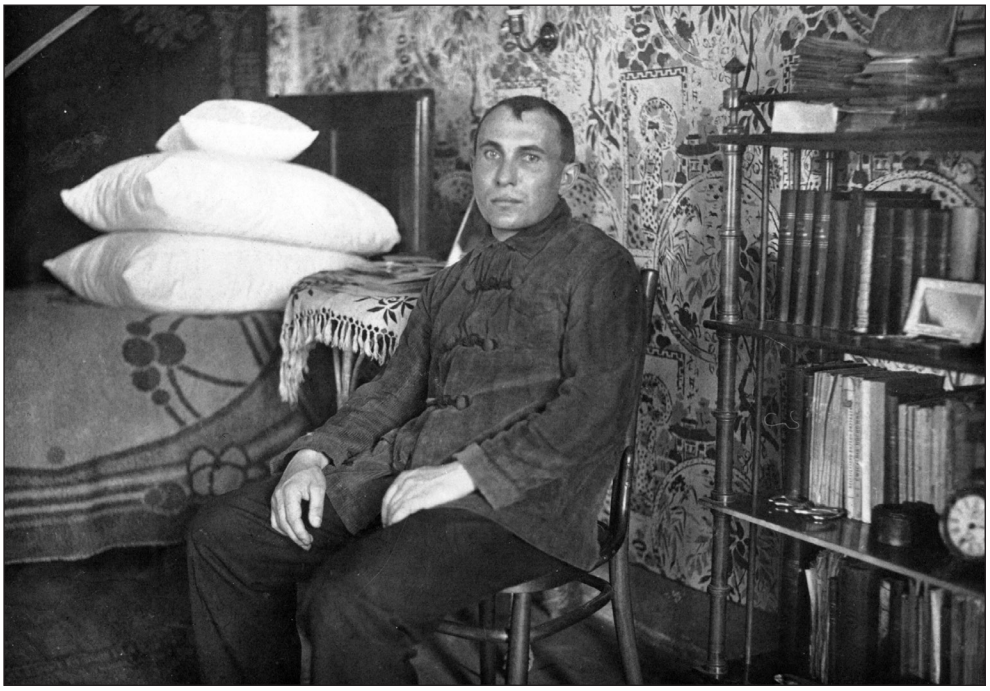

Biskup Przemyski
ob. łać.

L.1169/28.

Przemyśl, dnia 25. lutego 1928.

Do

Wielebnego Księdza

J ó z e f a S ł a b e g o

wikarego

w J e d l i c z u.

Wobec zamianowania dotychczasowego katechety gimnazjum pryw. miesz. w Borysławiu, ks. Adama Chlebińskiego, administratorem in spiritualibus w Jedliczu, przeznaczamy w jego miejsce na stanowisko katechety w Borysławiu Wielebność Twoją, żywiąc nadzieję, że obowiązki te spełniać będziesz z pożytkiem dla dobra Kościoła i Ojczyzny.

~~Co do terminu objęcia tej posady i wogóle co do~~ pracy i t.d. zechcesz się porozumieć z ks. Chlebińskim, który użyczy Wielebności Twojej potrzebnych informacyj.

EPISCOPUS PREMISLIENSIS LATINORUM. ANATOLIUS NOWAK FIDE ET CARITATE

† Anatol Ep

łóżko do odstąpienia, taką propozycję stawiał pośrednik. Nie rób pan z tata wariata i idź do diabła powiedziałem. Żyd jednak chciwy na grosz obiecał, iż dalej będzie czynił poszukiwania. Po kilku dniach znalazł norę za 5 dolarów miesięcznie, a 5 dolarów domagał się za wyszukanie tej spelunki. Nie było innego wyjścia, więc sprowadziłem się do tej obmierzłej spelunki, położonej na peryferiach, z dala od fabrycznego centrum. Ponieważ dom był położony poniżej drogi, kurz wciskał się pomimo zamkniętych okien i pełno go było wszędzie. W czasie deszczu strumienie wody wpadały przez próg; zimą zimno było nie do wytrzymania, a każdej nocy musiałem łowić myszy i rozgniatać obrzydliwe pluskwy. Po roku udało mi się znaleźć lepsze mieszkanie, do którego wchodziło się chyłkiem, szafę i stół trzeba było wciągać przez okno. W czasie wichury łóżko poruszało się jak żywe, bo wiatr przewiewał przez ściany; podczas ulewy tynk opadał ze ściany, a zimą woda zamarzała w dzbanku. Najbardziej wiosna i jesień dokuczały.

Bagno Borysławskie 1927 – 1932

Skarby ziemi ściągnęły do Borysławia ludzi z całego prawie świata. Prócz Polaków, byli Francuzi, Anglicy, Niemcy, Rosjanie, o różnych zabarwieniach politycznych, wszyscy zgrupowani w odpowiednich organizacjach, których liczba sięgała 50. Oficerowie z armii cesarskiej pełnili funkcje sztygarów, pomocników szybowych, szoferów, a między nimi tu i ówdzie zabłąkał się książę, prawnicy, którzy po wojennej maturze, otrzymawszy dyplom, zadzierali nosa do góry, będąc prokurentami bogatych firm. Dyrektor i profesorowie po zdaniu uproszczonych egzaminów stali się wielkimi wychowawcami młodych nowobogackich. Pomiędzy tymi wszystkimi bowiem znajdowali się i ludzie uczciwi, ale znaczna większość była to hołota, która tylko czyhała, aby okraść firmy. Jedni kradli wagonami materiały, inni potrafili ukraść nawet cały szyb, a wszyscy dążyli do tego, aby jak największy zrobić majątek i najwięcej użyć rozkoszy zmysłowych. Mało kto miał własną żonę, a gdy ją nawet posiadał, prócz tego palił kadzidło na ołtarzu, różnych „morowych dziewic". Kiedy kradzież wyszła na jaw, albo kiedy groziło bankructwo, sznurek lub kula kładła kres życiu. W takim to środowisku wychowywało się przyszłe pokolenie, nadzieja całego narodu.

Przyjechałem do zagłębia naftowego do Borysławia i z trudem znalazłem mieszkanie w norze jednego robociarza, z dala od szkoły i kościoła. Byłem bardzo zniechęcony, tylko proboszcz ks. **Karaś** podtrzymywał mnie na duchu. Zorjętowałem się, że wpadłem z deszczu pod rynnę. W Jedliczu prowadziłem walkę z opryszkami, prostakami, tu wpadłem w opresje kapitalistów i karierowiczów, którzy założyli gimnazjum, aby było fabryką dyplomów dla ich potomków męsko - żeńskich jołopów, często umysłowo upośledzonych. Całe grono, zależne od komitetu rodzicielskiego musiało lawirować, aby się tym kacykom nie narazić. Ja szedłem drogą prostą, nie popierałem dzieci bogaczy, ale też nie pozwalałem krzywdzić dzieci robotników. Stąd oburzenie na mnie, że ja się nie nadaję na katechetę, bo mnie ich córki nie kochają. Pojechałem do ks. biskupa i przedstawiłem całą sytuację, mówiąc, że poszedłem tam nie na kochanie, lecz na nauczanie i że nie mogę się zgodzić na ich żądanie, aby w niedziele robić wycieczki i zamiast mszy św. pomodlić się na łonie natury i zaśpiewać „Kiedy ranne", jak to czasem, za tamtego dobrze wychowanego, miłego katechety bywało. Wkrótce cieszyłem się sympatją uczniów, uczennic i całego grona, bo przekonali się, że nie jestem tak zły, za jakiego niektórzy chcieli mnie uważać. Z pracy wychowawczej byłem zadowolony, założyłem Sodalicję Marjańską, jeździłem z młodzieżą na wycieczki w Pieniny, na wystawę poznańską, nad morze. Uczniowie odnosili się do mnie jak do kolegi, ani uczennice, ani uczniowie nie mieli żadnych tajemnic przede mną, zasięgali rady w różnych poufnych sprawach.

Miałem tylko trzech wrogów, których córki nie sympatyzowały ze mną. Oni to, zawsze grzecznie się ze mną witali, do ziemi się księdzu profesorowi kłaniali, a poza oczy

pisali na mnie skargi do biskupa. Biskup wydelegował dziekana na wizytację. Dziekan wydał o mnie jak najlepszą opinję. Pojechałem do ks. bpa. I tam zobaczyłem prośbę tych panów o moje przeniesienie. Biskup jednak zdecydował, że mam dalej trwać na stanowisku. Po roku przyjechał do Borysławia i oświadczył mi, że skargi ustały. Tymczasem zdarzyło się, że syn jednego z magnatów naftowych, bratanek ambasadora przy rządzie francuskim nie zdał matury. Kto winien? Nie uczeń-osioł, ale kierownik gimnazjum i ksiądz, bo gdyby oni chcieli, to on zdałby maturę. Więc poszedł w odstawkę dyrektor, mąż zacny, sprawiedliwy, człowiek nauki, a w jego miejsce przyjęli eks porucznika, zwolnionego ze szkoły kadeckiej ze Lwowa, aksamitnego - jak powiadali, który by im szedł na rękę. Mnie zwolnić nie mogli, bo zaraz po przyjściu oświadczyłem, że kontraktu z nimi nie podpisuję, lecz pozostaję na prawach takich jak inni profesorowie, aż do odwołania mnie przez ks. biskupa. Rok jeszcze (trzeci) pozostałem. Tymczasem zbliżała się matura córek kacyków miejscowych. Strach padł na ojców, abym im nie szkodził przy maturze. Zaczęli w porozumieniu z nowym dyrektorze robić starania o me przeniesienie, ale nie mieli mi co zarzucić. Zostałem do matury. Po maturze, biskup przyjechał na wizytację i widać było u niego nastrój nieprzychylny dla proboszcza i dla mnie. Tak go zdołali nastawić ci, którzy rej wodzili wówczas w Borysławiu. Proboszcz ks. Karaś, który w piekle borysławskim przez 25 lat ciężko pracował i bardzo zniszczył nerwy, zmartwił się takim zachowaniem się biskupa, dostał zapalenia mózgu i umarł, ja zaś podałem się do dymisji, którą biskup przyjął milcząco.

Dziekan drohobycki obiecywał mi, że dostanę posadę katechety w państwowem gimnazjum, gdzie rodzice nie będą mi robić żadnych wstrętów. W tej nadzieji wyjechałem do Lubienia pod Lwów na kąpiele. Ale sprawdziło się powiedzenie, że nadzieja jest matką głupich, bo otrzymałem pismo biskupie, że **jestem mianowany wikarym w Łańcucie.** Mogłem się temu oprzeć, że jest to posada nie równorzędna i jako ubezpieczony w Związku pracowników państwowych, mogłem brać ze związku pełne pobory jakie miałem w gimnazjum, przez 9 miesięcy, bo takie było prawo, ale zrezygnowałem z tej opozycji, aby nie okazać się nieposłusznym, gdyż przy święceniach obiecałem posłuszeństwo ks. biskupowi Fischerowi i jego następcom. Czyż miałem tańczyć tak jak grali kacyki, których bogiem pieniądz, brzuch i cudza żona? Czy miałem zatrzymać dzieci na egzorcie i w kościele, czy iść z nimi do lasu i modlić się o wschodzie słońca na łonie natury, czy miałem brać kubany i sprzedać moje sumienie i patrzyć na demoralizację uczniów i grona? Niestety, sumienie uczciwego człowieka nie pozwalało mi na to, tak jak i panu **Gerstmannowi**, dyrektorowi. Kiedy przy sposobności przyszedłem do Kurji biskupiej w Przemyślu i zastałem tam radców zdążających na sesję, zapytałem, jakie zarzuty mają przeciwko mnie?

Księże Józiu mówił jeden prałat, ja nic nie jestem winny, to pewnie polityka, bo tam jest poseł; drugi mówił - ksiądz przecież wie, że teraz obsada posad zależy nie od nas, lecz od kapelana; a trzeci powiada - trzeba było nic nie robić i cicho siedzieć. Spóźnione uwagi odpowiedziałem, trzeba mnie było tak wychować. Inaczej żeście mnie wychowali. Nie zostałem księdzem od interesu, nie poszedłem na teologję na rozkaz ojca czy matki, miałem ładne stanowisko w państwie. Proszę mi nie przeszkadzać w zwolnieniu się z diecezji. Na tem zakończyłem przemówienie.

Słuchać się nauczyłem w wojsku, usłuchałem i tym razem; przy pomocy kierownika kopalni **Plucińskiego**, zapakowałem me rzeczy, wyjechałem do Łańcuta, myśląc sobie, że gorsze przeżywałem przejścia; nie skarżyłem się, wiedząc, że jest nad nami Ten, który i biskupa będzie sądził. Bogu sąd zostawiłem i nie zawiodłem się. Biskup poszedł na sąd Boży, a moi wrogowie w Borysławiu zostali pohańbieni. Za jakiś czas pojawił się artykuł w prasie, ubolewający nad stanem gimnazjum, mówiący że dyrektora Gerstmanna i katechety – kapitana lepsze były czasy.

Po kilku latach, gdy odwiedziłem Borysław, zastałem z dawnego grona, trzech jeszcze niedobitków, którzy nie chcieli się już w inne strony przenosić, a mój następca, katecheta był bardzo niezadowolony.

Uroczystość poświęcenia sztandaru strzeleckiego w Drohobyczu.

Uroczystość poświęcenia sztandaru Związku Strzeleckiego, Oddziału w Drohobyczu wypadła imponująco, mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych.

W sobotę wieczorem przemarsz oddziałów strzeleckich ulicami miasta przy dźwiękach muzyki wojskowej; w niedzielę pobudka, następnie uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym, celebrowane przez ks. dziekana Dr. Kotulę. Kazanie okolicznościowe wygłosił

Ks. katecheta Słaby.

Wiara jest siłą, wiara jest, potęgą!

Siła i potęga Polski szła z wiary wielkiej. Ta wiara potężna w Boga, ta wiara potężna w sprawiedliwość dziejową przetrwała wieki wśród nas.

Ona w r. 1914. pierwsze formacje polskie, szarego żołnierza z Komendantem w boj o Polskę prowadziła.

Schodzimy się w ważnych chwilach naszego życia narodowego w świątyniach polskich, aby tu przed ołtarzem Boga żywego rozgrzać serca nasze odpowiednio do tradycji. I dziś uroczystość poświęcenia sztandaru strzeleckiego nas tu zgromadziła. Sztandar jest świętością danego Stowarzyszenia, czy też danej formacji bojowej. Jakie on głosi hasła, jakie jego znaczenie nie będę wam mówił, boście to z pewnością z okazji święcenia innych sztandarów słyszeli, ale, jak wspomniałem, odpowiednio do naszych rycerskich tradycyj wspomnieć wam chcę, gdzie to przodkowie nasi czerpali siłę i męstwo, potrzebne do zabezpieczenia bytu naszego narodu i obrony granic państwa.

Zapytajmy przeszłych pokoleń co ich wiązało w jedność, co wlewało miłość w serca i poświęcenie tak wielkie, na jakie tylko męczennicy zdobyć się mogli, a cała historja nie znajdzie innej odpowiedzi, jak tę, że „Polska czerpała i czerpie siłę z wiary katolickiej".

Każnodzieja przytacza przykłady z historji polskiej, z których ujawnia się religijność królów i wodzów polskich a następnie tak mówi dalej:

Żołnierz polski w porównaniu z innymi był zawsze religijny. Kiedy w maju 1918 r. przechadzałem się raz nad brzegiem Morza Czarnego, ze zdumieniem wśród konarów odwiecznej lipy ujrzałem obraz M. P. Częst. Na chwilę spotkałem sierżanta, który mi objaśnił, że żołnierze 90 p. p. służbę pełniłem, bardzo się budowałem postąpowaniem pułkownika. Prawie codziennie raniutko mszy św słuchał. a w maju cały bataljon zapasowy gromadził się na podwórzu przed ołtarzem do odprawienia litanji i „Pod twoją obronę . . .", a oficer inspekcyjny odmawiał modlitwy.

Powstanie Polski z pod trzech zaborów jest cudem wymodlonym przez nas i pułki nasze. Podobnie cudem nad *W*isłą jest zwycięstwo nad bolszewikami.

*W*iary przodków waszych się trzymajcie! Bo tylko religja nasza pobudzić może żołnierza do bohaterskiego poświęcenia się, jakiego wymaga służba wojskowa i miłość ojczyzny.

Pamiętajcie, że ci, którzy pierwsi mundur nosili i życie za Ojczyznę dali, „rzucając na stos — swój życia los", wołają do was: „Zostawiliśmy wam Ojczyznę wolną. Zdjęliśmy z niej okowy. *W*aszem obowiązkiem jest tej Ojczyzny strzedz!"

Na was spogląda dziś z pod zasłony wieków przeszłość. Na was spogląda współczesność! Prezydent Rzpltej, Komendant, Dow. korp., instruktorowie i ci, którzy wam ten sztandar sprawili.

Na was przedewszystkiem spogląda Bóg!

*W*ięc bądźcie wzorem i przykładem, jak Ojczyźnie służyć należy w czasie pokoju, a gdy was do obrony swej powoła, krwi jej nie żałujcie.

Prośmy Boga, aby wojsko polskie było religijne, by jak w zaraniu dziejów przewodniczką jego była Boga Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona, Marja.

Amen

W Łańcucie

KOMENDA GARNIZONU ŁAŃCUT
L.dz. 8043./31.-
Łańcut, dnia 22.XII.1931 r.-

L E G I T Y M A C J A T Y M C Z A S O W A

dla Księdza S Ł A B E G O Józefa [redacted]
pełniącego obowiązki kapelana garnizonu ŁAŃCUT.

10 PUŁK STRZELCÓW KONNYCH

Komendant Garnizonu:
/ S K U R A T O W I C Z /
pułkownik.-

Przyjechałem do Łańcuta; wikarówka tam uchodzi za najlepszą w diecezji. I w rzeczy samej, miasto powiatowe, stacja kolejowa w miejscu, pociągi pospieszne, kościół piękny, plebanja mniej sympatyczna, bo budynek poklasztorny po Jezuitach od lat 30 nie odnawiany, ale w porównaniu z innymi placówkami odległymi od toru kolejowego, gdzie djabeł dobranoc powiedział – placówka wymarzona. Na samym początku, stary 70 letni proboszcz, prałat **Mazanek**, mąż uczony, dawny inspektor szkół, który w Małopolsce wzniósł szereg szkół i w Łańcucie seminarjum nauczycielskie żeńskie wybudował własnym kosztem i przez lata długie był w nim dyrektorem, powitał mnie serdecznie. Po jakimś czasie obserwowania mnie, pyta prałat, czy mnie kto z Kurji nie uprzedzał

do niego, bo już jeden taki wypadek zaszedł. Ja nie będę Księdzu Prałatowi gwoździem do trumny powiedziałem, choć rozeszła się o mnie pogłoska, że usunąłem proboszcza z Jedlicza. Jednak obawiam się czy dam sobie tu radę, bo chociaż jest trzech wikarych, ale parafja wielka, służbę co trzeci tydzień trzeba pełnić dzień i noc, a ja w okopach nabawiłem się reumatyzmu i właśnie wracam z kąpieli, z których już 10 rok korzystam. Zresztą zawiodłem się w moich marzeniach i **prawdopodobnie wyjadę na misje w dzikie afrykańskie kraje,** bo mi pseudokultura i europejska pseudo cywilizacja obrzydła i czasem żałuję, że nie zginąłem na wojnie.

POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE

CENTRALA W WARSZAWIE

AL. JEROZOLIMSKIE Nr. 33 m. 29.

ODDZIAŁY P. T. E.
Białystok, ul. Kilińskiego 16.
Brześć n/Bugiem, ul. Jagiellońska 16.
Kielce, Żelazna 13.
Lwów, ul. Kubasiewicza 3.
Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 46.
Łódź, ul. Piotrkowska 104 (Kuratorjum).
Łuck, ul. Jagiellońska 91.

TELEFONY:
Zarząd i biuro 305-63.
Redakcja „Wychodźcy" 305-63
Hotel Emigracyjny 312-60.

Rachunki w P. K. O. Ogólny Nr. 2932.
„Wychodźca" Nr. 4909.
Dział przedsiębiorstw Nr. 10008.

L. Dz. 2148/Pr/31. Warszawa, dn. 14 września 1931 r.

Wielebny Ksiądz
Józef SŁABY
w Łańcucie.

W odpowiedzi na kartę WKsiędza z dnia 7/IX. b.r. uprzejmie komunikujemy, że sprawą wysyłania księży na tereny emigracyjne zajmuje się Kurja Metropolitarna w Poznaniu, gdzie należy się zwrócić po informacje w tej sprawie.-

Z poważaniem
KIEROWNIK BIURA CENTRALI P.T.E.
/CZESŁAW UHMA/.

AB.

Ministerstwo Spraw Wojskowych
Biuro Personalne

Odpis

L.472/32.
Tel.
R.
Kapelan rez. ks.Słaby Józef
powołanie do służby czynnej
na stan. administratora para-
fji wojsk. w Krzemieńcu

Warszawa, dnia 22 kwietnia 1932.r.

Poufne

Powołuję do służby czynnej kapelana rezerwy ks.Słabego Józefa i przedzielam na stanowisko administratora parafji wojskowej w Krzemieńcu, niezmieniając jego obecnego charakteru kapelana rezerwy.

Przemianowanie kapelana rezerwy ks.Słabego Józefa na kapelana zawodowego nastąpi po uzyskaniu warunków przewidzianych Rozp. MSWojsk.Oddz.V.Sat.Gen.L.24755.V.Org."Dziennik Rozkazów Wojskowych Nr.33/23.-

Obowiązek zgłoszenia się kapelana rezerwy ks.Słabego Józefa do służby czynnej w terminie 4-o tygodniowym od daty pisma P.K.U zawiadamiającego o powołaniu, reguluje Dziennik Rozk.Nr.30/25 poz.314.-

W imieniu Ministra Spraw Wojsk.
w/z /-/ Kominkowski ppłk.

Otrzymują :

Polowa Kurja Biskupia w/m.
D.O.K.II.Dziekan Katolicki,
Ks.Słaby Józef Łańcut,

Za zgodność odpisu :
Łańcut, dnia 28 kwietnia 1932.r.

KOMENDANT P.K.U.
/-/ Rymsza, mjr.

W Bogu od czasu, gdy doszedłem do używania rozumu, położyłem nadzieję i nie zawiodłem się, po raz nie wiem który. Spełniły się moje marzenia, zostałem kapelanem armji do której powstania też w maleńkiej cząstce się przyczyniłem mym znojem i krwią. Placówkę dostałem wymarzoną w zakątku, zwanem polską Szwajcarją. Wprawdzie z dala od świata, bo pociąg już dalej nie dochodzi, z dala od miasta, na polu, ale tam bliżej Boga, który przemawia w ciszy i spokoju. Parafja wojskowa – rzymsko – katolicka w **Krzemieńcu – 12 pułk Ułanów Podolskich,** oto me miejsce pobytu od 1 maja 1932 roku.

Koszary garnizonu w Białokrynicy

Kościół w koszarach, z cerkwi przerobiony, doprowadziłem do porządku. Za mych czasów wstawiono

Święto pułkowe 12 p. uł. Podolskich

Pułk strzegąc swych tradycyj, obchodził w dn. 7 maja r. b. swoje święto pułkowe. Dzień ten acz kolwiek obchodzony był ściśle w ramach wewnętrznych pułku — to jednak wypadł nader uroczyście.

W przeddzień wieczorem o godz. 20 na boisku sportowem pułk zebrał się w szyku pieszym przy świetle pochodni, ustawiając się w czworobok. Odczytano listę oficerów, podoficerów i ułanów, poległych w obronie granic ojczyzny. Przy stłumionych dźwiękach marsza żałobnego dowódcy szwadronów odpowiadali „poległ na polu chwały", podając dokładną datę i miejsce. Długa lista poległych świadczy, że pułk dla ojczyzny ofiar swych nie szczędził, bowiem 133 poległych przeszło do historji pułku. Nie jednemu z tych, którzy w pułku jeszcze służą, jak również i tym, którzy na święto pułkowe przybyli, rzewna łza w oku stanęła na wspomnienie o poległych towarzyszach, bitwach, utarczkach.

Po odczytaniu listy poległych wśród żałegłej ciszy d-ca pułku ppik. dypl. Rakowski Bronisław wygłosił do zebranego pułku szczere żołnierskie przemówienie, wyjaśniając znaczenie święta i składając imiona poległych współbraci dla chwały ojczyzny i pułku. Na zakończenie pluton trębaczy odegrał marsz pułkowy na ich cześć, którego pułk wysłuchał, prezentując broń.

Następnego dnia o godz. 10 odbyła się polowa msza św., którą odprawił ks. kapelan Słaby, kończąc ją podniosłem kazaniem. Po mszy św. d-ca pułku apelował do ułanów, aby nie szczędzili pracy i ofiar dla kraju i aby stali się godnymi żołnierzami pułku oraz wzniósł okrzyk na cześć p. Prezydenta i Pierwszego Marszałka Polski, co też z zapałem zostało podchwycone w szeregach szwadronów. Poczem odbyła się defilada pułku w kolumnie plutonów rozwiniętych.

O godz. 13 cały pułk przy uprzednio zastawionych stołach na boisku sportowem, zasiadł do wspólnego obiadu żołnierskiego z dowódcą pułku na czele.

O godz. 15 rozpoczęły się popisy konne i piesze. Oprócz konkursu hippicznego oficerskiego i podoficerskiego, odbyły się międzyszwadronowe zawody we władaniu bronią białą i pieszego biegu sztafety. W obu konkurencjach zwyciężył szwadron karabinów maszynowych. Szwadron szkolny wykonał bardzo efektowne i udane pokazy gimnastyczne oraz żywe piramidy. Na zakończenie zawodów dowódca pułku wręczył nagrody zawodnikom.

W dniu swego święta pułk wykazał dużą sprawność organizacyjną i wyszkoleniową.

Wieczorem w kasynie oficerskiem i podoficerskiem odbyły się zabawy taneczne dla rodziny wojskowej.

Miłą niespodzianką dla pułku było przybycie na święto dawnych oficerów pułkowych: płk. Rudnickiego Zygmunta, mjr. Turkiewicza Józefa i mjr. Miłkowskiego.

M. M.

Zakończenie kursu Szkoły Podoficerskiej w 12 p. ułanów Podolskich

W b. m. zakończony został kurs szkoły podoficerskiej w 12 p. ułanów.

Na intencję pomyślnego ukończenia kursu ks. kapelan Słaby odprawił mszę św., wygłaszając do uczniów szkoły okolicznościowe kazanie.

Po mszy św. odbyła się defilada, którą przyjął

Poświęcenie ołtarzy w kościele garnizonowym w Krzemieńcu. — Dn. 2.XI. 1932 r. ks kpl. Słaby Józef dokonał poświęcenia dwóch ołtarzy w kościele garnizonowym w Krzemieńcu. Ołtarze te zostały ufundowane przez korpus oficerski i podoficerski. Wykonane zostay z drzewa dębowego, z których jeden został poświęcony czci N. Serca P. J., a drugi Matki Bożej. Po bokach umieszczone zostały nazwiska 19 oficerów i 133 podoficerów i ułanów poległych za Ojczyznę. J. E. Ks. Biskup Polowy wyraził szczególne podziękowanie ofiarodawcom za tak hojny dar dla odbudowanego kościoła garnizonowego.

Zycie religijne w wojsku na Kresach wschodnich.

Bawiąc od trzech miesięcy na Kresach wschodnich, miałem możność zaobserwować życie religijne naszych żołnierzy w garnizonie krzemienieckim, gdzie jest stacjonowany 12 pułk ułanów podolskich.

Przez cały maj ze szwadronów o godzinie 7 wieczorem rozlegały się śpiewy litanji a następnie „Wszystkie nasze dzienne sprawy". W niedzielę po nieszporach procesja z Najśw. Sakr. Na zakończenie majowego nabożeństwa, oraz w Boże Ciało i na uroczystość Serca P. J. garnizon krzemieniecki piękny przedstawiał widok. Cienie już okryły ziemię. Zapadał zmrok, gdy pułk z oficerami wyruszył do kościoła położonego w koszarach, aby wziąć udział w uroczystej procesji.

Przy dźwiękach orkiestry posuwała się procesja wokoło kościoła. Pod baldachimem kapelan, dowódca pułku, zastępca dowódcy, a potem na zmiany dowódcy szwadronów. Ze schodów kościoła, po zakończeniu procesji proboszcz błogosławił monstrancją żołnierzy. Prawosławni przejeżdżając szosą obok położoną zatrzymali konie i odkryli głowy spoglądając na tę poważną ceremonję.

Koszary stoją na polu 8 km. od miasta, 2 km. od wiosek. To też codziennie „Kiedy ranne wstają zorze" oraz wieczorem „Anioł Pański" i „Wszystkie nasze dzienne sprawy" rozlegają się daleko wokoło, a wojsko przypomina ludności cywilnej ich obowiązek wobec Boga.

Razu pewnego szwadron, wyjechawszy o 8-ciej rano na ćwiczenia, jadąc przez wieś zdjąwszy czapki, z koni śpiewał modlitwy poranne, a ludzie ubudziwszy się wybiegali z domów patrzeć co się dzieje i budowali się widokiem polskiego ułana.

spektywa opanowania Prus Wschodnich bardzo przypada do serca politykom obozu narodowo-demokratycznego i że, dzięki temu, jest nadzieja uzyskania od Sejmu ustępstw co

Ks. kapelan przepłoszył z pociągu bandytów

LWÓW, 29.11 (tel. wł.) Do pociągu, jadącego ze Lwowa do Równego, zakradło się 4-ch bandytów, którzy zaatakowali kapca Zieglera, usiłując skraść mu pakunek z towarami. Jadący w tym wagonie kapelan 12-go pułku ułanów, ks. Słaby, chwycił za rewolwer i wypalił do wyskakującego z pociągu bandyty.

Na drugim końcu wagonu operowało dwu innych opryszków, szamocząc się z pasażerami. Ks. Słaby pośpieszył z wyciągniętym rewolwerem w tę stronę i przepłoszył bandytów, którzy wyskoczyli z wagonu. Dzielna postawa ks. Słabego uratowała podróżnych przed rabunkiem.

W 12 P. UŁ. PODOLSKICH

Czternastą rocznicę odzyskania niepodleg obchodził nasz pułk bardzo uroczyście. Po r św. i przemówieniu ks. kapelana Józefa Słab d-ca pułku ppłk. dypl. Bronisław Rakowski czył całemu korpusowi oficerskiemu i podof skiemu odznaki P. O. S. poczem w krótkich ierskich słowach skreślił ważność dnia 11 bada, jako święta narodowego Polski; nówienie swoje zakończył okrzykiem na Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pierws Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Na zakończenie uroczystości d-ca pułku ł defiladę. Mimo kilkudniowej zaledwie s owo-wcielonego żołnierza, szwadrony prz zerowały dziarsko przy dźwiękach orkiestry kowej wzbudzając entuzjazm wśród licznie branego tłumu.

Wieczorem odbyła się w świetlicy pułk roczysta akademja. Słowo wstępne wy ficer oświatowy pułku ppor. Krüger Józe eklamacje ppor. Zbroski jan. Zespół teatru ierskiego 12 p. uł. podolskich odegrał jedno ową sztukę ludową „Do broni".

2 ołtarze, główny i boczny, bo jeden boczny zastałem, ambonę, zaprowadzono elektrykę, zaciągnięto dzwon i sygnaturkę, urządzono wieżę kościelną i chór, wstawiono wiele szyb.

Świątynia miła i pociągająca. Gromadzą się w niej nie tylko ułani i rodziny wojskowe, lecz także katolicy z okolicznych wiosek. Po dwuletniej pracy nauczyli się śpiewać litanję do M.B. w czasie majowego nabożeństwa, oraz kilka najpotrzebniejszych pieśni. Z początku miałem wrażenie, że jestem wśród dzikusów i nie można było przez maj 1932 odprawić nabożeństwa majowego. Teraz wciągnęli się w chodzenie do kościoła i śpiewanie.

Kiedy odwiedziłem szkoły okoliczne, dzieci witały mnie pozdrowieniem „dzień dobry". Nauka religji katolickiej była całkiem zaniechana, stwierdziłem to z bólem serca. Wziąłem się zaraz do pracy, aby w maju i czerwcu nadrobić materjał za cały ubiegły rok co mi się udało i urządziłem spowiedź i komunję świętą. Tym, którzy pierwszy raz przystąpili do komunji świętej rozdałem duże obrazki, które mi jeszcze z dawnych czasów pozostały. Do szkoły w **Liszni** daleko położonej, jeździłem konno kilka razy, bo tam nauczycielka dobrze uczyła religji.

Jesienią 1932 roku zostałem przydzielony do **43. p. p. Bajończyków** na manewry. I oto znowu znalazłem się tam, gdzie po raz pierwszy w roku 1916, wziąłem chrzest ogniowy, jako kadet, gdzie w 1919 roku, walczyłem z bolszewikami – pod **Kiwercami** i **Rożyszczem**, jako porucznik.

Pluton techniczny wystawił ołtarz polowy i przez cztery niedziele odprawiałem mszę świętą na tem miejscu, gdzie kilka lat temu zmagały się wojska, gdzie wybuch granatów zapełniał jękiem powietrze, gdzie lała się krew, gdzie konali w mękach żołnierze. W pobliżu odkryliśmy dwa opuszczone, zarośnięte cmentarze wojskowe, które doprowadziliśmy do porządku, ogrodziliśmy i ustawili na grobach brzozowe krzyże. Tak to stary żołnierz pamięta o swych kolegach, którzy padli w ciężkim boju. W każdej mszy świętej modlę się za tych, którzy zginęli na wojnie, zwłaszcza za tych, którzy padli pod mojem dowództwem, a jakieś dziwne, rozdzierające serce i tkliwe uczucie opanowywało mnie, gdy mszę odprawiałem na dawnem polu walki.

We Włoszech

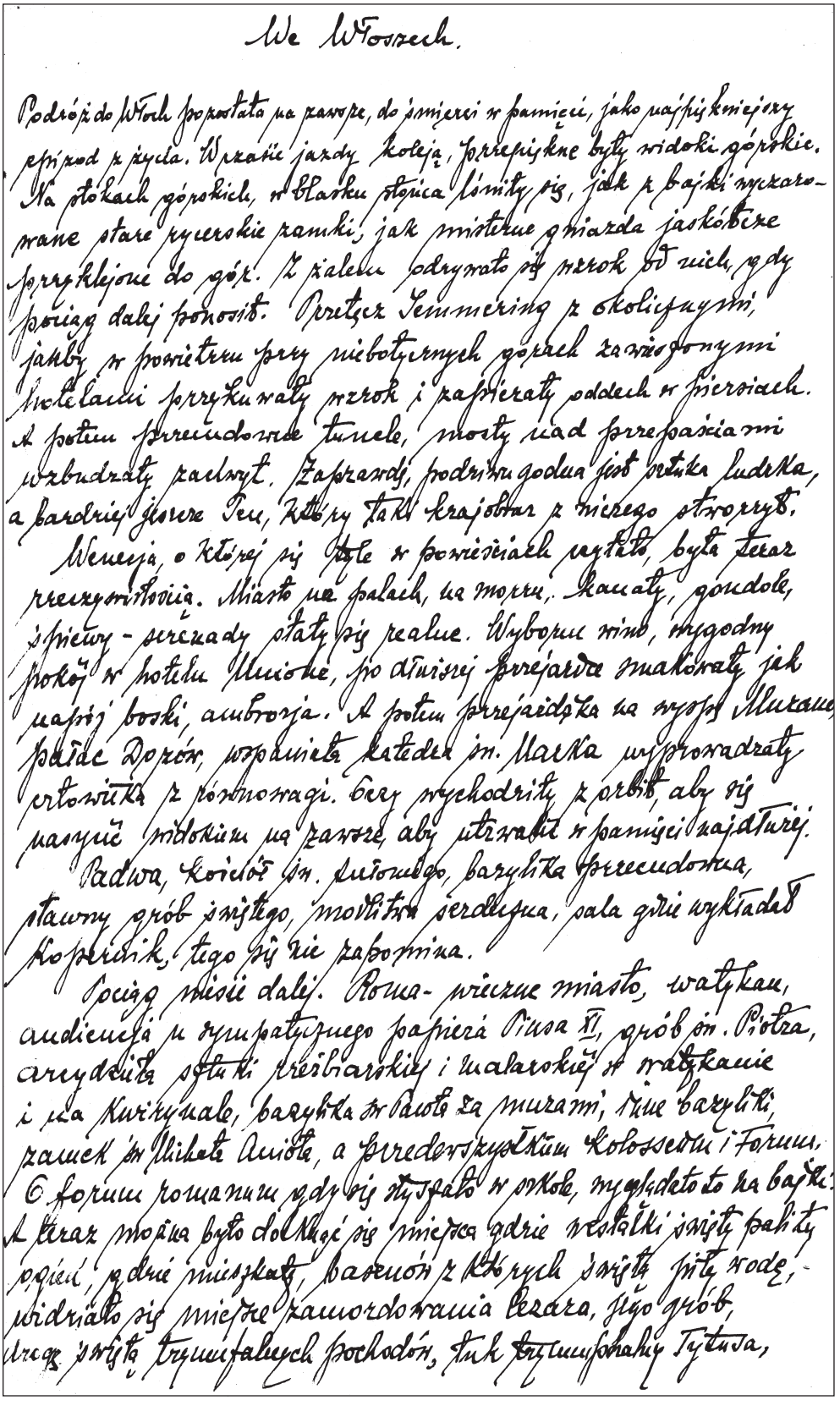

We Włoszech.

Podróż do Włoch pozostała na zawsze, do śmierci w pamięci, jako najpiękniejszy epizod z życia. W czasie jazdy koleją, przepiękne były widoki górskie. Na stokach górskich, w blasku słońca lśniły się, jak z bajki wyczarowane stare rycerskie zamki, jak misterne gniazda jaskółcze przyklejone do gór. Z żalem odrywało się wzrok od nich, gdy pociąg dalej ponosił. Przełęcz Semmering z okolicznymi, jakby w powietrzu przy niebotycznych górach zawieszonymi hotelami przykuwały wzrok i zapierały oddech w piersiach. A potem przecudowne tunele, mosty nad przepaściami wzbudzały zachwyt. Zaprawdę, podziwu godna jest sztuka ludzka, a bardziej jeszcze Ten, który taki krajobraz z niczego stworzył.

Wenecja, o której się tyle w powieściach czytało, była teraz rzeczywistością. Miasto na palach, na morzu, kanały, gondole, śpiewy - serenady stały się realne. Wyborne wino, wygodny pokój w hotelu Unione, po dłuższej przejażdżce smakowały jak napój boski, ambrozja. A potem przejażdżka na wyspę Murano, pałac Dożów, wspaniała katedra św. Marka wyprowadzały człowieka z równowagi. Oczy wychodziły z orbit, aby się nasycić widokiem na zawsze, aby utrwalić w pamięci najdłużej.

Padwa, kościół św. Antoniego, bazylika przecudowna, sławny grób świętego, modlitwa serdeczna, sala gdzie wykładał Kopernik, tego się nie zapomina.

Pociąg niesie dalej. Roma - wieczne miasto, watykan, audiencja u sympatycznego papieża Piusa XI, grób św. Piotra, arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej i malarskiej w watykanie i na Kwirynale, bazylika św. Pawła za murami, inne bazyliki, zamek św. Michała Anioła, a przedewszystkiem Kolosseum i Forum. O forum romanum gdy się słyszało w szkole, wyglądało to na bajki. A teraz można było dotknąć się miejsca gdzie westalki święty pality ogień, gdzie mieszkały, basenów z których świętą piły wodę, widziało się miejsce zamordowania Cezara, jego grób, drogę świętą tryumfalnych pochodów, łuk tryumfalny Tytusa,

świątynię Romulusa i Remusa, dom gdzie mieszkał Pontifex Maximus, najwyższy arcykapłan, stadjon gdzie zginął św. Sebastjan, oraz wiele, wiele innych rzeczy, na które się wieki składały. Jakie uczucia wtedy przepełniały duszę, to nie da się opisać, nie da się wyrazić.
Zdawało się, że się ma 18 lat, nie chciało się opuszczać tych zabytków.

„Widzieć Neapol, a potem umrzeć" powiadają Włosi, A więc jazda do Neapolu, gdzie się cud św. Januarego powtarza 2 razy w roku, gdzie wre jego krew zamknięta we flaszce, gdzie jest piękne akwarjum, skąd widać dymiący Wezuwjusz.

Pompea, odkopana ukazuje na setki lat przed Chrystusem istniejące świątynie z ołtarzami ofiarnymi, domy przepiękne, mozaikową studnię, malowidła, których niewiastom oglądać nie pozwalają, piekarnię, oraz muzeum, gdzie leżą ogromne skamieniałe pokryte lawą ciała ludzkie, świadczące o nadmiernym wzroście kobiet, psa skamieniałego na obroży, o zrozpaczonym wyglądzie.

Wyspa Capri o lazurowej grocie nastrój odpowiedni wywołuje.

W drodze powrotnej Florencja. Wspaniała katedra, Arcydzieła sławnego z dłuta Giotta, sławne drzwi kościelne, baptisterjum, teatr polowy, wspaniała galerja obrazów, miejsce spalenia Sawonaroli.

Cała historja odżyła w pamięci, dusza została nasycona wrażeniami, które zginą dopiero ze śmiercią.

Źle jest gdy się niema pieniędzy, aby można poznać te cudowności, a głupi ten, który mając pieniądze nie zwiedza rzeczy godnych widzenia, co sprawia radość duszy i uszlachetnia człowieka.

Ks.Józef SŁABY kapelan
Garnizonu Krzemieniec.

Nr.05

Krzemieniec dnia 21/4.1933 r.
prośba o przemianowanie na
kapelana sł.czynnej.

Pan Minister Spraw Wojskowych

w Warszawie.

droga służbowa.

Pismem M.S.Wojsk.Biuro Pers.L.472/32 z dnia 22 kwietnia 1932 r.zostałem powołany z rezerwy na stanowisko administratora parafji wojskowej w Krzemieńcu.Obowiązki zacząłem pełnić z dniem 1 maja 1932 r.- Przed 1 maja 1932 byłem kapelanem pomocniczym przy 10 p.strzelców konnych w Łańcucie,a od 1.III.1928 r.do 1.VII.1931 r.pełniłem obowiązki kapelana w Strzelcu,P.W.i W.F. w Borysławiu jak to stwierdza załączone pismo.

Ponieważ czas próbny prawem przepisany min prosze o przyjęcie mnie w stan czynny,oraz o przyzna mi odpowiedniego starszeństwa w uwzględnieniu mej sł jako oficera w armji czynnej od 1.XII.1918 r. do 1.X

Ks.Słaby Józef

2 pułk ułanów podolskich Krzemieniec,dnia 7 grudnia 1933 roku

Rozkaz Dzienny Nr.361.

Oficer służbowy- ppor.Kawa Dyżurny pisarz st.wachm.Roman
Zca - plut.Nepko Dyżurny trębacz kpr.Zyska
Dyżurny san.med.z 2 szwadronu
Warta pułkowa zbiorowa.
Dowódca warty z 1 szwadronu,rozprowadzający z 2 szwadronu
Posterunki dzienne: 1,3 i KM.szw.po 1 ułanie,4 szwadron 2-ch ułanów
Posterunki dodatkowe:1,3 i KM.szw.i Pl.łączn.po 1 ułanie

Część personalna

L.Ksiądz kapelan Słaby Józef - Przemianowanie.

Rozporządzeniem MSWojsk.Gabinet.Ministra Nr.0512-3/G.M. z grudnia 1933 roku - został przemianowany na zawodowego kapelana wojskowego, na podstawie art.6, 80 i 121 ustawy z dnia 23/III.1922 roku o podstawowych obowiązkach i prawach Oficerów R.P.,oraz art.2 ustawy z dnia 2/VII.1926 roku /Dz.Ust.R.P.Nr.86/25 poz.568/ i art.2 dekretu Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa z dnia 15/VII.1920 roku o ustaleniu nazw stopni duchowieństwa wojskowego.-
w duchowieństwie wojskowem /wyznania rz.m.kat./
w stopniu kapelana ze starszeństwem z dnia 1/VI.1932 roku

Ksiądz Kapelan SŁABY JÓZEF - lokata 1-sza.

Odysseusz dalej się błąka.

Działo się to w tej części ziemi przeworskiej, w której ongiś harce wyprawiał „djabeł Stadnicki." Mróz dochodził do 20° Cel., mimo, iż było to dopiero z początkiem zimy. Wichura szalała, a śnieg co chwila uderzał w szyby. Jednem słowem, był taki czas, o którym ludzie powiadają, że trudno psa wypędzić z domu."

Tejże fatalnej nocy pukał do mieszkania ks. wikarego stary sługa kościelny. Kto tam – zawołał wikary. Do chorego, proszę księdza, a prędko, bo umiera. Wikary przetarł oczy, zaświecił, popatrzył na zegarek, było w pół do 12. O Boże, jęknął, w taki czas, no trudno, i zaczął się ubierać. Służba nie drużba, mówił do siebie idąc do kościoła, na wojnie jeszcze gorzej czasami bywało, zresztą niejedną noc spędziło się na hulance, trzeba to odpokutować.

Wziąwszy kom. Św. siadł na sanie i jechał godzinę przeszło wśród szalejącej zawieji śnieżnej, aż naresznie zobaczył chatupę ukrytą wśród drzew i bladeświatełko. Wygramoliwszy się z sań, wszedł do izby i udzielił Św. Sakramentów młodej kobiecie, która po urodzeniu dziecka cierpiała na [illegible].

Gdy nad ranem znowu obudził go kościelny, aby poszedł do chorej, ale już nie daleko. Wróciwszy do domu, nie kładł się do łóżka, bo o 6 miał zacząć roraty. O godzinie 10 odebrał od żołnierzy świeżo zaciągniętych przysięgę i wygłosił do nich mowę. My, starsze pokolenie, o głodzie i chłodzie, walczyliśmy o Polskę, krwią wytyczaliśmy granice Naszej Rplitej, waszym zaś obowiązkiem jest te granice [illegible]. Macie się w sztuce wojskowej ćwiczyć, do życia twardego spartańskiego się przyzwyczaić, bo nieprzyjaciele nasi nie śpią. W razie potrzeby macie być murem obronnym, macie dowieść, że w waszych żyłach płynie krew bohaterów, że rycerski duch w Polakach nie zamarł. Dziś złożyliście przysięgę. Dochowajcie jej, pamiętajcie, że kto przysięgę naruszy, „biada temu za życia biada i biada jego złej duszy."

Po nabożeństwie odbyła się defilada, przed szkołą im. H. Sienkiewicza. Wśród odbierających defiladę stał też wikary w płaszczu oficerskim i kapitańskiej czapce. Był bowiem i kapitanem i kapelanem w rezerwie. Przypadkiem rzucił okiem poza siebie i zobaczył wmurowaną tablicę w ścianie szkoły, a na niej odczytał imię i nazwisko swego kolegi, porucznika, podwładnego mu dowódcy kompanji, z którym dzielił trudy wojenne, z którym na wyprawy chodził w r. 1919 na Polesiu. Oto on, serdeczny kolega, spoczywa na miejscowym cmentarzu, a jego dowódca jest kapłanem. Na drugi dzień, za duszę porucznika Jana Nawrota odprawiał kapitan rez. mszę św. Tak to dziwnie bywa na świecie.

Organizm zniszczony reumatyzmem oraz odniesionemi ranami nie mógł podołać tak ciężkiej pracy dlatego wikary prosił o zwolnienie. Otrzymał je, a równocześnie został mianowany kapelanem pułku ułanów, stacjonowanego na Podolu.

Oto są dzieje oficera, który „porzucił rangę dla nieba awansu,
stanął na placu z Boga ordynansu".

Życie religijne w wojsku na Kresach wschodnich.

Bawiąc od trzech miesięcy na Kresach wschodnich, miałem możność zaobserwować życie religijne naszych żołnierzy w garnizonie krzemienieckim, gdzie jest stacjonowany 12 pułk ułanów podolskich.

Przez cały maj ze szwadronów o godzinie 7 wieczorem rozlegały się śpiewy litanji a następnie „Wszystkie nasze dzienne sprawy". W niedzielę po nieszporach procesja z Najśw. Sakr. Na zakończenie majowego nabożeństwa, oraz w Boże Ciało i na uroczystość Serca P. J. garnizon krzemieniecki piękny przedstawiał widok. Cienie już okryły ziemię. Zapadał zmrok, gdy pułk z oficerami wyruszył do kościoła położonego w koszarach, aby wziąć udział w uroczystej procesji.

Przy dźwiękach orkiestry posuwała się procesja wokoło kościoła. Pod baldachimem kapelan, dowódca pułku, zastępca dowódcy, a potem na zmiany dowódcy szwadronów. Ze schodów kościoła, po zakończeniu procesji proboszcz błogosławił monstrancją żołnierzy. Prawosławni przejeżdżając szosą obok położoną zatrzymali konie i odkryli głowy spoglądając na tę poważną ceremonję.

Koszary stoją na polu 8 km. od miasta, 2 km. od wiosek. To też codziennie „Kiedy ranne wstają zorze" oraz wieczorem „Anioł Pański" i „Wszystkie nasze dzienne sprawy" rozlegają się daleko wokoło, a wojsko przypomina ludności cywilnej ich obowiązek wobec Boga.

Razu pewnego szwadron, wyjechawszy o 3-ciej rano na ćwiczenia, jadąc przez wieś zdjąwszy czapki, z koni śpiewał modlitwy poranne, a ludzie ubudziwszy się wybiegali z domów patrzeć co się dzieje i budowali się widokiem polskiego ułana.

Nad życiem relig. pułku czuwa ppułkownik dyplomowany profesor szkoły wyższej wojskowej Bronisław Rakowski, który wie, że tylko religja może pobudzić żołnierza, do bohaterskiego poświęcenia, jakiego wymaga służba wojskowa. Obowiązki kapelana pełni Ks. Józef Słaby, ongiś oficer z wojny światowej, kapitan 14 p. p. obrońca Włocławka w r. 1920, potem katecheta gimnazjalny, a teraz proboszcz ułanów podolskich. Oprócz pracy w pułku, widać go jak konno objeżdża wioski pozbawione kapłanów i naucza religji, niczem misjonarz gdzieś w Afryce.

Podaję to do wiadomości, aby potomni brali sobie wzór z obecnych czasów, jak my nieraz bierzemy z przeszłości. **Dr. A. M.**

Kapelan polskich ułanów przepędza bandytów.

Z Krzemieńca donosi (dr. G.): Do pociągu, zdążającego ze Lwowa do Równego, nocą z 24 na 25 bm. zakradło się na stacji Lwów-Podzamcze czterech opryszków. Dwóch z nich wsiadło do wagonu t. zw. krzemienieckiego, w którym jechał kupiec Ziegler z towarami, oraz kapelan 12 p. ułanów, ks. Słaby. Jeden z bandytów usiłował skraść z pod głowy kupca pakunek z towarami, tudzież czamarę ks. kapelanowi. Zbudzony kupiec chwycił bandytę, który jednakże zdołał umknąć. Wówczas kapelan wypalił z rewolweru w momencie, kiedy bandyta wyskakiwał z pociągu.

Tymczasem na drugim końcu wagonu operowało dwóch innych opryszków. Pasażerowie słysząc wystrzał, zaalarmowali kapelana, który z wyciągniętym rewolwerem podążył w stronę opryszków i wystrzałem usiłował ich ubezwładnić. Kule chybiły i bandyci zdołali umknąć.

Zaalarmowany posterunek policji w Krasnem, zdołał ustalić, że bandyci byli więźniami onegdaj amnestjonowanymi (!) i rozpoczęli niepokoić okolicę. (§)

Rok 1 9 3 5

W marcu 1935. z dziekanem krzemienieckim ks. mgr. Studzińskim wybrałem się wózkiem do kościoła w Katerburgu, na granicę polsko-sowiecką, na 40-godzinne nabożeństwo. Wracaliśmy nocą, wśród burzy z piorunami. Koń się spłoszył. Było niemożliwem wstrzymać konia. Wywaliliśmy się w szalonym pędzie na kupę kamieni przy szosie. Nastąpił wstrząs mózgu, następnie zapalenie mózgu. Przed niedzielą Palmową sanitariusz odwiózł mnie do szpitala w Łodzi. Po kilku dniach sanitariuszka odwiozła mnie do Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie. Bóg cudem zachował mi życie.

Komisja wojskowa lekarska przy Ministrze Spraw Wojskowych 12.XII.1935 orzekła, że jestem stale i trwale niezdolny do służby. Procent niezdolności 95. Musiałem opuścić placówkę w Białokrynicy. Opuściłem bez żalu.

Rok 1 9 3 6

Z dniem 29.II.1936 r. przeniesiono mnie „w stan spoczynku" a 29.X.1936 r. wyznaczono mi 103 zł,- emerytury, zaliczając tylko 7 lat i 8 miesięcy służby. Nie zaliczono mi służby austrjackiej, ani wyższych studiów, ani pracy w gimnazjum w Borysławiu. Odwołałem się od niesprawiedliwego wymiaru, napisałem do marszałka Rydza-Śmigłego z którym dwa razy grałem w bridża w kasynie i z którym dwa razy spotykałem się na manewrach. Rozpatrzono mą prośbę i 21.II.1938. Zaliczono mi 15 lat i 2 miesięcy, wyznaczając 138 złotych emerytury. Służby austrjackiej dalej mi nie zaliczono. Miało to nastąpić jesienią 1939 roku, niestety wojna przeszkodziła. "Wielu doznało poniżenia i pogardy, tam właśnie, gdzie sobie obiecywali znaleźć spokój i zadowolenie i zdrowie. "Dzięki **Ignacemu Misiągowi**, studentowi jarosławskiego gimnazjum, a memu starszemu koledze, pochodzącemu z Tywonii pod Jarosławiem, z którym pełniłem służbę wojskową w 90 p. p. armji austrjackiej i w 14 p. p. armji polskiej, przeniesiono mnie po 1 ½ rocznej służbie kapelańskiej, z tymczasowego, na stałego kapelana i w ten sposób uzyskałem prawo do emerytury. Inni kapelani czekali na mianowanie ich stałymi przez 5 i więcej lat. Misiąg był szefem Biura Personalnego M.S. Wojsk. W roku 1939 dostał się do niewoli niemieckiej, ranny w nogę. Po odjęciu nogi wywiązało się zakażenie i zmarł w niewoli. Rydz-Śmigły, marszałek uciekł z obozu w Rumunii w przebraniu cywilnym, razem ze znanym mi jego adjutantem majorem Krzeczkowskim i zmarł w Warszawie pod okupacją w 1941 r. jako nauczyciel o przybranym nazwisku. Tak skończyli życie moi dwaj **przyjaciele.**

Zamieszkałem na ojcowiźnie, w domu, który zbudował mi ojciec za me pieniądze, w 1935 roku.

Na zakończenie mej działalności duszpasterskiej wystosowano do mnie kilka urzędowych papierków z banalnymi formułami i pieczęciami. Wróciłem do środowiska, z którego wyszedłem, na rolę ojczystą. **Oddałem się w 18 roku życia Polsce ciałem i duszą.** Koledzy i ja uważaliśmy się w latach 1914 – 18 za polskich żołnierzy i oficerów w armji austrjackiej, a nie za austrjaków. **Wywalczyłem granice Rzeczypospolitej krwią i znojem**, dwukrotnie ranny, chory na zapalenie opłucnej i na tyfus brzuszny z głodu. Potem walka z burżujami w Borysławiu, którzy robotników uważali za swe pastwisko i wiele, wiele innych trudności.

I co za to dostałem? Nic!!!

Wyrzucono mnie z pamięci, nikt się nie zatroszczył o to gdzie będę mieszkał i co będę jadł. Została mi chata na odludziu, samotne dnie i samotne noce i pamięć o tem co przeminęło. „Byłem jakobym nie był, pozostał mi tylko grób". „Pozostał mi tylko grób",

bo i chatę pustelniczą w przyszłości miałem. **Niezbadane są sądy Boże. ”Niedościgłe są drogi Boże”.**

Dzięki chorobie i zwolnieniu z wojska, mogłem rodzicom pomagać w codziennym życiu, leczyć chorą na raka matkę, opiekować się ojcem i obojgu urządzić pogrzeb. Matka zmarła 17.05.1942, a ojciec 14.03.1944, za okupacji. Gdybym był nie zachorował, pochłonęłaby mnie zawierucha wojenna i albo zginąłbym w **Katyniu,** jak kapelan gimnazjum w Jarosławiu, jak dowódca Korpusu D.5K.II.Lublin, do którego to korpusu należałem, jak w Katyniu zginęli moi znajomi i koledzy szkolni. Albo byłbym zmuszony z brygadą generała **Andersa,** do której byłem przydzielony w latach 1932 – 1935, brać udział w bitwach w Afryce i we Włoszech, gdzie wielu naszych zginęło. Dziękuję Bogu, że nasłał na mnie chorobę, która mi pozwoliła być przy śmierci rodziców. Od czasu cho-

Rok 1 9 3 9

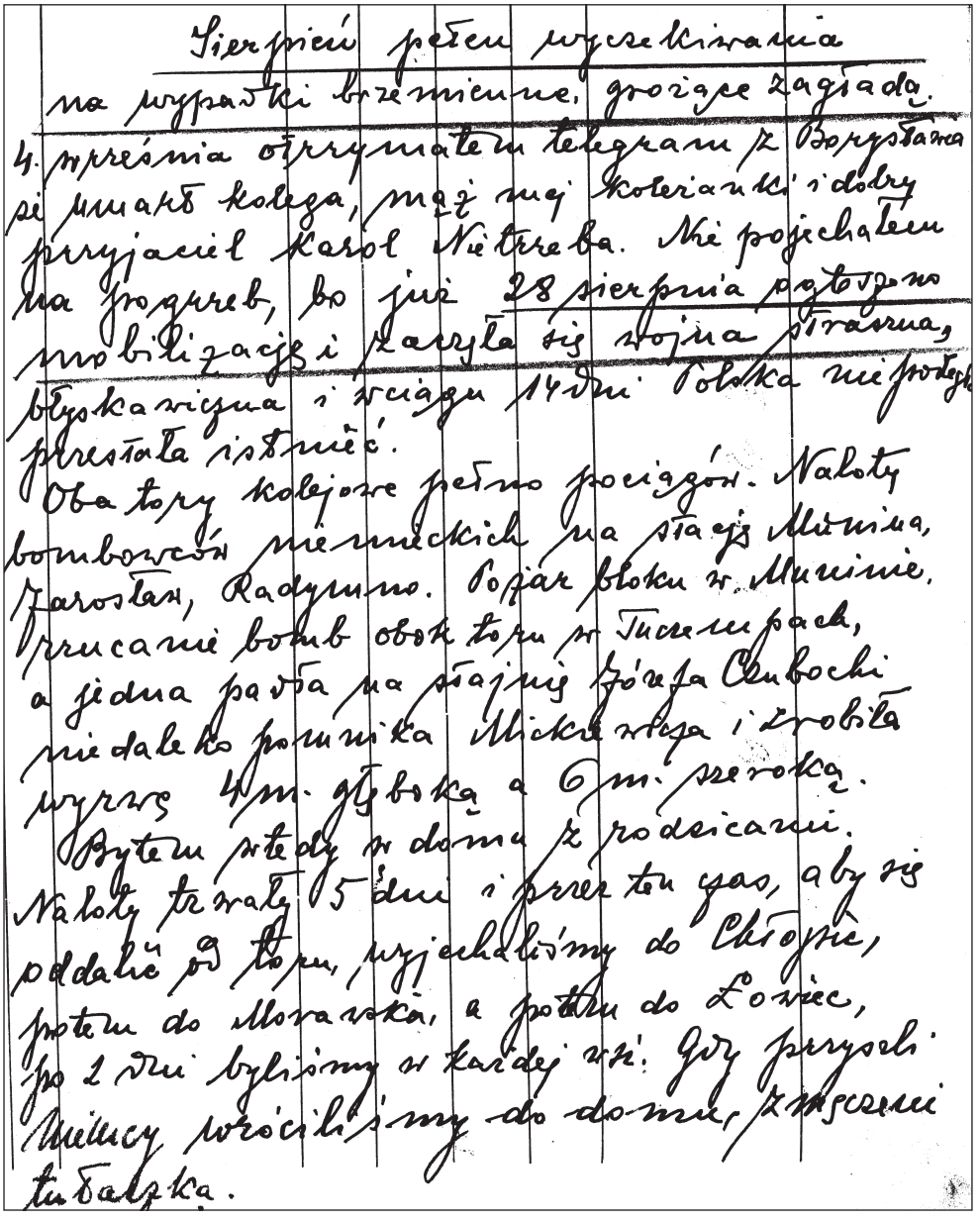

Sierpień pełen wyczekiwania
na wypadki brzemienne, grożące zagładą.
4. września otrzymałem telegram z Borysławia
że umarł kolega, mąż mej koleżanki i dobry
przyjaciel Karol Nietrzeba. Nie pojechałem
na pogrzeb, bo już 28 sierpnia ogłoszono
mobilizację i zaczęła się wojna straszna,
błyskawiczna i w ciągu 14 dni Polska nie podległa
przestała istnieć.
Oba tory kolejowe pełno pociągów. Naloty
bombowców niemieckich na stację Munina,
Jarosław, Radymno. Pożar bloku w Muninie.
Rzucanie bomb obok toru w Tuczempach,
a jedna padła na stajnię Józefa Czubochi
niedaleko pomnika Mickiewicza i zrobiła
wyrwę 4 m. głęboką a 6 m. szeroką.
Byłem wtedy w domu z rodzicami.
Naloty trwały 5 dni i przez ten czas, aby się
oddalić od toru, wyjechaliśmy do Chłopic,
potem do Morawska, a potem do Łowiec,
po 2 dni byliśmy w każdej wsi. Gdy przyszli
Niemcy wróciliśmy do domu, zmęczeni
tułaczką.

10. września, w niedzielę, rano zamierzałem
z bratem Stanisławem przez most na Sanie
w Radymnie dostać się za San i iść do Lwowa,
ale doszliśmy tylko do Ostrowa, a tam
kule karabinowe nas wstrzymały. Niemcy
byli już w Radymnie. Wróciliśmy do domu.
Przejściowo kwaterowało u nas kilku austria-
ków, bardzo godnych ludzi, którzy mi
wyświadczyli grzeczność wielką, zaopatrzywszy
mnie w 3 tony węgla, a zima była
niesłychanie ostra, do 30° mrozu.
Po krótkim okresie wojny, niemcy oddali
bolszewikom część Polski i granica była
nad Sanem, a u mnie w domu
2 izby były zajęte przez 3 ~~podoficerów~~
sierżantów, nauczycieli ze Saksonii
z Eisleben, gdzie się Luter urodził i z okolicy.
Przez całą zimę 1940 miałem piekło
w domu, bo ci nauczyciele - feldwebele,
Keil, Fuss, Brohmer zachowywali się niemożliwie
Pili, w karty grali i krzyczeli do 3 w nocy
i tak całą zimę, a razem 8 miesięcy.
Gdy im mówiłem, że przyjdzie do wojny
z Rosją bolszewicką nie chcieli wierzyć i oburzali
się na to, wskazując na pociągi ze zbożem z Rosji
Odeszli z początkiem czerwca 1941, a na
ich miejsce przyszli saperzy z nad Renu,
nieznośni, zajęli mi cały dom, musiałem
się wyprowadzić do budki kolejowej
i tam mieszkałem do września 1941

i tam [illegible]
Ci z nad Renu bardzo mi zniszczyli dom.
Byli do 22 czerwca, a w niedzielę 22 czerwca
Zaczęła się wojna z bolszewikami, o godz.
4 rano, padły pod Jarosławiem pierwsze
strzały, a o 6 rano, eskadra samolotów
bolszewickich była nad Tuczempami,
ale bomb nie zrzucali.
Naloty bolszewickie nad Sanem trwały
5 dni. Raz eskadra zrzuciła kilka
bomb obok stacji Munina, na pastwisko
koło cmentarza, zabili 8 krów i 2 ludzi.
W lipcu przyszła dywizja S.S. i na izbę
których zajęli mi cały dom i mieszkali
miesiąc, do połowy sierpnia.
Byli to dość uczciwi ludzie.

Po nich przyszła rezerwa z końmi,
która u mnie obozowała, 2 żołnierze
i 4 konie. Orali mi w polu i zaopatrzyli
w drzewo. Po 3 tygodniach, w jesieni
odeszli i potem nie było już żadnych
kwaterunków.
Dom mi bardzo zniszczono.
Zimę 1941/42 byłem sam w domu.

Nowa nawała wojenna zaczęła się zbliżać
na wiosnę 1944 roku.
W połowie maja ponad 100. dziewcząt i mężczyzn
przywieźli Niemcy z okolic Radomia do
kopania okopów i ci ludzie byli tu, aż do

nadejścia sowietów.
Przez 3 dni i noce w połowie lipca trwała
ogromna strzelanina artylerii i bombowców
gdzieś daleko od nas, ale szyby drżały i ziemia
W sobotę 22 lipca rano zakopałem zboże
w sąsieku, a popołudniu brat Tłach zabrał
ubrania i mąkę i wyjechał 3 km. w stronę
Łowiec, pod Karawakę, do Gilowskiego.
Wyjąłem wszystkie okna, otwarłem drzwi
szafy, szafki i zostałem w domu.
W niedzielę odszukałem brata z wozem
i wróciłem do domu, ale wieczorem, gdy
zobaczyłem zmotoryzowaną artylerię
niemiecką, mimo deszczu ulewnego opuś-
ciłem dom wieczorem i poszedłem pod ka-
rawakę. Zaczęto się w niedzielę po południu.
Bombardowanie trwało poniedziałek i wtorek.
Spaliło się 6 domów, zabito 6 mieszkańców.
Widziałem zaledwie 2 grupy niemców
po kilka osób, którzy uciekali, nie pędzeni
przez nikogo.
We środę 26/7 linia bojowa rosyjska
przed południem przeszła San, tor kolejowy.
W pierwszej linii spotkałem kobietę i chłopca
około 10-12 lat, przy dowódcy baonu.
Do mnie strzelała patrol około 16 razy.
Padłem w jęczmień i udawałem trupa.
Gdy się zbliżyli przemówiłem do nich. Byłem
we wielkiem niebezpieczeństwie. Cudem
ocalałem. 26/7 po poł. wróciłem do domu,
ale go opuściłem i udałem się nad San do Maksyma
Władka na noc. 27/7. wróciłem do Domu, pełnego świństwa

Widziałem jak z kościoła padała sygnaturka.
Był na niej obserwator niemiecki - Zginął.
Widziałem pożar domów i pożar stodół
koło kościoła. Most żelazny podminowano
ale nie było czasu wysadzić.
W kościele przez tydzień nie odprawiała się msza
bo był pełen gruzów, otwór wybity koło wielkiego
ołtarza, fasada zgruchotana 3ma granatami
z stodół niem. od Kidałowic.
Jedni drugich okradali w czasie opuszczenia
wsi. Mnie okradziono klucz francuski,
klucz do maszyny, jaja i 5 kg. soli.
Tragicznie dzieją się historie, napady, morderstwa
kradzieże, z końcem 1944. roku. i w r. 1945.
Tak źle jeszcze nie było od 1939. roku.

Dnia 31 marca 1945 r. przestała istnieć
parafia grecko-kat. w Ostrowie - Tuczempach.
We wielką sobotę spożyłem komunię św. w cerkwi
i odtąd Chrystus przestał tam mieszkać
Od 4–10 kwietnia ukraińcy wyprowadzili się do
Jarosławia na rampę na stację i tam pod gołem
niebem czekali na deszczu i zimnie na trans-
port na wschód. Bojówki mocne biciem i gra-
bieżą zmusiły ich do tego. 20/4. 1945. przestała
istnieć parafia grecko-kat. w Jarosławiu
Trzej Duchowni opuścili placówkę bojąc się zastrzelenia.
W tym czasie bandy ukr. napadły Wiązownicę, którą
spalono w połowie, wiele zabitych i rannych. 23/4. 45
bojówka zastrzeliła ks. grecko-kat. w Surochowie
Polacy z za Sanu z dobytkiem uciekają do Tuczemp.
Nasi z Adamówki na noc do wsi zjeżdżają.
Warta 50 ludzi noc co noc pilnuje wsi.
Hulk Włodzimierz z 2 pomocnikami żołnierzami wrócił

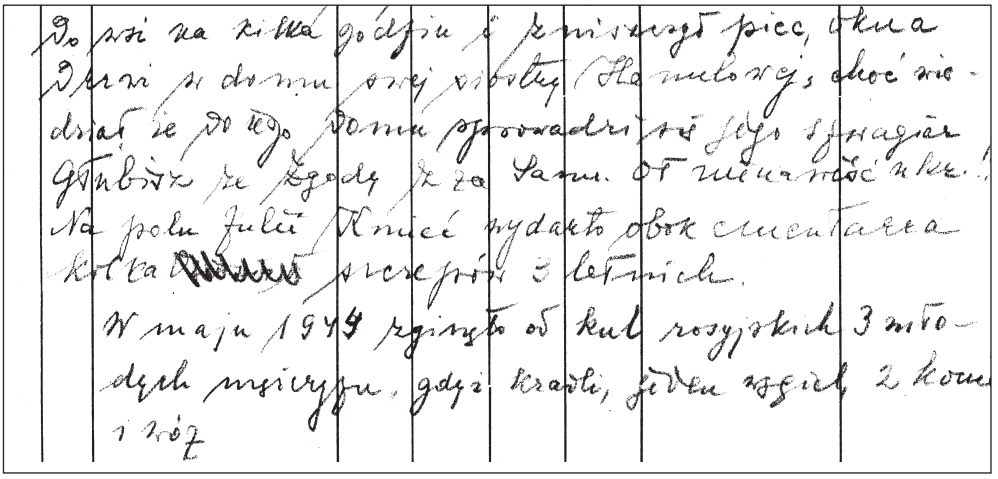

roby matki brat, który uniknął mobilizacji w 1939, jako pracownik zakładów lotniczych w Rzeszowie, gotował mi jedzenie, aż do lipca 1939 roku. W tym czasie brat Stanisław zaczął pracować w Szczecinie w Hucie Żelaza jako maszynista, a mnie gotowała córka sąsiada, gdyż siostra nie chciała się zgodzić na gotowanie mi i pranie, choć za to chciałem jej oddać dom i morg ogrodu. Z trudem przyszło mi zdobywać prowianty. Gdy przez grzeczność sąsiad zmełł mi moje zboże we młynie, musiałem szukać we wsi kogoś, kto by mi mąkę wymienił na chleb. W czasie mej nieobecności mój brat Jan ukradł mi konia, uprząż, pług, brony, niepomny na to, że mu przed 1935 rokiem dałem na budowę domu 400 złotych, nadto na spłacenie rat na pług, na konia; dałem mu kilkaset złotych. Siostrze zbudowałem stajnię z cegieł 5 x 9 m; kupowałem jej ubrania przez kilkanaście lat, że chodziła ubrana jak żadna we wsi. Tak mi się oboje z bratem odwdzięczyli, płacąc najczarniejszą niewdzięcznością. Dom i pole z ogrodem oddałem obcym, w złe ręce, ale nie miałem innego wyboru. Siostrze i bratu nie mogłem oddać, bo ojciec mnie prosił, abym im nie dał ogrodu, gdyż matkę i ojca ciężko obrażali i czekali na ich śmierć. Ojciec i matka robili usiłowania, aby odebrać siostrze pole i dom jej zapisane. Bardzo wiele miałem przez to kłopotów i musiałem ojca wozić do starostwa do władz niemieckich na skargę. Urzędnik niemiecki zagroził siostrze obozem. Nie pomogło!

Wybór tekstów z Kroniki Rodzinnej

Wiosna 1937 roku była fatalna. Byłem chłopem na gospodarstwie. Kupiłem w Jankowicach we dworze 300 kg koniczu, z probostwa w Łowcach dostałem 250 kg słomy, a ze dworu w Lutkowie 500 kg owsa. Kupiłem też 200 kg otrąb dla krów i 200 kg dla świń. W sierpniu kupiłem też chomąto za 18 i lejce za 16 złotych.

Dnia 15 sierpnia 1937 roku Stronnictwo Ludowe ogłosiło strajk rolny 10-cio dniowy. 8-19-20 sierpnia kilku opryszków alarmowało całą wieś, wypędzali wszystkich chłopów, nawet najstarszych na gościniec, a kto nie chciał iść, grozili wybiciem okien i podpaleniem. Wybito okna w trzech domach. 21 sierpnia pod cmentarzem w Muninie przyszło do starcia chłopów z policją. Zginęło 8 chłopów a 25 było rannych. Z Tuczemp zginął 18 letni chłopiec; z Morawska stary chłop i chłopak z Łowiec. Koło domu gwizdały kule jak na wojnie. Ja bandażowałem jednemu rękę przestrzeloną na wylot.

25 września zmarł w 105 roku życia Płatek z Zagród. Jest to drugi człowiek, który za mej pamięci zmarł przeżywszy ponad 100 lat. Oziębiło się, a ja już czwarty raz idę do dentysty wojskowego. Przywieziono też szuter na kanał do stajni krowskiej. W październiku był gotowy. Ze dworu w Łowcach od pani Schick dostałem dwa wory jabłek, wartości 50 złotych, za co się zobowiązałem do odprawienia jednej mszy świętej na jej intencję. Otrzymałem za trzy msze 6 złotych w Drohobyczu od Zofii z Koziков, Garczyńskiej z „Nafty" i synowej Trelki Kazimierza. Dałem zadatek na 500 kg węgla. Wysłałem list do kapitana Pieniążka czy może zatrudnić brata Stacha w fabryce, z którym ja i cała rodzina mamy same kłopoty. Ile starań, ile kłopotów mamy przez niego. Nie wiem jak się to wszystko skończy. Myślę, że źle. Nareszcie doprowadziłem do rozdziału podatku gruntowego i drogowego z całego gospodarstwa rodzinnego. Dużo mnie to kosztowało chodzenia i kłótni z urzędnikami- bałaganiarzami. Nawet w gazecie ich opisałem. Franciszce Schick, właścicielce dworu w Łowcach ofiarowałem za jabłka 4 księgi o Włoszech wartości 60 złotych. Nigdy za darmo nic nie chciałem od nikogo. Ona nie wzięła 50 złotych za jabłka, a ja jej prezent zrobiłem. W dniu 1 listopada był jeden stopień mrozu, tak że woda zamarzła a rano na mojej mszy było ponad 60 ludzi. Od Kazimierza Trelki, Justyna Koguta, od Stronnictwa Ludowego i od Wojnarowskiej oraz Huka Jana w intencji mszy świętych otrzymałem 15 złotych i 65 groszy. Ludzie nie chętnie idą do proboszcza Hajduka bo bardzo nieprzystępny. Tak jeszcze żadnego roku nie dawano mi za msze. 21 listopada dostałem na dwie msze od Czerwonych; na

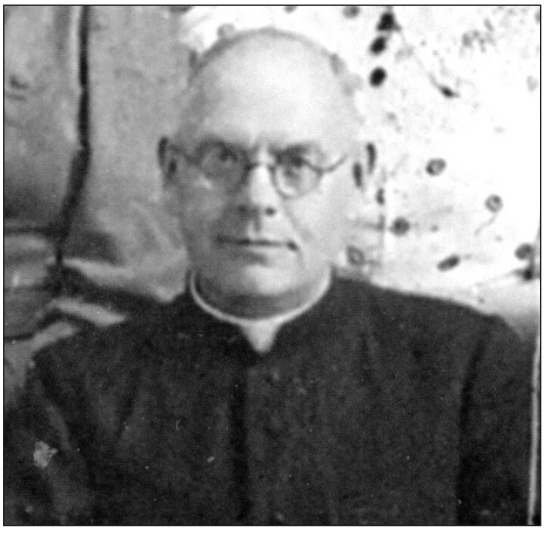

Ks. Józef Hajduk.

plebanię boją się iść, bo nie wiedzą czy proboszcz w dobrym, czy w złym humorze. Dziś odprawiłem trzy msze żałobne i wyspowiadałem 10 kobiet. Odprawiłem mszę za Aleksandra Kmiecia. Za otrzymane pieniądze zamówiłem dalsze 500 kg węgla. Dalsze msze zamówił Michał Bednarz za żonę Zofię i syna Jana.

Brat Jan miał jechać dla nas po drzewo do lasu, ale nie pojechał, bo koń zachorował. Ojciec zły na Stacha, że przez niego koń zachorował, bo go bardzo pędził do Jarosławia. Już mi życie obrzydło bo w ciąż pełno kłopotów. Stach dotąd spał w moim domu, teraz się zabrał do domu ojca i robi tam piekło. Życie mi obrzydło w takiej rodzinie i chciałbym już raz umrzeć aby mieć spokój. Chciałbym wyprowadzić się ze wsi do miasta, ale nie mam pieniędzy. Dla mnie wystarczyło by na utrzymanie w mieście, ale już nie mógłbym dać ojcu i matce; żal mi ojca i matki, więc muszę znosić te nieprzyjemności od brata Stacha i utrzymywać go, ale zdaje mi się, że niedługo to wytrzymam i będę zmuszony wyprowadzić się z domu.

Na święta Bożego Narodzenia, na stary i nowy rok byłem w Chłopicach bo nie chciałem być zaproszony do szkoły do nauczyciela, tchórza i obłudnika. Wikary z Chłopic wyjechał, odprawiłem pogrzeb z Morawska i zaopatrzyłem chorego. Jasiek po mnie przyjechał saniami. W święta opryszki pobiły Huka Michała. Nowy 1938 rok spędziłem w lesie w Chłopicach, podobnie jak wigilię i Boże Narodzenie. Po powrocie 19 lutego pod nieobecność proboszcza zaopatrzyłem olejami i komunią świętą Jasiewicza, ojca sekretarza gromady. Zmarł 21 lutego. Dzień wcześniej w domu gromadzkim odbyło się przedstawienie „Czartoryska Góra".

Dnia 8 lutego wysłałem do Ministra Wojny prośbę, aby mi zaliczono do emerytury 4 lata Seminarium Duchownego w Przemyślu i nauczanie religji w szkołach. Dnia 21 lutego otrzymałem nowy dekret emerytalny, gdzie zaliczono mi część służby katechety i 4 lata Seminarium. Podwyższono mi emeryturę ze 103,50 złotych na 138, od dnia 1 czerwca 1937 roku. Starałem się o to blisko 2 lata i gdybym nie czynił tych starań byłbym nie dostał należnej mi emerytury.

W pierwszą niedzielę kwietnia 1938 roku jeździłem do Rzeszowa aby odprawić mszę w kościele Chrystusa Króla. W niedzielę Palmową i na święta też pojadę do Rzeszowa. W Łowcach zmarł właściciel dworu Jahu; na uroczystości pogrzebowe z sąsiednich wsi z księży zostałem tylko ja zaproszony. Dostałem 50 złotych, które dałem swej siostrze na płaszcz. W wielką sobotę w Rzeszowie mam odprawiać rezurekcję i wrócić we wtorek po świętach.

Po powrocie w poniedziałek 20 kwietnia we wsi ruch, wieś podniecona bardzo odejściem księdza Hajduka. Jedni się cieszą, kilkudziesięciu płacze i nie chce go puścić do Zarzecza. Najbardziej za Hajdukiem trzyma żona kierownika szkoły Sorysowa i Wawrzyniec Mrozowicz, zwany „pisiukiem".

Nareszcie z plebanji kury odjechały. Przyjechał ks. **Józef Kluz** na administrację parafii. Nareszcie odetchnęły ludy, bo proboszcz Hajduk odjechał, a myślał, że go stąd od byków holenderskich, jak zwał Tuczempian, żadna siła nie ruszy. Przyjechał na jego miejsce ksiądz Józef Kluz, lat 36, kapłaństwa 6, rodem z Krzemienicy pod Łańcutem, syn kolejarza, torowego.

Po odjeździe proboszcza ludzie znaleźli na strychu plebanji: jeden metr kubiczny pieniędzy papierowych, marek polskich w setkach, tysiącach i milionach oraz około 100 kilogramów miedzianych i niklowych monet austriackich. Za te pieniądze użyte w swoim czasie, można było wystawić wspaniały dom lub kupić wiele urządzeń kościelnych. Proboszcz jednak działał na szkodę znienawidzonej przez niego wsi.

15 maja 1938 roku miał przyjechać biskup Barda na wizytację parafii. Strzelcy chcieli go witać. Ludowcy oburzali się, więc sołtys i proboszcz pojechali do starosty aby

poradził co mają robić, bo się zanosi na awanturę. Starostwo poradziło, aby witała parafia, a nie stronnictwa, czy organizacje. A no zobaczymy, co to będzie. O godzinie 16 zebrali się ludzie z Tuczemp, Muniny, Łowiec, Morawska. Biskup Barda przyjechał autem poprzedzany przez banderię Stronnictwa Ludowego. Witający go sołtys Antoni Buk zbłaźnił się i wystawił całej wsi świadectwo głupoty. Powiedział dwa słowa: „Najprzewielebniejszy Arcypasterzu!", a potem powiedział: Więcej nie wiem, będę czytał. Wyjął napisaną mowę, ale jej też nie mógł odczytać. Wszyscy byli oburzeni, że całej wsi wystawił świadectwo głupoty. Biskup odjechał o godzinie 9 wieczór. Pięknie witały dzieci szkolne biskupa i śpiewem i przemówieniem i wierszami.

24 maja wniosłem w imieniu wsi pismo do starosty o ulgi podatkowe z powodu gradobicia i posuchy. W drugiej połowie lipca przez 10 dni byłem w Świtarzowie pod Sokalem. 7.07 byłem w Stróżach a 22.08 wyjechałem do Krzemieńca na pogrzeb księdza Włazowskiego z Radymna. Po powrocie wyjechałem kosić trawę do Stubna.

W tym samym dniu zachorowały na pryszczycę dwie krowy. Zgłosiłem do sołtysa. 01 września padła jedna krowa. Dnia 03 września weterynarz wydelegowany przez naczelnego Skalisza, zrobił sekcję, a w protokole podpisanym przeze mnie, sołtysa Buka i Szafrańca podano wartość krowy na 330 złotych. Krowa miała od pryszczycy spalone kiszki, żołądek i skrzep krwi w sercu. Krowa ta dawała 25 – 27 litrów mleka dziennie.

Zapowiedzi siostry już miesiąc temu wyszły, ale ślubu nie było, bo „narzeczony" Duda chce, aby ojciec zapisał siostrze pół domu, a ojciec nie chce. Ojciec uległ i ślub odbył się 18 lutego 1939 roku. W obiedzie weselnym wzięło udział całe grono nauczycielskie, a ks. proboszcz był dwa razy tego dnia. Za ślub nie wziął pieniędzy, tylko za mszę od Dudy 10 złotych a i te oddał Jadze na obiedzie weselnym.

Cały czas prowadzę rachunki wydatków i dochodów.

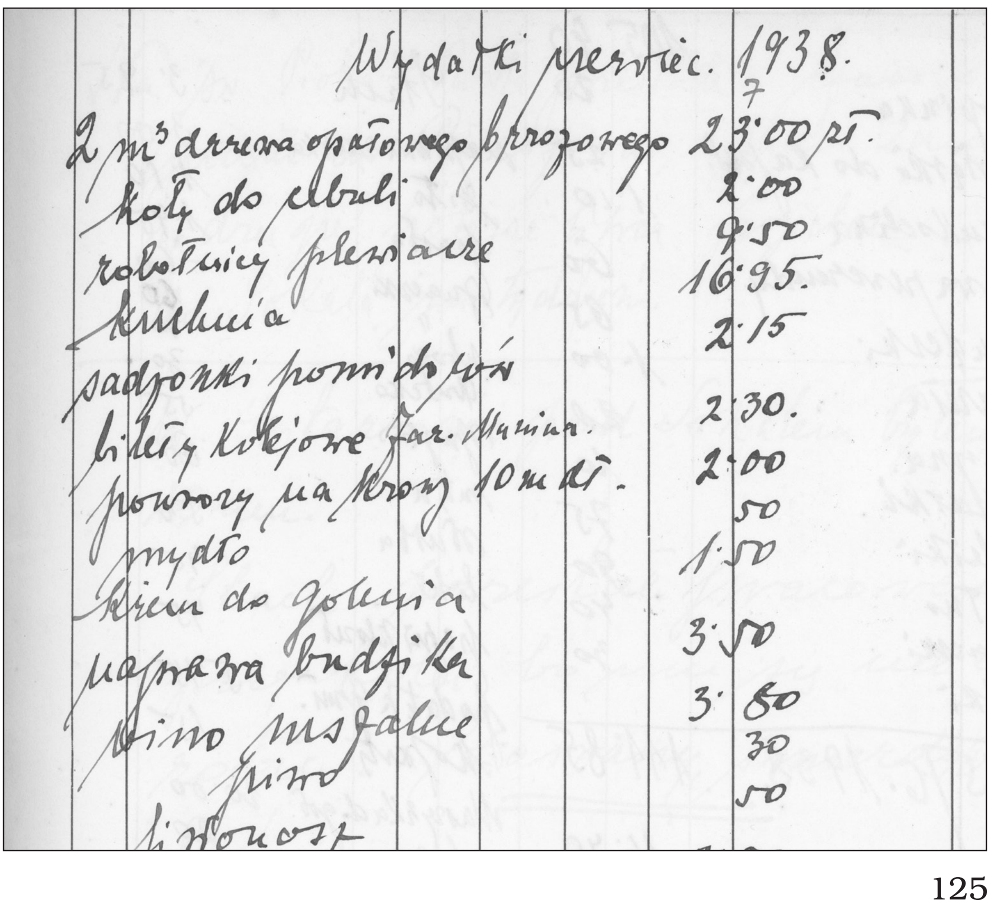

Wydatki czerwiec. 1938.

2 m³ drzewa opałowego brzozowego	23·00 zł.
koły do [illegible]	2·00
robotnicy plewiarce	9·50
kuchnia	16·95
sadzonki pomidorów	2·15
bilety kolejowe Jar.-Munina	2·30
powrozy na krowy 10 m dł.	2·00
mydło	50
krem do golenia	1·50
naprawa budzika	3·50
wino mszalne	3·80
pióro	30
listonosz	50

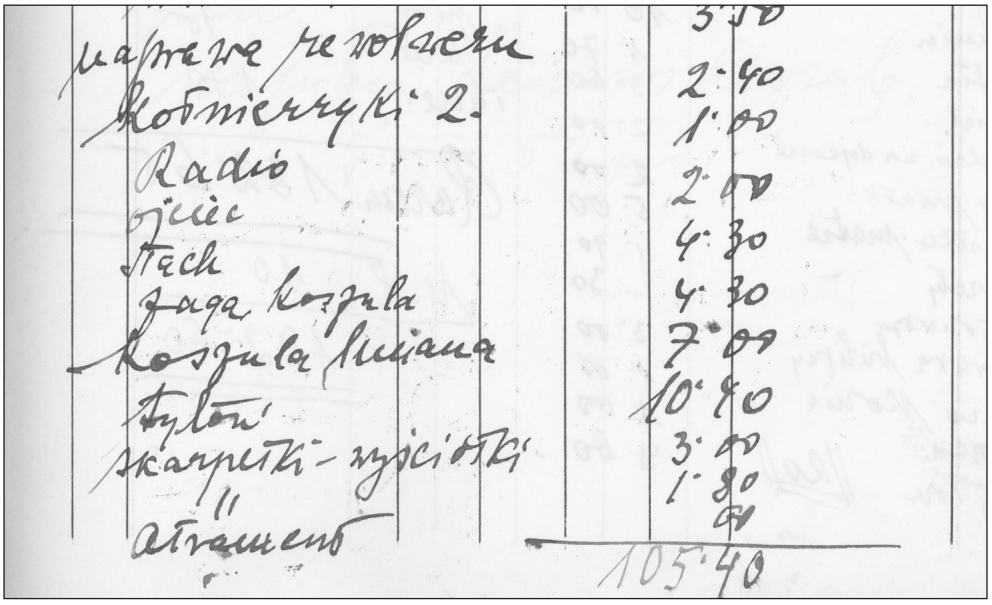

naprawa rewolweru	3·50
kołnierzyki 2.	2·40
Radio	1·00
ojciec	2·00
Stach	4·30
zaga koszula	4·30
koszula lniana	7·00
tytoń	10·40
skarpetki - wyściółki	3·00
"	1·80
atrament	00
	105·40

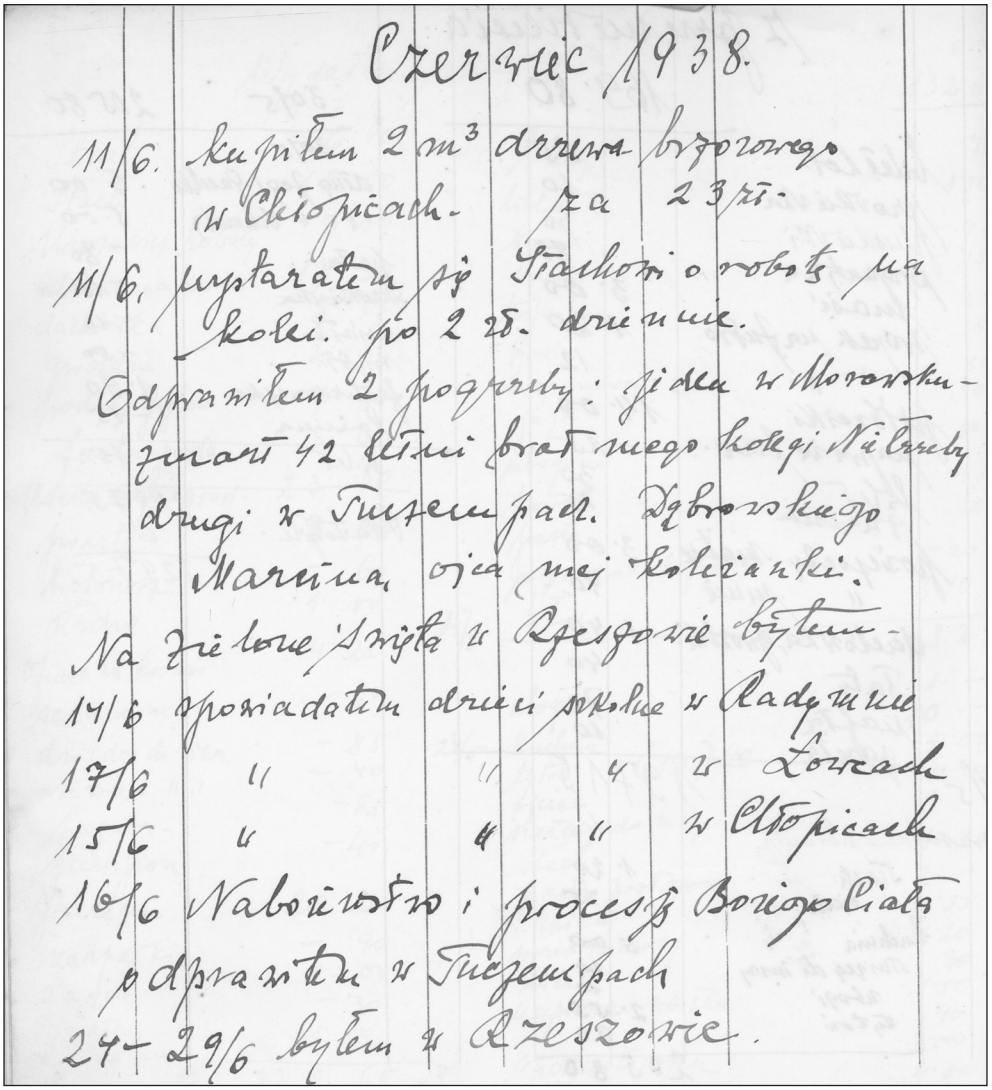

Czerwiec 1938.

11/6. kupiłem 2 m³ drzewa brzozowego w Chłopicach. za 23 zł.

11/6. wystarałem się Stachowi o robotę na kolei. po 2 zł. dziennie.

Odprawiłem 2 pogrzeby: jeden w Morawsku - zmarł 42 letni brat mego kolegi Nietrzeby drugi w Tuczempach. Dąbrowskiego Marcina, ojca mej koleżanki.

Na Zielone Święta w Rzeszowie byłem.

14/6 spowiadałem dzieci szkolne w Radymnie

17/6 " " " w Łowcach

15/6 " " " w Chłopicach

16/6 Nabożeństwo i procesję Bożego Ciała odprawiłem w Tuczempach

24 - 29/6 byłem w Rzeszowie.

Wyczytałem w grudniu ubiegłego roku w „Rycerzu Niepokalanej", że Prowincjał Bonifratrów potrzebuje księży. Zgłosiłem się do Krakowa do urzędu prowincjalnego i **zostałem przyjęty jako zakonnik Tercjarz do zakonu szpitalnego Bonifratrów. Na dwa dni przed wyjazdem, 11 lutego 1947 roku o godzinie 12 w nocy zapalił mi się dom.** Boso, w bieliźnie, stałem na śniegu i patrzyłem jak płomienie niszczą pracę mego życia. Dwoje ludzi ratowało dom, a płomienie objęły cały facjat i ścianę i powałę. Zbiegli się sąsiedzi na pomoc. Dom nadpalony ocalał cudem. **Ale jeszcze większy cud dokonał się w mej duszy, bo ogień płonącego domu wypalił w mej duszy wszelką niechęć do tych, którzy mi bardzo dokuczyli.** Tak to me zaślubiny z Zakonem odbyły się przez ogień. Wtedy poczułem w duszy, że pozostał mi na świecie tylko Bóg. Wszyscy mnie opuścili.

W ciężkich warunkach odbyłem podróż do Krakowa w wagonie bydlęcym. Przeleżałem kilka dni na sali chorych. Dnia 1.III.1947 roku nałożono mi wśród przepisanych ceremonij szkaplerz zakonny i pas rzemienny. 6 marca objąłem placówkę Bonifratrów w **Iwoniczu,** szpital dla nieuleczalnych i umysłowo niedorozwiniętych. Tam pracowałem jako kapelan i jako Sekretarz „Domu Opieki" utworzonego w Zakładzie Bonifratrów przez Wojewódzki Urząd Opieki Społecznej. Warunki życia były ciężkie, nie takie, jak sobie marzył J. Knapik autor wiersza:

Chciałbym ja kiedyś tyle zdobyć w życiu,
by być szczęśliwym, ale szczęściem własnym,
osiąść gdzieś w cichym pokoiku ciasnym
z dala od ludzi, w nieznanym ukryciu
i snuć swe myśli, stale nieprzerwanie,
o Tobie Wielki, wiekuisty Panie.

W około siebie mieć klasztorne ściany,
tylko na biało wapnem pobielone,
okno w dalekie strony zapatrzone,
a zwykły tapczan z desek pozbijany.
I myśli swoje kierować do Ciebie,
Panie mój wieczny, na ziemi i niebie!

Spożywać czerstwy chleb, oraz pić wodę,
czerpaną prosto z szumiącego zdroju,
i tak rozmyślać o Tobie w spokoju,
a mękę syna mieć na swą ochłodę.
Bo w takim życiu i wśród takiej ciszy,
dopiero człowiek własne szczęście słyszy.

I ja tak marzyłem jak autor wiersza, zamierzałem osiąść w klasztorze Dominikanów lub Reformatów w Jarosławiu. Przełożeni tych klasztorów obiecali mi w 1935 roku postarać się u Prowincjałów o pozwolenie na zamieszkanie w klasztorze, ale obietnic nie dotrzymali. I tu znowu widzę zrządzenie Boże, bo jesienią 1939 roku zakonnicy obu klasztorów i mój katecheta gimnazjalny, który mieszkał u Reformatów, zostali wysiedleni przez Niemców za San. I mnie byłoby to spotkało i nie miałby kto rodzicom pomagać. Ale wracając do wiersza „Jedno z marzeń" stwierdziłem, że wszystko jest ładne, piękne, przyjemne, ale tylko w marzeniach, bo rzeczywistość jest łagodnie się wyraziwszy, wstrętna. Generał **Jarosz,** określiłby to słowem**: zasrana.** Miałem w Iwoniczu wapnem bieloną celę. Miałem w Iwoniczu widok na 7 wzgórz lasem krytych, byłem z dala od tak zwanego świata, od polityki, od zebrań, od znajomych, mieszkałem w sąsiedztwie Nieśmiertelnego Króla Wieków.

Zbierałem w ogrodzie kamienie i trawę i wywoziłem taczkami poza ogród. Uszczelniałem parkan, aby kury nie wchodziły do ogrodu, karczowałem pniaki zmarzniętych drzew, wycinałem chwasty, podlewałem ogórki, pomidory, dopasowywałem ramy okienne, uszczelniałem kielnią murarską wapnem, cementem i piaskiem otwory na zewnątrz ram okiennych, zabijałem deskami otwory okienne, w których nie było okien, dwa dni od rana do nocy siedziałem w złej pogodzie w chlewiku i notowałem czas młócenia maszyny i zapisywałem ilość kilogramów zboża, jeździłem do młyna mleć zboże, grabiłem słomę i plewy na boisku, zamiatałem korytarz i kaplicę. Wyliczałem ilość desek i legarów potrzebnych na podłogę do stajen, zestawiałem rachunki przychodów i rozchodów od stycznia 1947 do listopada 1947, zestawiałem rachunki do Opieki Społecznej w 3 egzemplarzach i rachunki do Starostwa, województwa, Ministerstwa Opieki Społecznej, goliłem starca 80-letniego. Jeździłem 11 kilometrów do magazynu Opieki Społecznej w Krośnie po suchary dla podopiecznych, po odbiór zasiłków z Opieki Społecznej. Chodziłem kilka kilometrów do stolarza aby mu zapłacić za robotę. Chodziłem godzinami po łące dworskiej, aby wybadać wielkość trawy, która miała być zakupiona dla bydła konwentu. Oddawałem swą emeryturę przeorowi i pieniądze otrzymywane jako ofiarę na msze święte. Postarałem się o 60 metrów bieżących rur do gazu, o przydział lekarstw z P.C.K., o przydział lekarstw i mąki pszennej amerykańskiej i wina mszalnego i innych rzeczy z „Civitas" w Przemyślu. Za to przeor odpłacił mi się najczarniejszą niewdzięcznością. Raz wieczorem w maju, gdy zacząłem w czasie wieczerzy jeść kapustę, przyszedł posłaniec z plebanii, abym szedł natychmiast odprawić nabożeństwo majowe, gdyż nie ma oni proboszcza, ani wikarego. Zostawiłem łyżkę w misce i natychmiast poszedłem. Gdy z kościoła wracałem, zastałem o godzinie 8.30 zamknięte przez przeora drzwi wejściowe. Na dobijanie się do drzwi, przeor nie odpowiadał. Jeden z braci rzucił mi klucz przez okno. Podobny wypadek miał jeszcze miejsce dwa razy. Musiałem szukać brata zakonnego u sąsiadów, aby mi otworzył drzwi. W ten sposób przeor głupi - matołek, o 4 klasach szkoły powszechnej okazywał swą władzę. Raz usiłował mnie pouczać jakie modlitwy mam odprawiać po mszy, ale wykazałem mu jego głupotę. Ile razy zobaczył przez okno, że jakiś gość idzie, zamykał się w celi, a ja musiałem przyjmować gościa na koszt własny. Raz przyjechała komisja lekarska złożona z prezesa sądu grodzkiego i 2 lekarzy; innym razem komisja do otwarcia stacji gazowej, 6 osób, które musiałem gościć. Raz wyjechał na 2 tygodnie i zostawił na wyżywienie 13 osób – 90 dkg słoniny. Gdy wyjeżdżał, najstarszy z braci nie przyjął klucza od magazynu i spiżarni. Zostawił klucz mnie. Najstarszy z braci skarżył się, że przeor pod jego nieobecność otworzył celę i skradł mu koszulę. Drugiemu bratu skradł skórę na buty. Wydałem pokrzywdzonym bieliznę, oraz drugiemu skórę. Za to przeor oskarżył mnie do Prowincjała. Prowincjał zapytał mnie, dlaczego bracia nie prosili przeora o wydanie bielizny i skóry? Odrzekłem, że nie mają zaufania do złodzieja.

Przeglądając obuwie - 8 par - otrzymane od „Opieki Społecznej" z Krosna, zauważyłem, że brakuje dwu par obuwia. Z tego braku nie umiał się wytłumaczyć. Nie wszystkie kwoty pieniężne, które mu dawałem wpisywał do książki dochodów. Nie wpisał 1.100 zł, które mu dałem. Nie wpisywał wszystkich kwot,które mu kwestarz uzbierał, mówiąc, że tych kwot nie dostał do ręki, ale wpisywał w rozchód kwoty, na które mu kwestarz przyniósł kwity. W ten sposób niedobór wzrósł od 1.I.1947 do 1.X.1947 na 72.000 złotych. Aby ten niedobór pokryć w księdze głównej kazał mi wpisywać zmyślone kwoty z dochodów gospodarstwa rolnego i inwentarza żywego. Mówiłem przeorowi, że tak dalej być nie może, że wydatki nie mogą być wyższe od dochodów, że nie będę nadal niszczył kwitów rozchodowych, ani wpisywał nie istniejących dochodów.

Jedzenie 3 razy dziennie było nie wystarczające. Podopieczni skarżyli się na niedożywienie. Zauważyłem, że nie dawał mydła podopiecznym i za swe pieniądze kupiłem im mydło. Dożywiałem się konserwami, otrzymywanymi od znajomych, a dwaj bracia chodzili do knajpy, by zaspokoić głód.

W czasie przenoszenia magazynu z celi przeora w przybudówce do gmachu głównego jeden z braci zwrócił mi uwagę na wiele pustych puszek blaszanych unrowskich z ciastek i cukierków oraz papierosów. Zawartość zabrał przeor złodziej. Mnie też okradł. Napisałem prowincjałowi, że żydowi sprzykszyła by się służba u takiego „pana"- przeora. Prowincjał wiedział o jego postępowaniu, bo wysyłałem mu meldunki sytuacyjne z „Diablego Młyna", jak nazwałem konwent Iwonicki. Przeciągi w mieszkalnych celach były ogromne. Wiatr wywalił w dwu celach drzwi z futrynami. Zaleczony w 1939 roku w Horyńcu zawijaniami borowinowymi reumatyzm stawów, znowu bardzo boleśnie zaczął mi dokuczać. Musiałem się leczyć w Iwoniczu Zdroju. Odległość do pokonania wynosiła 5 km. Były tylko 2 autobusy, wcześnie rano i późnym wieczorem. Aby nie głodować cały dzień, chodziłem piechotą. W takich warunkach się leczyłem, bo chamski łeb nie dawał mi konia na wyjazd. Czasami jeździłem autobusem i wtedy zatrzymywałem się w mieszkaniu znajomego szefa PCK.

Dość sąsiadów chodziło do kaplicy na msze św. w niedziele i święta. Choć prowincjał zakazał zbierania składek po kaplicy, chytry przeor każdemu podstawiał tackę pod nos. W marcu 1947 r. dał mi celę 6 metrów kwadratowych, a często dotykał pieca, czy się za dużo węgla nie spaliło, zaś jednemu z braci robił awantury, że spala dużo węgla i drzewa na podpałkę, a w pokoju tego brata było zawsze chłodno. Swą bluzę wojskową dałem do pracy na polu jednemu z braci, bo przeor nie chciał mu wydać bluzy z magazynu. Nic dziwnego, że w takich warunkach 2 braci prawie zawsze piło w pobliskim szynku, a proboszcz mówił, że Bonifratszy skandal przynoszą parafji. Najbardziej mnie oburzył następujący wypadek: w październiku 1947 r. wieczorem, przyszedł jeden z mieszkańców i prosił aby kto z Bonifratrów udał się do ciężko rannego przez auto małego chłopca. Jeden z braci poszedł na wieś „zastrzyki dawać", a przeor poszedł na plotki do sąsiada. Posłałem do sąsiada po przeora. Przyszedł, ale powiedział, że do rannego nie pójdzie, bo nie ma kluczy od apteki. Powiedziałem, że daję gazę i wodę utlenioną do oczyszczenia ran. Przeor udał głuchego i nie poszedł. Gdy mu robiłem ostre wymówki, milczał, a jego niby zastępca powiedział, że to nie jest zakres działania przeora. Wtedy wyrzekłem do obydwu takie słowa, jakich chyba nikt nie powiedział do Bonifratrów. Pojechał przeor do Krakowa do prowincjała. 15 listopada 1947 r. otrzymałem rozkaz opuszczenia Iwonicza. Choć miałem grypę i stan podgorączkowy i choć padał deszcz, udałem się w podróż uciążliwą do Krakowa, gdzie przeleżałem 3 dni w gorączce i w tym stanie udałem się w dalszą drogę. Po 19 godzinach jazdy i czekania wylądowałem chory na nowej placówce Bonifrackiej.

Zakon Bonifratrów w Marysinie

W Tuczempach pozostaje ostatni tom rękopisów ks. Józefa Słabego, którego autorowi niniejszego opracowania nie udało się pozyskać. Bardzo proszę mieszkańców o wskazanie gdzie można ten tom znaleźć. Autobiografia Józefa Słabego powinna być dokończona.

W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej pozostają informacje o księdzu Józefie Słabym Sygn. IPN PO 00188/1/ Tom I. Dz. Archiwalny Spraw Ewidencji Operacyjnej Sygn. II/strony 1 – 525 za lata 1955 – 1958.

Józefie Słaby!!! Non omnis moriar. Nie wszystek umarłeś. Werba scripta manet. Słowa napisane pozostają.

Do ziemi Twych praojców,
do łanów, co złotem lśniły,
dziś Twoje doczesne szczątki
na wieczny spoczynek przybyły.

Przez całe dorosłe życie
tu w kraju i na obczyźnie,
Twe serce biło dla Boga,
i wierny byłeś Ojczyźnie.

Służyć Polsce duszą i ciałem,
to Twój ideał życiowy,
oddać swe młode życie
Byłeś dla niej gotowy.

W dziewiętnastym roku życia
mundur wojskowy ubrałeś,
na wojnie dwukrotnie ranny,
za waleczność medal dostałeś.

Po latach służby Ojczyźnie
gdy na Twej drodze Bóg stanął,
zmieniłeś mundur na sutannę,
Byś ludziom dalej służyć mógł.

Lecz gdy się jednak kończyła
pielgrzymki Twej życiowa nić
stęsknione serce wciąż pragnęło
W rodzinnych stronach zawsze być.

I stało się zadość nadziei,
w której ufność pokładałeś,
Jesteś wśród swych najbliższych
O których zawsze myślałeś.

Dziś patrzysz z nieba na ziemię,
i Twoja dusza się raduje,
bo widzi ludzi dobrej woli,
Którym za wszystko dziękujesz.

Tuczempy, dnia 19 marca 2011 roku *Marian Czech*

Cmentarz Bonifratrów w Marysinie Piaskach - poprzednie miejsce pochówku Józefa Słabego.

Dziwne zjawiska

***

W sierpniu 1938 roku, przed północą, zauważyłem światło w izbie. Wyjrzałem przez okno i widziałem w powietrzu, nad lasem w Cieszacinie ogromne zjawisko świetlne, w postaci płonącego samolotu. Samolot się nie posuwał, trwał w miejscu. Wypaliłem kilka papierosów, wpatrzony w to zjawisko. Obserwowałem je 35 minut, a następnie gdy trwało to dalej, położyłem się spać.

We wrześniu 1939 roku, w tym miejscu, widziałem płonący polski samolot i lotników wyskakujących na spadochronie. Nie jestem pijakiem, nie lubię wódki, nie była to halucynacja.

Na Zielone Święta 1946 roku w jasny wieczór, o 9.30 siedziałem pod domem i paliłem papierosa. Na drodze wiejskiej była cisza. Ludzie poszli do Domu Ludowego. Usłyszałem otwarcie bramki i odruchowo skierowałem wzrok w tę stronę. Zobaczyłem idącą mą zmarłą matkę, ubraną w białą spódnicę, niebieski kaftanik i chustkę, tak jak chodziła plewić cebulę. Doszła do mego dawnego domu rodzinnego (ja mieszkam 40 kroków dalej w nowym domu), gdzie zmarła i poruszyła klamką. Słyszałem szczęk klamki staroświeckiej. Drzwi były zamknięte. Zaczęła iść w moją stronę. Zatrzymała się w połowie drogi i weszła do stajni. Po kilku minutach poszedłem za nią. Nikogo nie zobaczyłem. Po tym „zjawieniu" miałem wiele przykrości.

***

W Aleksandrowie Kujawskim w 1919 roku położyłem się w grudniu o 9. godzinie spać i zamknąłem drzwi. Zacząłem różaniec odmawiać, a za ścianą Żydziaki płakały. Otworzyły się drzwi, wionął bardzo mroźny wiatr, znieruchomiałem, nie mogłem poruszyć ani ręką, ani nogą, ani językiem. Słyszałem kroki, słyszałem jak ktoś brał zapałki leżące na przyłóżku, zaświecił; widziałem światło, słyszałem kroki. Ucichło. Dopiero po długim czasie wróciła mi władza w członkach. N i c n i e w i e m y. Po 40 latach wiem, że nic nie wiem.

***

„Działo się to w roku 1969 lub 1970 w Kosinie koło Łańcuta. Właśnie tam zamieszkali po wcześniejszej przeprowadzce z Tuczemp państwo Kazimierz i Maria Zającowie. Ludzie niezwykle szlachetni o ogromnym i otwartym sercu. Kazimierz Zając jest wspominany w książce o Tuczempach.

Drewniany dom o przestronnej słonecznej i oszklonej werandzie przyciągał niemal w każdą niedzielę gości. Przyjeżdżali tam też moi rodzice, starsza dystyngowana pani z Jarosławia, do której zwracano się słowami „pani Radczyni", przyjeżdżał znany sędzia z Przemyśla. Odwiedzał gościnny dom ksiądz proboszcz z Kosiny. Pani Zającowa wyśmienicie gotowała. Państwo Zającowie nie mieli dzieci. Chętnie przyjeżdżali do rodziców do Tuczemp. Dyskutowano o bieżących tematach społecznych. Dzielono się informacjami usłyszanymi w zagranicznym radiu. Obydwoje byli ludźmi głęboko wierzącymi. W czasie któregoś z pobytów w Tuczempach tata mój zauważył u pana Zająca widoczne zmęczenie i zafrasowanie. Kilkakrotnie pytany przez mojego tatę – z zażenowaniem opowiedział o swoich kłopotach. **Otóż od pewnego czasu obydwoje małżonkowie byli uczestnikami dziwnych zjawisk dziejących się nocą. Budziły ich wyraźne odgłosy stąpania po schodach wiodących na strych. Wstawali, zapalali światło – lecz nikogo nie było. W domu panowała cisza.** Dodać tutaj należy, że schody na strych były kilkunastostopniowe, drewniane i rzeczywiście gdy się po nich chodziło wydawały specyficzny odgłos, zwyczajnie skrzypiały. **Ale to nie wszystko. Budził ich też również dochodzący z kuchni odgłos dartych gazet oraz spadających garnków. Jednak gdy wstawali i zapalali światło, okazywało się, że w kuchni jest najlepszy porządek i spokój. Gazety całe leżały poukładane obok wielkiego lampowego radia „Stolica", a garnki stały tam, gdzie powinny. Z czasem było jeszcze gorzej. Nie mogli spać, gdyż mieli wrażenie, że ktoś ściąga z nich kołdrę. Po zapaleniu światła wszystko ustawało.**

Ze swoich kłopotów zwierzyli się najpierw księdzu proboszczowi z Kosiny. Efektem tych **rozmów było dwukrotne poświęcenie domu. Ale dziwne zjawiska nie ustały. Aż pewnej nocy pani Zającowej przyśnił się ks. Józef Słaby i we śnie powiedział, że ma sprawę dla której potrzebuje tyle i tyle pieniędzy. Pani Zającowa opowiedziała sen najpierw mężowi a później wspólnie o niezwykłym śnie opowiedzieli swojemu proboszczowi.** Wspomnieć tutaj należy, że wymieniona we śnie kwota była znacząca. Państwo Zającowie dobrze znali ks. Józefa Słabego, gdyż często bywał u nich w Tuczempach. Pani Zającowa podejmowała go poczęstunkiem, a nawet opierała. **W domu nadal nie było spokoju. Zatem wspólnie zdecydowano o przeznaczeniu „kwoty ze snu" na msze święte o spokój duszy śp. księdza Józefa Słabego. Msze odbyły się w kościele parafialnym w Kosinie. Po odprawieniu tych mszy – pani Zającowej ponownie przyśnił się ks. Józef Słaby i poinformował ją, że sprawę wygrał. Pożegnał się słowami „Bóg zapłać". Odtąd w domu panował spokój."**

W SŁUŻBIE
OJCZYZNY
Ś. P.
Ks. kpl. kpt.
o. JÓZEF
SŁABY
8.07.1896 - 19.01.1957
W SŁUŻBIE
BOGA

Instytut Pamięci Narodowej -
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko
Narodowi Polskiemu
Oddziałowe Biuro Udostępniania
i Archiwizacji Dokumentów
w Szczecinie

Pan

Tadeusz Słaby

ul. H. Siemiradzkiego 18
72-600 Świnoujście

Pismo z dnia:	Znak:	Nasz znak:	Szczecin,
13.12.2010 r.	–	BUSz III-5531-105(2)/10	22 .12.2010 r.

Szanowny Panie

Odpowiadając na Pana pismo z dnia 13 grudnia 2010 r. informuję, że w zasobie archiwalnym Instytutu Pamięci znajdują się dokumenty dotyczące **Józefa Słabego** ur. 3 lipca 1896 r. w Tuczempach. Z dokumentami będzie mógł się Pan zapoznać po złożeniu odpowiedniego wniosku. Zgodnie z art. 36 ust. 1 ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (Dz. U. z 2007 r. Nr 63, poz. 424 z późn. zm.) dokumenty zgromadzone przez Instytut Pamięci udostępnia się m.in. w celu: prowadzenia badań naukowych oraz publikacji materiału prasowego.

Wniosek w sprawie prowadzenia badań naukowych powinien zawierać wskazanie tematu prowadzonych badań naukowych oraz rekomendację pracownika naukowego (z tytułem min. dr hab.), uprawnionego do prowadzenia badań naukowych w dyscyplinach nauk humanistycznych, społecznych, gospodarki lub prawa - w przypadku osób nie będących takimi pracownikami.

Natomiast wniosek w sprawie publikacji materiału prasowego powinien zawierać wskazanie tematu materiału prasowego oraz załączone upoważnienie redakcji albo wydawcy do wystąpienia z wnioskiem.

Powyższe wnioski można pobrać ze strony internetowej: **www.ipn.gov.pl**, z zakładki wnioski lub wypełnić dostępne formularze w dowolnym Oddziale lub Delegaturze IPN-KŚZpNP.

W przypadku jakichkolwiek pytań lub wątpliwości, proszę o kontakt telefoniczny z referentem prowadzącym Pani sprawę, p. Michałem Kamińskim (nr tel. poniżej).

Z poważaniem

Naczelnik Oddziałowego
Biura Udostępniania i Archiwizacji
Dokumentów w Szczecinie
Zbigniew Stanuch

Sporz./wyk.: Michał Kamiński, tel. 091/ 484 98 60.

1

Temat: Wiadomośc dla Pana Tadeusz Słabego
Od: biblioteka@muzeum.przemysl.pl
Data: 16 Grudnia 2010, 1:30 pm, Cz
Do: info@arka.biz.pl
Priorytet: Normalny
Opcje: Pokaż cały nagłówek | Podgląd wesji do wydruku | Pobierz jako plik

Szanowny Panie,
nawiązując do naszej telefonicznej rozmowy informuje, że biblioteka Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w swym zasobie nie posiada rękopisów ofiarowanych rzekomo w 1930 roku do Muzeum Ziemi Przemyskiej przez Józefa Słabego. Ponieważ przed II wojną światową Muzeum oraz jego biblioteka w pewnej mierze pozostawały w strukturach przemyskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (pełny rozdział na muzeum i TPN nastąpił po II wojnie światowej) zatelefonowałem do przemyskiego TPN-u (tel 016 678 56 01) z pytaniem czy przypadkiem u nich nie ma tych rękopisów. Po sprawdzeniu odpowiedziano mi że nie ma. Te rękopisy mogły też ewentualnie trafić do działu historii naszego muzeum i takie pytanie zadałem koleżanką z tego działu obecnie czekam na odpowiedz. Ewentualnie mógłby Pan sam zadzwonić do działu historii i zapytać osobiście (tel. 016 678 65 01 lub 678 97 35). Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc proszę dzwonić lub mailować
Pozdrowienia
Antoni Sarkady
kierownik biblioteki muzealnej

Osoba upoważniona do ekshumacji

Tadeusz Słaby
imię, nazwisko

H. Siemiradzkiego 18 Świnoujście
adres

607-284674 · 91-3215444
nr tel. kontaktowego

info@arka.biz.pl

AKN 363343
numer, data, miejsce wydania dowodu osobistego

40012107573
PESEL

Świnoujście data 15. 12. 2010

Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny

w Kostyniu 62-800
ul. Wrocławska 8

WNIOSEK O EKSHUMACJĘ

Proszę o wyrażenie zgody na ekshumację ~~zwłok~~/szczątków* zmarłego(ej)
Józefa Słabego
imię i nazwisko

stopień pokrewieństwa wnioskodawcy w stosunku do osoby zmarłej bąd moim wujkiem - bratem mojej mamy Agnieszki Słaba

Informacje dotyczące osoby zmarłej i ekshumacji:

1. Data i miejsce urodzenia 08. 07. 1896 Tuczempy
2. Data zgonu 19.01.1957 przyczyna zgonu zmarł
3. Adres cmentarza, na którym zwłoki/~~szczątki~~* są pochowane cmentarz zakonu Bonifratrów w Maryninie - Piaskach k/ Kostynia
4. Adres cmentarza, na który ~~zwłoki~~/szczątki* mają być przeniesione cmentarz Parafialny w Tuczempach, gmina Jarosław
5. Przeprowadzający ekshumację .....
7. Transport ~~zwłok~~/szczątków* wykona Tadeusz Słaby, w urnie - osobiście
8. Data ekshumacji .....
9. Uzasadnienie wniosku Jest pierwszym księdzem z Tuczempy, osoba wielce zasłużona dla Polski i Kościoła, taka jest wola Rodziny, Kościoła i Władz Gminy

Oświadczam, że osoby – członkowie rodziny uprawnieni do współdecydowania w sprawie będącej przedmiotem wniosku nie wyrażają sprzeciwu oraz nie jest mi wiadomo, aby w sprawie dotyczącej tej ekshumacji toczył się jakikolwiek spór sądowy.
Dane zawarte we wniosku są prawdziwe, a oświadczenie niniejsze składam po pouczeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania (art. 233 Kodeksu Karnego).
Zobowiązuję się przestrzegać wymogów i warunków ekshumacji określonych przez przepisy prawa.

Tadeusz Słaby
/data i podpis wnioskodawcy/

Notariusz Elżbieta Kozarkiewicz
Kancelaria Notarialna
72-600 Świnoujście, ulica Bohaterów Września 5
Tel. (91) 32-79-275, Fax (91) 32-71-760

Repertorium A Nr 4899 / 2010

Poświadczam, że podpis na wniosku uznał w mojej obecności za złożony własnoręcznie – **Tadeusz Słaby**, syn Michała i Kazimiery, zamieszkały w Świnoujściu (72-600), przy ulicy Siemiradzkiego 18, którego tożsamość ustaliłam na podstawie okazanego dowodu osobistego AKW 363343, wydanego na czas nieoznaczony, posiadający PESEL 40020207573 i NIP 855-000-32-90. ----------

Pobrano wynagrodzenie notarialne na podstawie § 13 pkt 1b/ Rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z dnia 28 czerwca 2004 roku (Dz.U.Nr 148, poz.1564) – **20,- zł,** plus podatek od towarów i usług (stawka 22 %) na podstawie ustawy z dnia 11 marca 2004 roku (Dz.U.Nr 54, poz. 535) – **4,40 zł.** ----------

Czynność ta nie jest przedmiotem podatku od czynności cywilnoprawnych na podstawie art. 1 ustawy z 09 września 2000 roku (Dz.U.Nr 101 z 2010 roku poz. 649). ----------

Świnoujście, dnia piętnastego grudnia dwa tysiące dziesiątego roku (15.12.2010).

NOTARIUSZ

Właściciel/zarządca cmentarza Ks. Proboszcz w Tuczempach Zygmunt Balawender
(nazwa, adres)

wyraża zgodę na ekshumację ~~zwłok~~/szczątków* Józefa Stabego O. ks. Kpl. kpt.

19 marzec 2011 r.
(imię nazwisko, data pochówku, miejsce pochówku)

w celu ponownego pochowania na cmentarzu w Tuczempach na cmentarzu Parafialnym

Proboszcz
ks. Zygmunt Balawender

PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
pw. Nawiedzenia NMP
w TUCZEMPACH
37-514 Munina
tel. (16) 6217737

(data, pieczęć i podpis)

Właściciel/zarządca cmentarza Parafialnego w Tuczempach
(nazwa, adres)

wyraża zgodę na pochowanie ekshumowanych z cmentarza Zakonu Bonifratrów

w Maryninie - Piaskach k/ Gostynia

~~zwłok~~/szczątków*:

O. Józefa Stabego ks. Kpl. kpt.
(imię nazwisko, miejsce pochówku)

Proboszcz
ks. Zygmunt Balawender

PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
pw. Nawiedzenia NMP
w TUCZEMPACH
37-514 Munina
tel. (16) 6217737

(data, pieczęć i podpis)

Tuczempy, 25.10.2010 r.

Pełnomocnictwo.

Niniejszym udzielam pełnomocnictwa Panu Tadeuszowi Słabemu zam. w Świnoujściu przy ulicy H.Siemiradzkiego 18, PESEL: 40020207573, legitymującego się dowodem osobistym : AKW 363343 do reprezentowania mnie i mojej rodziny w postępowaniu ekshumacyjnym szczątków prochów mojego wuja (brata mojej mamy) księdza kapelana kapitana O. Józefa Słabego, urodzonego 08. 07. 1896 roku w Tuczempach, zmarłego 19. 01. 1957 roku i pochowanego na cmentarzu Konwentu Bonifratrów w Marysinie-Piaskach koło Gostynia. Oświadczam, że jestem najbliższym zmarłemu członkiem rodziny i nikt z pozostałych uprawnionych osób nie wyraża sprzeciwu tym czynościom ekshumacyjnym i przeniesieniu szczątków prochów na cmentarz w Tuczempach, oraz nie jest mi wiadomo, aby w sprawie tej toczył się jakikolwiek spór sądowy. Dane zawarte we wniosku są prawdziwe, a oświadczenie niniejsze składam po pouczeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania (art. 233 Kodeksu Karnego). Zobowiązuję Tadeusza Słabego do przestrzegania wymogów i warunków ekshumacji określonych przez przepisy prawa.

KANCELARIA NOTARIALNA
EWA LECHOWICZ - notariusz
37-500 Jarosław
ul. Jana Pawła II nr 23
tel. (0-16) 621-43-77
NIP 792-000-09-18 Regon 650012764

Krzysztof Gral
(miejsce na podpis czytelny)

Rep. A Nr 12 338 /2010

Ewa Lechowicz notariusz prowadząca Kancelarię Notarialną w Jarosławiu przy ulicy Jana Pawła II nr 23 poświadcza, że powyższy dokument w obecności notariusza własnoręcznie podpisała Pani Krzysztofa Gral córka Władysława i Agnieszki, pesel 40012107962, zamieszkała 37-514 Tuczempy ulica Przemyska nr 115, gmina Jarosław, której tożsamość notariusz ustaliła na podstawie dowodu osobistego ATE 216622. ----------

Pobrano z § 13 rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z dnia 28 czerwca 2004 roku w sprawie maksymalnych stawek taksy notarialnej (Dz. U. z 2004 r. Nr 148, poz. 1564, z późn. zmianami), taksę w kwocie 20,00 zł. podatek VAT 22 % w kwocie 4,40 zł. łącznie pobrano kwotę 24,40 zł. (dwadzieścia cztery złote czterdzieści groszy). ----------

Jarosław dnia siódmego grudnia roku dwa tysiące dziesiątego (7.XII.2010r.). --

Ewa Lechowicz
notariusz

PAŃSTWOWY POWIATOWY INSPEKTOR SANITARNY
W GOSTYNIU

Telefony:
- informacja o numerach wewnętrznych **65 572 14 75**
- PPIS w Gostyniu **65 572 30 89**
- fax **65 572 14 66**
- e-mail **psse.gostyn@pis.gov.pl**
- e-mail Higieny Komunalnej **higiena.komunalna@psse-gostyn.pl**

ul. Wrocławska 8
63-800 Gostyń
http://pssegostyn.pis.gov.pl/

ON.HK-428- 11 - 1/11

Gostyń, dnia 10 stycznia 2011r.

D E C Y Z J A

Na podstawie art. 15 ust. 1 pkt.1 ustawy z dnia 31 stycznia 1959r. o cmentarzach i chowaniu zmarłych (Dz. U. z 2000r. Nr 23, poz. 295 z późn. zm.), § 12 ust.1 rozporządzenia Ministra Zdrowia z dnia 7 grudnia 2001r. w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi (Dz. U. Nr 153,poz. 1783 z późn. zm.) oraz art. 104 §1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2000r. Nr 98, poz. 1071 z późn. zm.)

po rozpatrzeniu wniosku z dnia 15 grudnia 2010r.
złożonego przez Pana Tadeusza Słabego,
zam. 72-600 Świnoujście, ul. H.Siemiradzkiego 18

O R Z E K A M

zezwolić na ekshumację szczątków na **cmentarzu Konwentu Bonifratrów w Piaskach-Marysinie , 63-820 Piaski**

O. Józefa Słabego
ur. 08.07.1896r. w Tuczempach
zm. 19.01.1957r. i pochowanego na cmentarzu Konwentu Bonifratrów w Piaskach - Marysinie, 63-820 Piaski

i przewiezienie w urnie na **Cmentarz parafialny w Tuczempach, gmina Jarosław,** z tym, że:

Ekshumacja szczątków powinna być przeprowadzona w terminie do dnia 15 kwietnia 2011r. lub w okresie od dnia 16 października 2011r. do dnia 15 kwietnia 2012r.

U Z A S A D N I E N I E

W dniu 15 grudnia 2010r. Pan Tadeusz Słaby, zam. 72-600 Świnoujście, ul. H.Siemiradzkiego 18 zwrócił się z wnioskiem do Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Gostyniu o wyrażenie zgody na ekshumację i przewóz szczątków O. Józefa Słabego pochowanych na cmentarzu Konwentu Bonifratrów w Piaskach-Marysinie, 63-820 Piaski i przewiezienie ich na Cmentarz parafialny w Tuczempach, gmina Jarosław.

Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny w Gostyniu po rozpatrzeniu wniosku Pana Tadeusza Słabego o wydanie zezwolenia na ekshumację i przewiezienie szczątków, na podstawie oświadczenia, że strona jest uprawniona do złożenia wniosku o ekshumację oraz, że wniosek został uzgodniony ze wszystkimi członkami rodziny, stwierdził istnienie podstaw do przeprowadzenia wnioskowanej ekshumacji.

W tych warunkach należało orzec jak w osnowie decyzji.

P O U C Z E N I E :

Od niniejszej decyzji przysługuje stronie odwołanie do Wielkopolskiego Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego, ul. Noskowskiego 23, 61-705 Poznań, za pośrednictwem Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Gostyniu, w terminie 14 dni od dnia doręczenia decyzji.

PAŃSTWOWY POWIATOWY INSPEKTOR SANITARNY w GOSTYNIU

Państwowy Powiatowy
Inspektor Sanitarny
w Gostyniu
mgr Ewa Ulanicka

Otrzymują:

1. Pan Tadeusz Słaby
   ul. H.Siemiradzkiego 18
   72-600 Świnoujście
2. Konwent Bonifratrów
   w Piaskach-Marysinie
   63-820 Piaski
3. Parafia Rzymskokatolicka
   pw. Nawiedzenia NMP
   w Tuczempach
   37-514 Munina
4. a/a

E.K.

NOTA BIOGRAFICZNA

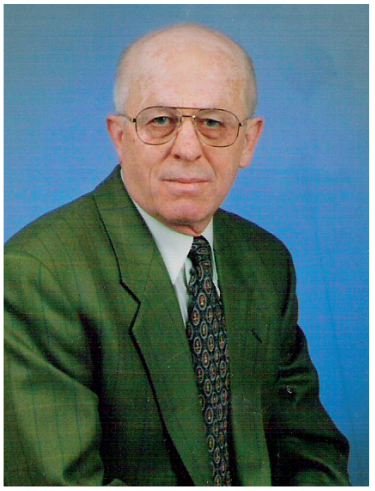

Słaby Tadeusz, doktor praw, syn Michała i Kazimiery Słaba, urodzony 2 lutego 1940 roku w Tuczempach. W 1954 roku kończy szkołę podstawową w rodzinnej miejscowości i rozpoczyna naukę w LO w Jarosławiu i Przeworsku. • 1959 rok Szkoła Oficerska WOP w Kętrzynie (ppor. WP) • 1962 - 1976 Graniczna Placówka Kontrolna WOP w Świnoujściu • 1973 rok studia na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu (magister prawa) • 1976 rok doktorat na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu • 1976 – 1986 adiunkt na Uniwersytecie Wrocławskim • szef Katedry nauk Ogólnokształcących Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu • 1986 emerytura wojskowa (ppłk WP) • 1987 – 1988 adiunkt Wydziału Prawa Uniwersytetu Szczecińskiego • 1990 - 2007 wykładowca prawa cywilnego, gospodarczego i turystycznego w Zamiejscowych Punktach Wykładowych Wydziału Zarządzania i Ekonomiki Usług Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Zachodniopomorskiej Szkoły Biznesu • od roku 1989 założyciel i właściciel Biura Handlowo-Prawnego „Consulting" w Świnoujściu, Agencji Celnej „Interskaden", międzynarodowej spółki polsko-norweskiej (transport, spedycja) „Via Baltic" • współwłaściciel i prezes biura Usług Turystycznych „PARTNER" • od 2002 współwłaściciel i prezes pensjonatu „Arka" • syndyk z listy Sądu Gospodarczego w Szczecinie • założyciel i pełnomocnik licznych spółek krajowych i zagranicznych • założyciel i prezes Towarzystwa Integracji Europejskiej • założyciel i wykładowca Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Świnoujściu • autor ponad 100 publikacji popularnonaukowych z zakresu prawa • artykuły w tygodnikach i periodykach prawniczych w kraju i zagranicą • wykłady „na żywo" w TV kablowej w Świnoujściu • organizator konferencji i sympozjów naukowych • sekretarz i redaktor zeszytów naukowych (WZWZmech oraz miesięcznika „Integracja") • w latach 1998 – 2002 radny Rady Miasta Świnoujścia • założyciel i przewodniczący Regionalnego Sądu Polubownego w Świnoujściu • **żona** Józefa z domu Czubocha, również z Tuczemp • **synowie:** Piotr, żonaty (żona Małgorzata z domu Godlewska), dwie wnuczki (Basia i Joasia) oraz Marek, żonaty (żona Katarzyna z domu Tromińska), wnuk Michałek • siostra Agnieszka (po mężu Łukaszewicz).

Dewiza życia: **być niezależnym i żyć godnie.**

Adres do korespondencji: **www.arka.biz.pl, e-mail: info@arka.biz.pl**

Konwent Bonifratrów w Marysinie
Marysin 1, 63-820 Piaski, tel./fax (65) 573 97 37

Piaski-Marysin, dn. 25.08.200[illegible]

Wielce Szanowny Panie
Dr Tadeuszu Słaby

†

Z radością przyjmuję książkę, w której odnajdę ślady naszego śp. Współbrata O. Adalbertusa-Józefa Słabego. Z uznaniem patrzę na to dzieło dołączone Trudem i cieszę się, że są Ludzie, którzy z pasją i szacunkiem dla przeszłości tworzą przyszłość.

Co się tyczy ewentualnej ekshumacji doczesnych szczątków śp. O. Adalbertusa-Józefa to proszę czynić starania celem zrealizowania tegoż zamysłu. Rozumiem inicjatywę i ją popieram. Sądzę, że nie wystąpią żadne nieprzewidziane przeszkody, które ten zamiar udaremnią.

Otaczam modlitwą

Brat Ambroży Maria Pietrzkiewicz OFM
Marysin